

KRYSIK

SZWEDZI W WARSZAWIE.

W DRUKARNI ST. NIEMIRY SYŃÓW, WARSZAWA PLAC WARECKI 4.

Walery Przyborowski

SZWEDZI * * * * *
* * * * * W WARSZAWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

Z LAT DAWNYCH



WARSZAWA

Nakład i własność Konstantego Treptego

Marszałkowska 149
Stowarzyszenie Spółdzielcze

„ŚWIATŁO“

Księgarnia i Antykwareria
CHRZEŚCIJAŃSKA

Ś-to-Krzyżka 26, Tel. 207-91

Дозволено Цензурою.

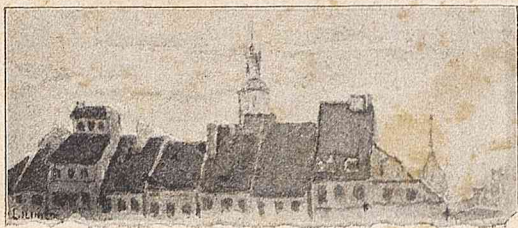
Варшава, 17 Февраля 1901 года.

1.49.703



Cim.

A



ROZDZIAŁ I

W którym jest opowiedziane jak przekupka Maciejowa pokonała trzech żołdaków szwedzkich.

Czerwcowe słońce miało się ku zachodowi i skryło się już poza wszystkie kamienice rynku staromiejskiego, których spiczaste dachy rysowały się wyraziście na gorejącem purpurą niebie. Ruch był niewielki; na przyzbach domów tu i owdzie siedziały z dziećmi na kolanach mieszczki i gwarzyły; pod samym ratuszem w licznych kramach widać było ziewające lub klóćące się przekupki; sklepy w kamienicach, oprócz winiarni i szynków, były na głucho pozamykane. Na mieście leżała

jakaś przygnębiająca ospałość i smutek, tylko z gromady przechadzających się dumnie i buńczucznie zbrojnych oficerów szwedzkich, ubranych w wielkie kapelusze z piórami, kaftany losiowe i wysokie,



brązowej barwy buty, brzmiały rozgłośnie krzyki i śmiechy. Tu i owdzie włoczyły się zgłodniałe i wychudzone psy, grzebiące w kupach śmieci, całymi górami sterzających na rynku.

Z drzwi głównych ratusza miejskiego, wznoszącego się na samym środku rynku, wyszedł młody człowiek i ziewając, stanął nad schodami kamien-

nemi, po których zstępowało się na dół. Ubrany był w ciemny, kusy żupanik, dobrze podszarżany, w kapelusz słomiany na głowie podgolonej starannie, o włosach ciemnych, nisko przystrzyżonych.

Kapier...

Szarawary niegdyś karmazynowe, dziś spłowiałe mocno, miał wpuszczone w buty wysokie o żółtych cholewach, a zato czarnych przyszwach. Pod pachą dźwigał fascykul papierzysków i wielkimi czarnemi oczami poglądał niedbale i obojętnie dokoła.

Ale nagle oczy te ożywiły się, bo spostrzegł idącego między kramami pod ratuszem chłopca, może szesnaście lat liczącego. Ten, z głową na dół pochyloną i rękami na tyle założonemi, szedł wolno, leniwie, powłócząc nogami, zapatrzony w ziemię, jak gdyby tam czego szukał. [Ubrany był niedbale i ubogo; na głowie kapelusz słomiany miał opadłe skrzydła, a liczne w nim dziury nie osłaniały dobrze głowy od palącego słońca czerwcowego. Kusy kubraczek niewiadomej barwy, przepasany był włóczkowym pasem czerwonym, a ciżmy niskie wyszarzane były i dziurawe. Jednem słowem wyglądał ubogo i miał minę desperata.]

Stojący na schodach młodzieniec z fascykulem papierzysków pod pachą, zoczywszy owego desperata, zeszedł szybko na dół i zbliżywszy się do chłopca, uderzył go w ramię i zawołał:

— Kazik, jak się masz?

Kazik żywo podniósł głowę i rzekł głosem smutnym i płacziwym:

— A! to ty... jak się masz?

— Mam się dobrze, ale ty, widzę, jakoś kiepsko i kwaśno wyglądasz!

— Mój kochany, żebyś ty na to patrzył, na co ja patrzę i to cierpiał, co ja cierpię, tobys jeszcze kwaśniej wyglądał.

— No, cóż to takiego? opowiedz mi.

— Ej, na co się to zdało! — machnął ręką rozpaczliwie Kazik.

— A może się i na co zdało! cóż ty wiesz?... no, no, opowiedz... może się co poradzi na twój frasunek. Wiadomo ci przecie, że mam łaski i zachowanie wielkie u pana prezydenta Aleksandra Gizy, który też jest mój krewniak, po matce... A przytem zawždy z tobą byliśmy w przyjaźni, i gdyby nie ta pisanina na ratuszu z powodu tych przeklętych Szwedów...

To mówił szeptem i obejrzał się trwożliwie dookoła. Ale nikogo w pobliżu nie było i nikt ich rozmowy słyszeć nie mógł, więc prawil dalej:

— Otóż, powiem tobie, że gdyby nie te przeklęte Szwedy, co jeno kontrybucyę na miasto nakładają i w księgach z tego powodu dużo jest pisania, a pan prezydent nie ma się kim wyręczyć, bo nikt tak pięknie jak ja nie pisze, otóż gdyby nie to, tobym co dnia wpadł tam do was na Krzywe Koło, by twej pani matce nogi ucałować, a i z tobą się też nagadać, bo widzisz mam i ja coś do powiedzenia tobie. Ale cóż tam u was nowego?

— A cóż, Kacperku, bieda aż piszczy. Pani matka wyiskrzyła się do ostatniego grosza na tę kontrybucyę szwedzką i powiadam tobie, że do gęby niema co włożyć. I na dobitkę ten lejtnant pan Landskrona, bodaj go kat spalił... wiesz, co stoi u nas kwatery, ciągle czegoś nowego wymaga. Zacheiało mu się dzisiaj limonów, a u nas chleba niema. Skąd ja mu wezmę limonów? Idę do pana Fukiera, może się zlituje i da na kredyt. Ach, żebyś ty Kacperku wiedział, czego ja tym Szwedom życzę!...

— No, no! — uśmiechnął się Kacperek — z pewnością nie lepiej odemnie. Ale powiem ci pod wielkim sekretem, że nie długo już ich panowania.

Wymówił to znów szeptem, oglądając się na grupę żołdaków szwedzkich, którzy pijani, wzięwszy się pod ręce, szli przez rynek, śpiewając ochryplemi głosami jakąś pieśń zamorską, krzyząc i nogami wywracając kramiki przekupek, koło których przechodzili. Przekupki oczywiście podniosły wielki wrzask, a Szwedzi, wzięwszy się pod boki, z wyzywającemi minami, śmieli się do rozpuku.

— Widzisz, co się dzieje! — rzekł Kazik, w którego oczach zabłysnął ponury ogień, wargi mu poladły, a pięść ścisnął w kulak.

— Ba! — odpowiedział z chłodnym uśmiechem Kacperek — ja codziennie na to patrzę i przyzwyczaiłem się do tego. Stary rajca, pan Rafałowicz,

który, jako wiesz, jest człowiek mądry i uczony w piśmie, mówi, że człowiek to jest takie zwierzę, które się do wszystkiego przyzwyczaić może. I prawdę powiada, bo ja, na ten przykład, przyzwyczailem się już do tych wybryków szwedzkich i ani mię nie ziębia ani grzeją.

— Ale ja się przyzwyczaić nie mogę!—syknął Kazik—i wszystka krew się we mnie burzy...

— Pociesz się, bo ci powiadám na pewno, że niedługie Szwedów w Warszawie panowanie.

— Bój się Boga, co to takiego? skądże to wiesz?

— A wiem... ale tu na rynku gadać nie będę, bo tu może kto podsłuchać i donieść jenerałowi Wittenbergowi, a wiesz, że on nie żartuje. Nie dalej jak wczoraj obwiesić kazał za długi język jakiegoś szlacheica na szubienicy przed kościołem Bernardynów. A przytem i tobie się śpieszy po one limony... pieprzu bym hultajowi dał, a nie limonów. Idź więc, bo tam twój Landskrona zapewne historye wyprawia, a pani matka ze strachu umiera.

Kazik na te słowa zgrzytnął zębami, nacisnął kapelusz na oczy i nie nie rzekłszy, ruszył w kierunku sklepu pana Fukiera, który od dawien dawna w rynku handlował winami i rozmaitymi specyałami zamorskimi.

— Czekaj no!—zawołał za odchodzącym Kacperek—musimy się przecie obaczyć. Mam wiele nowin i mam też pewny projekt. Chcę z tobą pogadać...

— A i owszem, ale gdzie i kiedy?

— Otóż to... do ciebie iść nie można, bo tam Szwedów kupa, a to co ci chcę powiedzieć, jest srogi sekret. Ale wiesz co? jak się załatwisz z temi limonami dla imci pana Landskrony... bodaj się hycel niemi udławił... to przyjdź do pana Rafałowicza. Wiesz gdzie... na ulicy Św. Marcina, w kamienicy Sebastjana, cyrulika...

— Wiem, wiem.

— Ba! nie nie wiesz, bo nie wiesz, gdzie się mieści pan Rafałowicz. Ma on na trzecim piętrze od tyłu dwie izdebki. Tam trzeba wejść, a we drzwi zastukaj trzy razy, bo inaczej pan Rafałowicz cię nie wpuści. Tam będę czekał na ciebie i do syta się nagadamy, ile że pan Rafałowicz jest sam, i jako człek mądry nie poskapi nam rady i obroku duchowego. Idź więc, załatw się z owemi limonami i przybywaj. A teraz *vale*, uszy do góry, Kaziku, bo wszystko będzie dobrze. I powiadam tobie na ucho, jeno dla tego, byś fantazyi nie tracił, że takiego dajfeldreku zadamy tym zamorszczykom, że popamiętają przez wieki mazurską łapę. No, bądź zdrow! czekam cię u pana Rafałowicza.

To rzekłszy, nacisnął kapelusze, poprawił pod pachą facykuł papierzyków, ogromne pióro mocno utrzymał za uchem i zniknął za zakrętem murów ratuszowych. Kazik zaś, z otuchą jakąś w sercu, pognął do pana Fukiera po limony dla lejtnanta szwedzkiego Landskrony.

Na rynku tymczasem po dawnemu przechadzali się żołdacy Szwedzy, śpiewali pieśni, krzyczeli, wywracali kramy przekupkom, bili, kto im się nawinał, tak, że każdy uciekał jak najprędzej i chronił się do domów, by uniknąć spotkania z pijanymi żołdakami. Zrazu kręcili się jeno między ulicą Grodzką, co ją później Świętojańska nazwano, a Jezuicką, ale potem przeszli na drugą połąć rynku od ulicy Gołębiej. Tu podłe kamienicy „pod trzema murzynami“, miała swój kramik znana całemu miastu pani Maciejowa, wdowa po szewcu, który przez pijaństwo stracił całą fortunę i umarł. Wdowa, ile że miała syna małoletniego, którego trzeba było chować, za resztę grosza założyła sobie kramik z niemi, tasiemkami, napsstkami, a czasu wiosny handlowała też owocami. Kobieta była poczciwa, zabiegliwa, pracowita, ale wygadana okrutnie. Otyła, upadająca już na nogi, siedziała od świtu do nocy za swym kramem i biada temu, na kogo złość miała lub kto ją obrazil. Wtedy spadał na nieszczęśliwego taki potok słów i wymyślań, wypowiedanych krzykli-

wym i tak donośnym głosem, że po całym rynku się rozlegał, iż nieszczęśliwy zatykał uszy i uciekał z duszą. Znano ją z tego w całym mieście i bano się bardzo, choć jednocześnie szanowano, bo była uczciwą, rzetelną, nikogo na grosz nie skrzywdziła, bogobojną, a synów jak się należy wychowała. Starszy, Maciuś, bo takie samo imię nosił, jak nieboszczyk ojciec, był już czeladnikiem szewskim i prowadził się porządnie, młodszy Janek terminował u stolarza, pana Andrzeja Kuligana Nowem Mieście. Obaj chłopaki byli porządni co się zwie, matkę szanowali i bali jej się okrutnie, bo jak co zawinili, to im płazem nie puszczała, nawet starszemu Maciusiowi, choć był czeladnikiem i wąż mu się puszczał. Nieraz tak go sprąła i za czuprynę wytargała, że chłopak aż łzy miał w oczach.

Otóż trójka pijanych Szwedów, nadokazywawszy się od południowej strony ratusza, przeszła teraz na północną i zataczając się, krzycząc i śpiewając, nagle znaleźli się przed kramem pani Maciejowej. Ta spojrzała na nich groźnie i machając ręką, rzekła po polsku:

— Poszli precz! czego tu stoicie? czego cheeta?

Ale oni zaczęli się śmiać i jeden tak silnie kopnął nogą w kramik, że wszystkie rozłożone na nim nici, napastrki, tasiemki, guziki i owoce rozleciały się na wszystkie strony. Maciejowa za-



zerwienila się cała jak burak, a w jej małych sinych oczach zajaśniały pioruny. Choć z ciężkością się ruszała z powodu słabości nóg, teraz jednak ze-



rwała się odrazu i dużym garnkiem z barszczem, który z obiadu został, trzasnęła w łeb najbliższego Szweda. Garnek rozleciał się na części i pokaleczył żołdaka, a przytem barszcz się wylał i całą

twarz mu na czerwono umalował. Zrobił się straszny krzyk i dwaj towarzysze poszkodowanego dobyli pałaszy i rzucili się na Maciejową, chcąc ją zarębać, ale ta, wrzeszcząc w niebogłosey, nie ustąpiła ani kroku, tylko chwyciwszy starą drapakę, która w kącie kramiku stała, tak dzielnie nią wywijać zaczęła i tak prać bez litości pijanych Szwedzisków, że nie tylko nie jej zrobić nie mogli, ale sami potracili kapelusze i gęby mieli szpetnie podrapane. Rzucali się wprawdzie zawzięcie z gołemi szabliskami w garści, ale że nie byli trzeźwi, więc ciosy ich padały na dąszek kramiku, a przytem zbiegło się dużo ludzi na krzyk Maciejowej i jak mogli, tak jej bronili.

Właśnie w tej chwili zjawił się Kazik, wracający z limonami od pana Fukiera. Spostrzegł on, że jeden ze Szwedów, widocznie trzeźwiejszy, przestał rąbać pałaszem, a natomiast gotował się przebić zdradzieckim sztychem broniącą się walecznie dzielną przekupkę. Widząc to Kazik, który znał się a nawet przyjaźnił z synem Maciejowej, czeladnikiem Maćkiem, nie wiele myśląc, tak zręcznie i szybko podstawił nogę Szwedowi, że ten jak długi runął na ziemię. Zaraz też znalazło się kilku ochotników, którzy leżącego Szweda poczęli niemiłosiernie okładać kijami, a Kazik

spozrzegłszy biegnący ront szwedzki i widząc, że tu niema na co czekać, drapnął co żywo do domu. Ront rozpedził zbiegowisko, a pokaleczonych Szwedów i biedną Maciejową zabrał ze sobą do kordegardy w Zamku.

ROZDZIAŁ II

W którym Kazik zapoznaje się w przykry sposób z piernikami pani Maciejowej.

Kazik, załatwiwszy się z onemi limonami, które matka jego, pani Juliuszowa Ginterowa, wdowa po rajcy miejskim, sama zaniosiła do kwatery oficera szwedzkiego Landskrony, wyrwał się zaraz z domu, żeby najprzód zobaczyć, co się tam dzieje na rynku, a potem pójść, jak się umówił z Kacperkiem, do pana Rafałowicza. Okrutnie był ciekawy, co to za nowiny ma Kacperek, nowiny pocieszające, co w tych ciężkich czasach było rzadkością wielką.

Biegł tedy żwawo, choć już mrok zapadał, a rzadkie latarki przy domach, z rozkazu Szwedów zaraz po zachodzie słońca zapalane, nie mogły dostatecznie rozświecić zacieśnionych ulic. Kazik czuł się w jakimś wesołym usposobieniu, bo najprzód Kacperek miał mu coś pocieszającego powiedzieć, potem, że będzie gadał z panem Ra-

fałowiczem, który był mężem statecznym, uczynym i bardzo lubiał takich smyków jak Kazik, a wreszcie, że Szwedowi podstawił nogi przy kramiku Maciejowej, tak że ów żołdak zarył nosem w błoto. Ciekaw też był bardzo, jak się ta przygoda skończyła.

Ale zaraz wesołe usposobienie Kazika pierzchno, gdy zobaczył kramik Maciejowej rozbity na szczątki, a koło niego kręcił się starszy jej syn, czeladnik szewski Maciuś z latarką w ręku, zbierał rozrzucone nici, paciorki, szpilki, jabłka i pierniki i zawodził głośno:

— O laboga! laboga!

Maciuś był chłopak wysoki, cienki jak tyczka, o nogach podobnych do dwóch długich patyków, z szyją jak u żórawia, na której chwiała się główka drobna, szczecinowatym, rudym włosom porośla. Brzydki był jak nieszczeście; oczka miał małe, siwe, głęboko zapadłe, nos pałkowaty i zawsze czerwony jak burak, co zapewne odziedziczył po ojeu, pijaku koronnym. Powolny był nadzwyczajnie, mruk zawołany, ale zresztą chłopak poczciwy z kośćmi. Stał teraz pochyłony nad ruiną dobytku matezynego, rozpaczliwie wymachiwał długimi rękami, podobny do wiatraku i żałośliwie zawodził:

— O laboga! laboga!

Maciuś wygłup

Kazik zbliżył się do niego z tyłu, uderzył go w ramię i zapytał:

— Maciek, co tobie?

Maciuś powoli, systematycznie zwrócił się całym ciałem do pytającego, podniósł latarkę w górę, zaświecił nią w oczy Kazika i wytrzeszczając zabawnie swe małe oczy, krzywiąc się szkaradnie i pociągając nosem, rzekł:

— A! to ty?

— A ja, jak widzisz. Ale czegoż ty tak lamentujesz?

Maciuś zrobił wolno półobrotu, długą swą rękę wyciągnął, wskazując na kram rozbity i rzekł:

— A tego.

— To Szwedy zrobiły?

— Uhu!

— No i cóż, czy się to na co zda jeszcze? czy ocalisz co towaru?

— Nic.

I kiwając żałośliwie głową, pociągając niestannie nosem, znów począł lamentować:

— O laboga, laboga!

— A gdzież jest matka, pani Maciejowa?

— Matka?—powtórzył Maciuś.

— No tak! gdzie ona jest?

— Wzięli ją.

— Kto ją wziął?

— Szwedy.

I jak gdyby przypomniał sobie całą grozę swego położenia, pociągnął gwałtownie nosem, oczkami zaczął rozpaczliwie mrugać i po dawnemu zawodzić:

— O laboga! laboga!

— Cicho byś był do paralusza!—zawołał gniewnie Kazik—co twoje babskie lamenty pomogą! jeszcze przyjdzie ront szwedzki i zabierze cię do kordegardy i tam cię oćwieżą srodze.

Maciś spojrział wystraszony na Kazika, obejrzał się dokoła trwożliwie, czy w rzeczy samej rontu gdzie w pobliżu niema i odrazu uciekł.

— Gadajże mi teraz—mówił dalej Kazik—co się z twoją matką stało?

— Wzięli ją.

— To wiem, ale dokąd ją wzięli?

— Do zamku.

— Do zamku? o! to źle!... to bardzo źle!—szeptał Kazik na pół do siebie na pół do Maćka—tam jest gubernatorem pan Gildesterna, człek srogi. No i cóż ty myślisz robić?

— A nic.

— Cebula jesteś i koniec! Czego tu stoisz? to wszystko teraz nie nie warte. Wiesz co? chodź ze mną!

Maciek obejrzał się wolno na szezatkę kramiku, podrapał po szecicinowatej głowie i jak gdyby widok tej ruiny obudził w nim poprzedni

żał, zaczął rozpaczliwie machać długimi rękami, pociągać nosem i lamentować:

— O laboga! laboga!

— Stulże gębę do stu katów, czy chcesz, żeby cię Szwedy osmagały?

— Nie chcę!—zawołał żywo Maciek, trwożliwie spoglądając dokoła.

— Więc bądź cicho i chodź ze mną!

— Dokąd?

— Zobaczysz.

Maciek swoim zwyczajem leniwie obejrzał się na szczątki kramiku i szlochając, spytał:

— A to?

Kazik chwilkę pomyślał i rzekł:

— Masz rację, szkoda tego tak zostawić. Masz tu gdzie koszyk?

— Mam... tam! i wskazał na głąb kramiku.

— Więc dawaj go, pozbieramy to wszystko i zabierzemy.

Upłynęło dość czasu, nim Maciek się poruszył, dostał się do kramu i tam pośrodku mnóstwa rupieci, wydobyl duży z wikliny koszyk. Kazik niecierpliwil się, nalegal, wołal:

— A żywo! ruszajże się! cap jesteś, mazgaj i cebula zatracona!

Maciek w milezeniu znosil te wymyslania, z obojętnością taką, jakby się one jego nie dotyczyły, ale weale żwawiej się nie ruszał.

Wolno, systematycznie wydobyl kosz, otrząsnął go, wyprostował się, pociągnął nosem, odetchnął głęboko i mruknął:

— A tom się zmachał!

— Zmachał się! nie wiem czem!—zawołał Kazik—bodajże cię!—dawajże ten koszyk!

Maciek wolno podniósł kosz, zarzucił na plecy i ostrożnie wyciągając swe długie cienkie nogi, przeszedł przez różne szezátky i stawiając kosz przed Kazikiem, rzekł:

— Masz!

I znów się przeciągnął, westchnął i szepnął:

— A tom się zmachał!

Kazik już nie rzekł na to, mruknął tylko coś pod nosem i zaczął żwawo zbierać różne przedmioty, rozrzucone po ziemi i wkładać je do kosza. Maciek stał, patrzył na to i nagle ni stąd ni zowąd zaszlochał i zajęczał tak głośno, że się aż rozległo dokoła:

— O laboga! laboga!

Kazik aż podskoczył z gniewu i przypadłszy do Maćka, wymierzył mu w bok potężnego kula-ka pięścią, wołając:

— Stulisz ty gębę, cebulo! zabieraj mi się zaraz do roboty, bo ja tu czasu nie mam bawić się z tobą, ośla głowo!

Maciek spojrział na Kazika, otrząsnął się po kulaku i rzekł:

— Nie bij!

— Jakże cię nie bić, kiedyś cap.

— A nie cap, jeno Maciej Dratewka.

— Zabieraj się do roboty, bo cisnę wszystko i zostawię cię tu samego.

Na tę groźbę Maciek nakoniec schylił się i począł powoli zbierać pierniki, motki nici i wstążek, orzechy, i układać to wszystko do kosza. Nie szła mu ta robota, bo ciągle wzdychał i szlochał, ale wreszcie zebrano co się dało i kosz został tem wszystkim w trzech czwartych napelniony. Gdy to zrobiono, Maciek przeciągnął się, odetchnął głęboko i szepnął:

— A tom się zmachał.

— Czem?

— A tem.

— Baran jesteś! cóż to? trochę rupieci pozbierać, to u ciebie robota?

— A ino!

— Nie gadaj, zabierajmy kosz, ty weź za jedno, a ja za drugie ucho.

— Zaraz.

— Śpiesz się!

— Niech sobie odpoczne.

— A bodajże cię Szwedy ubiły! Po czem ty będziesz odpoczywał?

— Spociłem się.

— Spociłeś się?

— Tak,—krzyż boli.

I oglądając się dokoła, znów począł nosem pociągać, oczkami ruszać i nagle jak nie ryknie na cały rynek:

— O laboga! laboga!

Kazik aż podskoczył i już nie wiedział co robić, ale na szczęście rozległy się miarowe kroki żołnierzy, idących rontem.

— Ront idzie! — syknął Kazik — bierz kosz i uciekajmy!

To poskutkowało. Maciek porwał koszyk i wyciągając swe długie nogi, machając ręką, puścił się tak szalonym pędem, że Kazik, który trzymał kosz za drugie ucho, ledwie był w stanie nadażyć. W jednej chwili znaleźli się na Wązkim Dunaju.

Tak ubiegłszy kilkanaście kroków, Maciek, czując, że już niebezpieczeństwo spotkania się z rontem minęło, nagle zatrzymał się tak gwałtownie, że Kazik, nie spodziewając się tego, wpadł na kosz i głową zanurzył się między pierniki, nici i wstążki.

Maciek wolno odwrócił się i spostrzegłszy towarzysza w takiej pozyeyi, ciężko wydobywającego się z kosza, począł się piskliwym głosem śmiać.

— Hi! hi! hi!

Ale Kazik wygramolił się nakoniec z kosza i oplakana miał fizyognomję, bo natknął się twa-

rzą na jakiś mięk szy piernik, który mu się przy-
lepił do nosa. Ujrzawszy to, Maciek aż chwycił
się oburącz za brzuch i zanosił się od śmiechu:

— Hi! hi! hi!



Kazik wściekły od gniewu, otarł z twarzy
rozpłaszczony piernik i przyskoczywszy do Maćka,
zapytał gniewnie, ściskając pięście:

— Czego się szewska smoła śmiejesz?

— Z ciebie.

— Ze mnie? dla czego!

— Boś żółty na gębie. Hi! hi! hi!

Kazik, niewiele myśląc, wymierzył mu pięścią jeden i drugi potężny raz pod bok i rzekł:

— Masz! masz! śmieję się teraz!

— Nie bij—mruknął Maciek.

— Czego stoisz? weź kosz, bo dalibóg nie wytrzymam. Po coś stanął?

— Żeby odpocząć.

— Po czym?

— Zmachałem się!

— Weźmiesz ty koszyk? bo inaczej, jak mię widzisz, zostawię cię tu na środku ulicy samego i rób sobie co chcesz.

Na tę groźbę Maciek westchnął, wziął kosz leniwie i już teraz wolnym krokiem szedł naprzód. Ale niebawem na rogu ulicy Pivnej, a jak ją wtedy nazywano, św. Marcina, zatrzymał się, kosz postawił i mruknął:

— A tom się zmachał!

Ale Kazik już nie nie mówił, tylko gniew tłumił w sobie, bo widział, że z upartym i leniwym Mackiem nie nie poradzi. Milezał więc i w ten sposób, posuwając się wolno, zatrzymując się co kilka kroków, przyczem Maciek wdychał i połą od żupana obcierał pot z czoła, dostali się nakoniec do kamienicy zamieszkałej przez pana Rafałowicza.

— Chwała Bogu!—szepnął Kazik—bo dalipan, dłużej już bym nie wytrzymał z tym gamoniem.

Nie mało jeszcze było kłopotu, nim kosz wy-
windowali na trzecie piętro, ale przecie trudnego
tego dzieła dokonali, na wielkie wzdychanie
i jęki Maćka.

ROZDZIAŁ III

W którym pani Hipolitowa występuje na scenę.

Pan Rafałowicz, mąż leciwy i poważny, zajmował w kamienicy Sebastyana, cyrulika, na trzeciem



piętrze dwa pokoiki z kuchnią. W tej królowała niepodzielnie pani Hipolitowa, gospodyni i kucharka, kobieta niemłoda, otyła, wiecznie zagniewana i gadatliwa nad miarę. Owego wieczoru czerwcowego, podawszy swemu panu gorącej

polewki winnej z grzankami, siadła sobie w kuchni i zadziawszy na nos ogromne okulary, zabrała

się niby do cerowania jegomościowej bielizny, ale że w kuchni było gorąco, więc dzierżąc w jednej ręce igłę z nitką, w drugiej koszulę, zdrzemnęła się na dobre. W kuchni było dużo much i te, znalazłszy tak obfity pokarm, jakim było spocone oblicze pani Hipolitowej, obsiadły je tłumnie i gryzły niemiłosiernie, na co jednak drzemiąca zgoła nie zważała, ale zapadając w coraz większy sen, chrapać sobie na dobre zaczęła.

W tej właśnie chwili ktoś delikatnie do drzwi zastukał. Zrazu pani Hipolitowa tego nie słyszała, ale nakoniec, gdy pukanie się powtórzyło i stawało się coraz silniejszym, zerwała się na równe nogi i nie mogąc się zorientować, przeżegnała się, szepcząc:

— W Imię Ojca i Syna, a co to?

A gdy się pukanie znów rozległo, pobiegła do drzwi i nie otwierając, zapytała:

— Kto tam?

— Ja.

— Co za ja?

— Kazimierz Ginter.

— Ginter? co za Ginter?

— A przecie mnie pani Hipolitowa zna. Jestem syn starej Juliuszowej Ginterowej z Krzywego Koła.

— Aa! a czegoż ty, smyku, chcesz po nocy?

— Mam sprawę do pana Rafałowicza. Przyszliśmy tu z Maćkiem Dratewką.

— Z kim?

— Z Maćkiem Dratewką.

— A to co za licho?

— Nie licho, jeno syn przekupki Maciejowej.

— Aa! a on czego chce?

— Też przyszedł do pana Rafałowicza. Ale niech nas jejmość puści, bo czegoż my tu będziemy wystawali na schodach?

— Nie mogę, tegoby jeszcze brakowało. Pójdę przód, poradzę się jegomości. Kto tam wie, czyś ty Ginter? a może jaki zbój albo, co gorsza, Szwed. Czekaście, zaraz wrócę.

Pobiegła, jak mogła najprędzej do drugiej izby, gdzie pan Rafałowicz, ubrany w dostatni kitajkowy żupan, siedział sobie w wielkim krześle, psią skórą wybitem i popijając wino grzane, przrzucał kartki w jakiejś wielkiej księdze. Był to już człowiek niemłody, łysy zupełnie, z ogromnymi jak wiecheie wąsami, na dół opadającymi, surowy z wejrzenia, pomarszczony jak purchawka, otyły, o oczach dużych, czarnych i nadzwyczaj bystrych.

— Jegomość, jegomość!—zawołała Hipolitowa, wtaczając się do izby.

— A co?—zapytał spokojnie Rafałowicz, podnosząc oczy.

— Przyszło jakichś dwóch smyków, alem ich nie puściła, bo to może Szwedy.

— Cóż to za smyki? jak się zowią?

— Jeden peda co jest synem starej Ginterowej z Krzywego Koła, a drugi przekupki Maciejowej z rynku.

— A Kacpra tam niema?

— Niema.

— No, więc idź jejmość i wpuść tych dwu smyków. Zobaczymy czego chcą.

— A nóż to Szwedy przebrane?

— Nie plotłabyś jejmość nie do rzeczy! Idź i wpuść ich.

Pani Hipolitowa pokiwała głową i przeżegnała się, idąc do kuchni.

— W Imię Ojca i Syna... jegomość tota zawsze z tymi smykami ma jakieś konszachty. Ha! niech się dzieje wola Boża!

Otworzyła drzwi i na wielkie swoje przerażenie ujrzała najprzód Maciusia, ciągnącego kosz, za nim Kazika, a wreszeie Kacpra, który właśnie także nadszedł. Ale jeżeli długa, cienka postawa Maćka, ciągnącego kosz z trzaskiem i hałasem i stękającego swe „o laboga, laboga,“ przestraszyła Hipolitową, to widok Kacperka, którego знаła dobrze, jako codziennego nieomal gościa jej pana, uspokoił ją zupełnie. Jednakże zaciekawiona co znaczy ten kosz olbrzymi, lękając się (bo to jej

przez myśl przebiegło) czy w nim niema ukrytych jakich pół tuzina Szwedów, zapytała żywo Maćka, który najbliżej niej stał:

— A to co?

— Kosz— odrzekł Maciek spokojnie.

— Jać to wiem, że kosz, ale co w nim jest?

— Towary.

— Towary? jakie towary?

— Matusine.

I Maciek przeciągnął się, ziewnął i zajęczał:

— O laboga, laboga! a tom się zmachał!

— W Imię Ojca i Syna, ki licho... Panie Boże odpuść! — zawołała Hipolitowa, patrząc na Maćka.

Ale już Kacperek wysunął się naprzód i dowiedziawszy się od Kazika na schodach o wszystkim, co się stało na rynku, rzekł:

— Niechno pani Hipolitowa się nie boi. To są towary z kramiku starej Maciejowej, który Szwedy rozbili.

— Szwedy? o! niecnoty!

— Niechno nas jejmość wpuści do pana.

— A idźcie, czeka tam na was. Ale cóż będzie z tym koszem?

— Ostanie tu.

— Jakto ostanie? a nuż Szwedy się o tem dowiedzą?

— Niech się pani Hipolitowa nie boi, nie dowiedza się.

To rzekłszy, Kacperek ruszył przodem do izby pana Rafałowicza, a za nim milezący Kazik i Maciuś, stękając i jęcząc swoje:

— O laboga! laboga!

Pan Rafałowicz przyjął ich z wesołą twarzą, ale zaraz Kacperka zapytał, wskazując na Kazika i Macieka:

— Witaj mi, Kacperku! a ich po coś przyprowadził?

— Przyszli do jegomości po radę i pomoc.

— Aha!—rzekł na to pan Rafałowicz—siadajcie. A może się czego napijecie, hę?

— O! jabym się napił! — zawołał dyszkantem Maciuś.

— Zaraz. Hej! Hipolitowa!

Klasnął w ręce i niebawem zjawiła się Hipolitowa, stanęła we drzwiach i opryskliwym głosem zapytała:

— Czego?

— Niemasz ta czego dać napić się tym młodzieniaszkom?

— Napić się? a skądże? a przytem takim smykom nie godzi się i nie zdrowo jest pić. Pan Jezus dał wodę na to, by ją pić, a reszta to są...

Panie Boże odpuść... dyabelskie, z przeproszeniem jegomości, wynalazki.

— No! no! — uśmiechnął się pan Rafałowicz, nie zrzędziłabyś, stara, jeno daj czego, bo jakże gadać o suchem gardle?

— Jegomość to ta zawsze sprowadza do siebie tych smyków i obaczy jegomość, że z tego będzie jeszcze jaka galimatya.

— Dobrze! dobrze! przynies jeno co pić.

— Nie mam nic, jeno dzbanek podpiwku.

— Daj i podpiwku, skoro nic innego niema, jeno prędko, a drzwi od schodów zamknij i nikogo nie wpuszczaj.

Hipolitowa spojrzała złemi oczami na siedzących chłopców, zwłaszcza na Maćka, którego figura najbardziej się jej niepodobała, chciała coś rzec, ale splunęła i wyszła. Wkrótce wróciła z dzbanem glinianym i czterema szklanicami z zielonego szkła i zabierała się do wyjścia, mrużąc coś pod nosem niechętnie. Wychodząc, jednak spojrzała na Maćka, który przysiadł był sobie na niskim kufrze w kąciuku, a że miał nogi niezwykle długie i cienkie, więc je wyciągnął, a sam ziewał szkaradnie i jęczał przyciszoneg głosem, bo miał wielki respekt dla pana Rafałowicza:

— O laboga! laboga!

Pani Hipolitowa postąpiła chwilę, popatrzyła na ziewającego Maćka, na jego nogi wyciągnięte aż

na środek izby, ruszyła ramionami i przeżegnała się, szepecząc:

— W Imię Ojca i Syna... ki licha!

Nakoniec wyszła i zamknęła za sobą drzwi starannie. Wkrótce potem, gdy między rozmawiającymi w izbie, jak to często bywa wśród najciekawszej nawet pogadanki, zapanowało chwilowe milezenie, słyhać było potężne, na różne tony wygrywane, chrapanie pani Hipolitowej.

— No!—rzekł po wyjściu swej gospodyni pan Rafałowicz, teraz jesteśmy sami i nikt nam nie przeszkodzi, musimy gadać. Ale należy im piwa, Kacperku, bo mnie nogi bołą i krzyż, to mi się mociumdzieju, trudno ruszać.

Kacperek zabrał się do nalewania owego podpiwku, a tymczasem pan Rafałowicz dalej mówił:

— Nim jednak przystąpimy do spraw tych oto młodzieniaszków (tu wskazał na Kazika i Maćka), najpierw należy pogadać *de publicis*. Opowiadaj, Kacperku, co tam wiesz nowego.

W tejsze chwili Maciek, który wypił całą szklanicę piwa jednym tehem, postawił ją z trzaskiem na stole, obtarł rękawem od kubraka szerokie swe usta i całą piersią ryknął:

— O laboga! laboga!

— A to co?—przestraszył się pan Rafałowicz i aż podniósł się nieco na krześle—co się stało?—zwrócił się do Maćka.

— A nie—odrzekł tenże.

— A czegożes tak wrzasnął?

— Niczego!

— Jakto niczego? przecież coś ci się stać musiało?

— Nic... jeno mi kwaśno w gębie.

— Z czego?

— Z tego podpiwku.

Ale Kacperek wmieszał się w tę rozmowę, któraby z pewnością końca nie miała, bo znał Maćka i rzekł:

— A niech jegomość na tego kpa uwagi nie zwraca. To całkiem głupi chłop, choć poczciwy.

— A nie głupi!—zaprotestował Maciek.

— Cicho bądź!—syknął mu nad uchem Kazik i wlepił mu kulaka pod bok.

— Nie bij!—mruknął Maciek.

— Jak mi się jeszcze raz ozwiesz — szeptał Kazik — tak cię razem z Kacperkiem weźmiemy za kark i za drzwi wyrzucimy na ulicę, a tam Szwedy na ciebie czekają i taką ci łaźnię w kordegardzie marszałkowskiej sprawią, że ci się rozdzona babka przyśni.

— Nie gadaj!—zawołał Maciek—zali prawdę mówisz?

— Najprawdziwszą prawdę.

— No, to już pary z gęby nie puszcze.

Jakoż odtąd nie wyrzekł ani słowa, jeno oparł się plecami o ścianę i zaraz zasnął tak mocno, że jego basowe chrapanie wtórowało pięknie dyskantowym tonom pani Hipolitowej w kuchni.

ROZDZIAŁ IV

***Jako Kacperek obrzydzenia dostaje na myśl
o postępku pana Gizy.***

— Dziś tedy o południu — rozpoczął swą relacyę Kacperek — przybył do ratusza, do pana prezydenta, pewien braciszek, jakoby z konwentu Bernardyńskiego. Patrzałem na to własnymi oczami, bo w izbie radnej, okrom pana Gizy i mnie, nikogo więcej nie było. Patrzę ja na owego braciszka, a że ja ich tam wszystkich znam w naszym klasztorze warszawskim, więc zaraz sobie powiadam: o! to nie tutejszy, to jakiś obcy. Siedzę sobie tedy, gryzę pióro i patrzę, ile że on braciszek weale mi nie wyglądał na zakonnika, ale chyba na żołnierza.

— Tak?—zapytał ciekawie pan Rafałowicz— a dla czegoż to?

— Dla tego, proszę jegomości, że wszedł z trzaskiem do izby, a postawę miał dumną i wypro-

stawany był jako świeca. Stapał tak silnie, że się podłoga pod nim trzęsła.

— Nie dziwota—ozwie się na to pan Rafałowicz— ratusz jest gmach stary i belki ma pogniłe. To też jeżeli jaki mąż setny idzie, to się wszystko trzęsie i jeszcze się kiedy, Boże broń, zawali. Kiedym był rajcą, gadałem o tem nieraz współobywatelom, ale to groch na ścianę. Ciężko im zawždy było sięgać do mieszka, a teraz ciężej niż dawniej. Ale opowiadaj dalej, Kaeperku. Cóż ten braciszek?

— Ano... braciszek wszedłszy na środek izby, obejrzał się dokoła, groźnym patrząc wzrokiem i rzekł grubym basem: a gdzie tu jest pan prezydent? potem zaraz się spostrzegł, spokorniał i rzekł, pochyliwszy głowę: *Laudetur Jesus Christus*. Już to samo świadczyło, że nie był on zakonnikiem, jeno całkiem świeckim, który na się postawę Bernardyna przybrał.

— Hm! hm!—mruknie pan Rafałowicz i przysunie się z krzesłem do Kaeperka—osobliwsze rzeczy mi tu opowiadasz. Cóż dalej?

— Tedy pan Giza, który siedział za prezydenckim stołem i mozolił głowę, skąd tu wziął dla Szwedów na wielką ucztę, którą jenerał Wittenberg wyprawia, dwustu kapłonów, baranów moc, też wołów i wszelkiego rodzaju marcepanów i napitków...

— Jakże to? Wittenberg biesiadę wyprawia?

— A tak. Pojeżdżały się ich żony, niby tych Szwedów, więc chcą się zabawić i wczoraj wieczorem przysłał generał Wittenberg do pana prezydenta, tak długą, jak moja ręka, konotatę, co miasto ma dostawić. Strach co tego tam jest! ryby, limony, pinole, wina, samego piwa pięćdziesiąt beczek...

— Patrzajże, co tym zamorezykom się zachceiwal!

— A tak! a tak! ale mnie się widzi, że będą oni mieli inne limony, ale ołowiane.

— Hm! proszę ja ciebie, mój Kacperku—gadjajże dalej. Cóż tedy pan prezydent i on Bernardyn.

— Ano... pan prezydent wstał i rzekł: „oto jestem“. Więc on Bernardyn obejrzał się dokoła, popatrzał na mnie i rzecze: „ja tu mam do waćpana interes, ale jeno w cztery oczy“.

— Możesz, ojeze dobrodzieju, wszystko gadać—ozwie się na to pan Giza, bo to jest mój krewniak, sekretarz radziecki, a chociaż młody, umie język trzymać za zębami.

— Prawdę rzekłszy, okrutnie byłem wdzięczny za to panu Gizie, bo mię haniebną wzięła ciekawość dowiedzieć się, co to jest za braciszek i z czem do pana prezydenta przyszedł. On też obejrzał się jeszcze raz i spytał: „nikt nas tu nie

podslucha?“ „nikt—odpowiem ja—a zresztą obaczę.“—„Obaczże mój chłopcze“—rzecze mnich— „bo to sprawa gardłowa.“ Skoczyłem tedy, wyjrzałem za jedne i za drugie drzwi, niema nikogo. Zamknąłem szczerlnie podwoje i mówię: „możesz, ojeże, gadać, nikt tego nie usłyszy.“ Tedy



braciszek zbliżył się do pana Giza i sięgnawszy ręką do kieszeni, wydobyl nożyk i poczał pruć rękaw habitu i gadać: „mam tu do waćpana pismo królewskie.“ Pan Giza, który choć prezydent i mój krewniak, jest, jak wiadomo, tehórzem pod-

szyty i głowę ma zakutą, nie odrazu zrozumiał i pyta: „Królewskie pismo? od Najjaśniejszego Karola Gustawa?“ Ale braciszek spojrział groźnie i mruknie: „Co mi tam waćpan do stu par dyabłów pleciesz o jakimś najjaśniejszym Karolu Gustawie! tu jest Rzeczpospolita polska i jeden tylko w niej jest najjaśniejszy Król Jan Kazimierz. Rozumiesz to, mości panie prezydencie?“ Powiadam jegomości, jakim to usłyszał, ażem podskoczył z radości, a pan Giza to spostrzegł i spojrzy na mnie z podelba i rzecze przez nos, jak to on gada, kiedy jest zły: „a ty czego się wiercisz u paralusza!“ Przycapnałem i patrzę a słucham, a braciszek dalej gada: „ja tu do waćpana i do wszystkich rajców mam pismo, nie jakiegoś tam rabusia i wywłoki Karola Gustawa, jeno Króla polskiego, Jana Kazimierza. A że tu w Warszawie Szwedy jeszcze grasują, więcem zaszył me pismo w rękaw od habitu, żeby go te heretyki paskudne nie zwąchały.“ Tak gderając, rozpruł rękaw i wydobyl owe pismo i oddał je panu prezydentowi, mówiąc: „masz waćpan i czytaj!“ Ha! ha! ha! trzeba było widzieć pana Gizę, jak zbladł niby chusta, potem zzieleniał, to przysiadł, to się zrywał i syknął głosem drżącym: „cicho! na rany Chrystusa Pana, cicho!“ — „A to czemu? spytał braciszek — czyż ten młokos nie powiedział, że nas nikt nie podsłucha?“ — „No,

tak... niby tego, ale i ściany mają uszy.“ „To też waćpan nie gadaj, jeno czytaj, a ja sobie usiądę, bom się zmęczył.“ To rzekłszy, przysunął sobie wielkie krzesło pana Baryczki i siadł na niem i patrzył, jako pan Giza drżącemi rękami rozpierzchłowywał pismo.

— No! no!—zauważył pan Rafałowicz—przysięgam Bogu, osobliwsze mi tu nowiny opowiadasz. Cóż było w tem piśmie?

— Miałem cię ja okrutną ochotę zobaczyć to pismo królewskie, ale jak to mogłem uczynić? Siedziałem tedy jak na szpilkach, a pan Giza niby czytał, a papier to mu tak szeleścił w rękach, jakby wiatr nim miotał. Wreszeie odezwie się: „nie, nie mogę, nic nie widzę. Kacperku, chodź no tu, odczytaj, co nam Król Jegomość pisze.“ To rzekłszy, westchnął ciężko, a tak się spocił, że aż krople potu spływały mu po okrągłym i białym jak u niewiasty liczku. Nie trzeba mi było dwa razy tego rozkazu powtarzać. Skoczyłem, pismo schwyłem i jednym rzutem oka przejrzałem.

— Więc przeczytałeś?—spytał pan Rafałowicz.

— A jakże, przeczytałem.

— I cóż tam było?

— Dokumentnie to ja tego powiedzieć nie mogę, ale pamiętam dobrze samą treść. Król Jegomość w łaskawych bardzo słowach polecał pre-

zydętowi i radzie oddawcę tego pisma, imci pana Seweryna z Żurawinca Boskiego, rotmistrza chorągwi pancерnej, a że pismu niebezpiecznie powierzać ważne sprawy, których pan Boski jest posłem, więc nakazuje pod łaską swoją wysłuchać pilnie pana Boskiego i wypełnić to wszystko, co on powie.

— Patrzajże! — klasnął w ręce pan Rafałowicz—to takie rzeczy się święcą, ale gadajże dalej, cóż ten pan Boski powiedział?

Skorom przeczytał w głos owe pismo, pan Boski rzecze: „słuchajże mię waćpan, bo czasu nie mam i Szwedziska mogą mię capnąć. Tedy wiedz, że król Jegomość niebawem z wielką potencją przyjdzie pod Warszawę i jeżeli się Wittenberg nie podda, szturmem miasto weźmie i tych zamorszczyków do nogi wytniemy. Ale wziąć takie miasto jak Warszawa—nie łatwo, więc król Jegomość nakazuje waćpanom i rajcom, ażebyście mu dopomogli, uzbroiwszy się cichaczem i czasu szturm wewnątrz uderzyli na Szweda; żebyście wskazali, któredy najłatwiej dostać się do miasta i bramy otworzyli. Takim jest moje poselstwo.“

— Patrzajże, patrzajże—wołał pan Rafałowicz ogromnie ucieszony i przysuwając się coraz bardziej ze swym zydlem do Kacperka.—Szturm będzie... Szwedów do nogi wytną! A toś mnie ucieszył, mój chłopcze! Niech ci to pan Jezus wynagrodzi. No i cóż? cóż na to pan Giza?

— Pan Gizal a niech go tam!... choć to mój krewniak i też zwierzchnik, jednakże lichy to człowiek. Skoro usłyszał owe słowa pana Boskiego, zzieleniał jeszcze bardziej i nuż mu gadać: „ale owszem, owszem... tego... tylko cóż my niebożęta poradzimy? tu jest wielka potencya szwedzka, trzymają nas za łeb, mury naprawili... gdzie nam tam... my ludzie nierycersey, łokciem i miarką się paramy, nie znamy się na rzemiośle wojennem“ i tym podobne rzeczy gadał, niby nie odmawiał, ale nie nie przyrzekał i w strachu był okrutnym a pocił się, że aż kapalo z niego. Prawdę rzec, obrzydzenie mię brało.

— A cóż ów poseł królewski na to?

— A cóż? patrzył i słuchał, a w końcu wstał, splunął i rzekł: „bodaj was zabito! prawdziwe jesteście łyki i tchórze. Poselstwo moje spełniłem, wolę Króla Jegomości waćpanu zakomunikowałem i siedzieć tu nie mam czego. To tylko ci, mości prezydencie, powiem, że my z taką mocą przyjdziemy pod Warszawę, że się bez waszej, łyczków, pomocy obejdziemy. A jak wymieciemy to robactwo szwedzkie, to się weźmiemy do was, zdrajców. Tfu! do kaduka, gdybym tu ostał dłużej, toby mię paralusz z aprehensyi naruszył.“ To rzekłszy, nadział kapuzę na głowę i z wielkim trzaskiem i gniewem z izby wyszedł. Oto wszystko.

— Hm!—mruknął zamysłony pan Rafałowicz—
ja się zawsze spodziewałem tego po panu Gizie.
Nie od wczoraj go znam i wiem, co to za pta-
szek. Ale burmistrz nie jest wszystkiem w mie-
ście. Poseł królewski miał poselstwo i do rajców,
do mężów trzech porządków, a oni pewnikiem
inaczej postanowią.

— Nic z tego nie będzie, mój jégomość. Pan
Giza, jak tylko poseł wyszedł poczał stękać i na-
rzekać i jęzczyć. „A po co mi zdrową głowę kłaść
pod Ewangelią!“ gadał—„nie głupim. Co nam do
tego, nie myśmy tu Szweda sprowadzili i nie my
go wypędzać będziemy. Kto piwa nawarzył, niech
go sobie pije.“ Potem poczał gadać, że go głowa
i krzyż boli, że go rozebrało i musi pójść do do-
mu i dekokt pić z dryakwi, bo mu słabo. Jakoż
poszedł i położył się do łóżka i podobno choro-
wać będzie tak długo, aż się to wszystko ze
Szwedami nie skończy.

Zapanowało milczenie. Pan Rafałowicz po-
grążył się w głębokie dumania, których ani Ka-
perek ani Kazik przerwać nie śmieli. I była
wielka cisza, którą jeno zakłócało basowe chra-
panie Maćka Dratewki w izbie i dyszkantowy
pisk pani Hipolitowej w kuchni.

Nakoniec milczenie to przerwał pan Rafało-
wicz. Ocknął się ze swej zadumy, poprawił na
krześle i rzekł:

— Tak to, tak bywa na świecie! Ale to są sprawy publiczne, niewesołe co prawda. Powiedzże mi teraz, dla czego ci dwaj młodzieńcy do mnie przyszli?

Tu wskazał na Kazika i Maćka i dodał:

— Podobno chcą jakiejś rady, o cóż więc idzie?

— Ej — odparł Kacperek — Kazik Ginter, to nie przyszedł po żadną pomoc ani też radę. Tyle tylko, że mu Szwedy doskwirzyły do żywego i że chłop jest ciekawy, więc przyszedł gwoli tego, żeby się dowiedzieć co słychać. I pewnością dusza mu skacze z radości na wspomnienie, że król jegomość szturmować będzie Warszawę i temu plugawstwu szwedzkiemu zada dajfeldreku.

— Jakbyś zgadł, że się ciesze! — zawołał Kazik, a oczy mu zaświeciły się jak dwa karbunkuly.

— No... a ten drugi — tu wskazał pan Rafałowicz na Maćka — czegoż on chce?

— O! z tym to bieda będzie, mój jegomościu — ozwie się Kacperek — temu trzeba radzić i dopomódz.

— W czymże takim?

Więc Kacperek szeroko i dokumentnie opowiedział, jak Szwedy napadły dziś nad wieczorem na kramik Maciejowej przekupki, wdowy po szewcu Macieju Dratewce, jak Maciejowa się walecznie broniła i Szwedów pobiła, ale nadszedł ront, kra-

mik rozbił i biedną przekupkę zabrał do kordegardy na Zamek.

— Więc cóż?—spytał pan Rafałowicz.

— Ano... wiadomo, że gubernatorem Zamku jest pan Gildesterna, ezlek srogi i gotów z Maciejową Bóg wie co zrobić. To nas okrutnie trapi.

— Was trapi ale nie jego — tu wskazał na Maćka—choć jest syn. Śpi sobie w najlepsze.

— A to proszę jegomości — ozwie się na to Kazik—to już takie jego przyrodzenie. Chłop to głupi, ale dobry. Był jeno usiadł, zaraz śpi.

Pan Rafałowicz znów pograżył się w zadumę, polewkę, która całkiem wystygła, popijał, węża motał, wreszcie rzekł:

— Już to tam, moćiumpanie, co do owej Maciejowej rady żadnej niema. Kiedy baba nawarzyła piwa, niechże sobie pije. Klótliva jest i gębę ma od ucha do ucha; nie nie szkodzi, że ją ta Szwedy w kareeresie potrzymają na chlebie i wodzie. Gruba jest i tłusta, trochę schudnie i na tem koniec. Zresztą, co jej tu pomódz? Chybaby ją wykraść z zamku, ale to gra niewarta świeczki, i jakże ją zresztą wykładać? Towar, któryście tu przynieśli, niech ta sobie stoi u mnie, nikt go nie ruszy, ale samej Maciejowej ja nie nie poradzę. Zresztą, co ja i wy macie myśleć o swarliwej przekupce, kiedy ważniejsze sprawy są na głowie!

Umilkł, poprawił się na krzesło, popił polewki i rzekł:

— Bo, że ani pan Giza, ani też rajcy i mieszczanie nie pójda za wezwaniem królewskim, to widać dokumentnie z tego, coś tu opowiedział, mój Kacperku, a co ja też z doświadczenia wiem dobrze. A skoro oni nie nie dopomoga i każą rozbijać się wojsku królewskiemu o mury i krew przelewać niezbożnie, to rzeczą jest naszą i wszystkich ludzi uczciwych, aby owym nieborakom, którzy będą walczyli ze Szwedami, dopomóż. Czy dobrze mówię?

— Dobrze! dobrze! — odezwał się Kaeperek i Kazik.

— I gotowi jesteście, tak jak tu stoicie, dopomóż wojsku królewskiemu do wypędzenia Szweda z naszego miasta?

— Gotowi całą duszą i sercem! — zawołali obaj chłopey.

— Tedy czekajcie tu — rzekł pan Rafałowicz, powstając z krzesła — coś wam pokażę i coś uradzimy.

To powiedziawszy, wyszedł do sąsiedniej izby, w której był alkierz jego.

ROZDZIAŁ V

W którym jest nieco o tajemnicy, o architekcie Ascolim i o śpiochu Maćku.

Dość długo pan Rafałowicz się nie pokazywał, słyhać tylko było jak otwierał i zamykał jakieś szuflady i szukał między papierami, które szeleściły mocno. Obu czuwających chłopców otaczała wielka cisza, przerywana jeno chrapaniem Maćka i pani Hipolitowej. Na wieży ratuszowej zegar wydzwonił godzinę jedenastą w nocy i spiżowy głos jego wśród sennego miasta rozchodził się daleko i donośnie. Kacperek i Kazik zaciekawieni byli mocno, co to takiego ma im pokazać pan Rafałowicz i z niecierpliwością oczekiwali jego powrotu z alkierza.

Nakoniec zjawił się on, dzierząc w jednym ręku duży arkusz papieru, zwinięty w trąbkę, a w drugiej kartkę jakąś złożoną we czworo. Usiadł na krześle, oddychając głośno, bo się widocznie staruszek zmęczył i kładąc na stole ów papier zwinięty w trąbkę, rzekł:

— Obaczcież to najprzód.

Tedy Kacperek rozwinął ową trąbkę, nie papieru, jak się przekonał, ale pożółkłego mocno pergaminu, i ujrzał na nim narysowany piórem i czarnym atramentem jakiś plan czy konspekt miasta.

— To jakiś plan—rzekł.

— Dobrze, ale przypatrz się jeno, czego to jest plan — odezwał się z uśmiechem pan Rafałowicz.

Gdy się Kacperek i Kazik poczęli lepiej przypatrywać, a nawet odczytywać tu i owdzie pomieszczone drobnymi literami napisy, przekonali się, że jest to plan ich rodzinnego miasta Warszawy. Wszystkie ulice, mury otaczające miasto, bramy, kościoły i zamek, były bardzo misternie oznaczone, ale co ich uderzyło i dało dużo do myślenia, to że przez cały plan, począwszy od bramy Nowomiejskiej, szła czerwona, zygzakowata linia, kończąca się na dziedzińcu zamkowym.

— To jest plan Warszawy! — zawołał Kazik.

— Tak — ozwał się Kacper — to jest plan Warszawy i jeżeli mam rzec prawdę, o wiele lepszy i wyraźniejszy od tego, jaki znajduje się w ratuszu. Wszystko tu doskonale pojmuję na tym planie, ale zgoła nie mogę pojąć, co by znaczyła owa czerwona linia, przecinająca miasto od bram Nowomiejskich aż do Zamku.*

— Zaraz to pojmiesz—ozwie się z uśmiechem pan Rafałowicz—jeno przeczytaj kartkę, przylepioną do planu.

Jakoż do jednego z boków planu, przylepiona była pomięta i połamana kartka pożółkłego papieru, na którą, sądząc że to zagięcie pergaminu, zrazu nie zwrócili obaj żadnej uwagi. Teraz atoli Kacperek skwapliwie i ostrożnie kartkę ową odwinął, wyprostował i zobaczył na niej staroświeckiem piśmie skreślone wyrazy następujące, które głośno odsylabizował:

„*EivotsI ElleD IllevaihcaM SupO EdiV.*“

Przeczytał, spojrzął na Kazika, potem na pana Rafałowicza i rzekł:

— Nic nie rozumiem. Po jakimuż to pisane?

— Po łacinie—odrzekł z uśmiechem pan Rafałowicz.

— Po łacinie? — powtórzył Kacperek—juścić wierzyć temu muszę, skoro jegomość tak powiada, ale osobliwsza to jakaś łacina. Jać przecie znam ten język, bo i akta w ratuszu nieraz w nim pisze, alem jeszcze jak żyję nie spotkał się z takimi wyrazami, jakie tu popisano.

— Powiadam ci, że to po łacinie — odparł ciągle z uśmiechem na ustach pan Rafałowicz— i zaraz cię o tem przekonam, jeno wprzód obacz, co tam jest dalej na owym karteluszu.

Kacperek i Kazik spojrzeli i znowu zdziwieni byli nadzwyczajnie, ujrawszy pod owym dziwnym napisem szereg cyfr to rzymskich, to arabskich, tak naprzykład wyglądających:

XXIV. 75. 61. 3. 10. XL. 1. 8. 122. C. 57. CXV. 44. 8. 65 i t. p.

— To są same liczby—zawołał Kacperek—nie tego nie pojmuję, to jakaś tajemnica.

— Oczywiście, że tajemnica—ozwie się na to poważnie pan Rafałowicz—tajemnica niezmiernego znaczenia, którą chcę przed wami odkryć, ale wprzódry musicie mi tu przysiądz, że nikomu o niej nie powiecie. Znam ja was obu jako dobrych i zacnych chłopców, ale jesteście młodzieniaszki i zwyczajnie, jak u młodych, macie pstro w głowie. A już, jak przysięgniecie, to choćby was język świerzbiał, trzymać go będziecie za zębami. Kacperku, podaj mi krucyfiks, co tam stoi na kantorku.

Gdy Kacperek zadość uczynił temu rozkazowi, pan Rafałowicz zdjął aksamitną czapeczkę z głowy, przeżegnał się, krucyfiks pocałował pobożnie i rzekł surowo:

— Ukłękniście i połóżcie po dwa palce na tym oto wizerunku Ukrzyżowanego Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Mówił to głosem poważnym, uroczystym, który wśród ciszy tej nocy dziwne sprawiał na obu

chłopcach wrażenie. Ukłękli pokornie i położyli po dwa palce na krucyfiksie.

— A teraz — ciągnął dalej pan Rafałowicz — powtarzajcie za mną słowa przysięgi.

I przeżegnawszy się jeszcze raz, mówił:

— Przysięgamy Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, że tego, o czem się tu z tych papierów dowiemy, nikomu nie wyjawimy, choćby nas brano na męki, chyba że tego wymagać będzie bezpieczeństwo Rzeczypospolitej i miasta, tak nam Boże dopomóż i Ty, Przenajświętsza Matko Jego. Amen.

Postawił krucyfiks obok siebie na stole i rzekł surowo:

— Powstańcie! przysięgliście a wiecie, jak Pan Bóg surowo karze krzywoprzysięzców. Teraz zbliżcie się tu do mnie i słuchajcie pilnie.

Obaj chłopcy ogromnie zaciekawieni, przysunęli swe zydle do krzesła pana Rafałowicza, a on półgłosem opowiadał co następuje:

— Lat temu będzie akuratnie na św. Michał, dwadzieścia, gdy w mieście naszym zmarł Włoch pewien, nazwiskiem Silvio Ascoli, architekt, człek uczony i mistrz nad mistrze. Przybył on tu, jeszcze za nieboszczyka króla Zygmunta III-go, jako to wtedy do przebudowy Zamku różnych mistrzów włoskich król jegomość sprowadzał. Włochowi dobrze się u nas wiodło, budował z innymi Za-

mek, wymurował też wiele kamienie w mieście naszym bogatym mieszczanom, jako to panu Walterowi w Rynku, rajcy miejskiemu, pani Katerlinej, panu Dziańotowi, ławnikowi i innym, których tu wymienić trudno. Były wtedy, mocumpanie, inne czasy, mieszczanie się mieli dobrze, pieniędzy było dostatek, król zamieszkał w Warszawie i sam będąc wielkim miłośnikiem budownictwa, zachęcał i wspierał nawet groszem z własnej szkatuły wielu, by się jeno budowali. Miasto całe inną postawę przybrało i było piękne, a wszystko było murowane. Dawne to czasy i wy tego nie pamiętacie, ale ja pamiętam, bom już stary, bardzo stary.

Tu pan Rafałowicz westchnął, poprawił się na krześle i tak dalej mówił:

— Otóż tedy, Włoch ten, Silvio Ascoli, zebrał sobie trochę grosza, ile że był oszczędny i pracowity, a człek uczeiwy z kościami, i wybudował sobie kamieniczkę niewielką, ale bardzo piękną, tuż przy bramach Nowomiejskich, ale już *extra muros*, na gruntach wójtowskich, by mieć gdzie spocząć, jak sam gadał, na stare lata. Znałem go dobrze, ile że był uczony i w księgach się kochał wiele. Miał piękną bibliotekę i nieraz całemi dniami i nocami przesiadywał nad owemi księgami swojemi. Pod starość z nikim nie żył, unikał ludzi, samotnik się zrobił wielki, jeno mnie

jednemu dochował statecznej przyjaźni. Wdowcem był, bo żona jego, a moja siostra przyrodnia, imci-panna Zuzanna Rafałowiczówna, Panie świeć nad jej duszą, dawno mu umarła, nie ostawiwszy żadnego potomstwa. Stąd to nasza znajomość i przyjaźń, bo ja też zawsze lubilem się parać księgami i przeto przyłgnęliśmy do siebie z Ascólim. To, bywało, gada on mi nieraz: słuchajno Pietrze, nie mam ja nikogo na świecie, więc zrobiłem tobie zapis mojej kamieniczki i ksiąg moich, a jak umrę, przechowaj je i dobrze rozpatrz, a znajdziesz tam jedną wielką tajemnicę, która ci się przydać może.

Znów pan Rafałowiez westchnął żałośliwie, przeciagnał się i prawił dalej:

— Prawdę rzekłszy, do onej tajemnicy jakiejś, niewielką przywiązywałem wiarę, boć Ascoli, choć był człek poczciwy, ale dziwak jakich mało. Ale gdy już umierał, to kazał mi się nachylić nad sobą i szepnął mi: „obacz w mojej bibliotece dzieło wielkiego Machiavella „Il principe“, tam jest tajemnica.“ Myślałem, że umierający majaczy i zapomniałam o tem. Skorom go już jednak uczciwie pochował i tablicę mu marmurową wmurowałem w ścianę kościoła św. Jana, objąłem w posiadanie jego kamieniczkę i bibliotekę i wszystko, co po nim pozostało. Owóż tedy, moćiumpanie, w jakiś czas potem, przeglądając one księgi, przy-

omniałem sobie, co mi przed samym zgonem Ascoli powiedział. Wyszukałem tedy dzieło owego Machiavella, który był znakomitym autorem włoskim i napisał sławną po wsze czasy księgę p. t. „Il principe“, co niby znaczy po naszym król, monarcha. O czem tam mówi Machiavelli, to do rzeczy nie należy i wy za młodzi na to jesteście. Dość, żem ową księgę w bibliotece Ascolego znalazł i w niej, we środku natrafiłem na wsunięty między karty ten oto plan Warszawy, który tu przed wami leży, z tym karteluszem do niego przyczepionym.

To powiedziawszy, pan Rafałowicz przysunął się z krzesłem do stołu i kładąc rękę na planie, mówił:

— Zrazu mocumpanie, nie zrozumiałem o co idzie i rzeknę do siebie: „ma to być owa wielka tajemnica, o której mi na łożu śmiertelnem mówił Ascoli? cóż tu jest za sekret? prospekt miasta i nie więcej.“ Ale tak jak was dzisiaj, tak i mnie wtedy uderzyła w oczy owa czerwona linia, co idzie akurat z kamieniczki Ascolego przez całe miasto aż do Zamku. Coby ona znaczyła, odgadnąć nie mogłem, jak nie mogłem w żaden sposób zrozumieć, co jest napisane na przyklepionym tutaj karteluszu. Ale od czegoż Pan Bóg dał człowiekowi rozum? Powiedziałem sobie, że pewnością cała tajemnica leży w tych dziwacznych

wyrazach, wypisanych na karteluszu. Ale do jakiego języka one należą, tego odgadnąć nie mogłem. Zastanawiając się jednak, przypomniałem sobie, że nieboszczyk Ascoli umiał jeno po włosku i łacinie, zatem nie mógł w innym, jak tylko w jednym z tych dwóch języków napisać tych wyrazów. Ale nie było to ani po włosku, ani po łacinie. Łamałem sobie głowę długo, aż wreszcie doszedłem sensu. Kacperku, weźno i przeczytaj te wyrazy odwrotnie od prawej ręki do lewej.

Tedy Kacperek począł czytać:

— *Vide opus Machiavelli delle istorie.*

— A widzisz! cóż to znaczy?

— Obacz dzieło Machiavellego „delle istorie.“

— „Delle istorie“ to jest księga tego uczonego włoskiego i znaczy: „o historyi.“ Jest to dysertacya, jak należy pisać historya.

To rzekłszy, pan Rafałowicz uśmiechnął się dobrotliwie i mówił dalej:

— Cóż stąd za wniosek? spytałem się siebie. Oczywiście rzecz, należy zobaczyć owe dzieło, a z niego pewnikiem, mociumpanie, dowiem się o tajemnicy. Wprawdzie już wtedy zaraz zwróciłem uwagę na szereg liczb rzymskich i arabskich, pomieszczonych pod onym napisem, ale myślałem, że to są jakieś rachunki lub obliczenia architektonskie Ascolego, ile że miał zawždy zwyczaj na różnych karteluszach, których mnóstwo po jego

śmierci znalazłem, takie rachunki czynić. Otóż tedy wyszukałem księgę Machiavellego „o historii,“ ale choć przerzuciłem wszystkie kartki, jedna po drugiej, nie w niej nie znalazłem, co by mię mogło o tajemnicy objaśnić. Już tedy chciałem całą sprawę rzucić, myśląc, że umierający majączył przed śmiercią, gdy jeszcze raz spojrzalem



na owe liczby. „To nie mogą być architektonskie rachunki, rzekłem — tu niema żadnych działań, cyfry są dwojaki: rzymskie i arabskie i idą szeregiem jak wiersze. To jest jakieś ukryte pismo i w nich mieści się cały sekret.

W chwili gdy to wyrzekł pan Rafałowicz, Maciek dotąd śpiący, nagle zbyt mocno się przechylił i runął jak długi z wielkim trzaskiem z ławy

na ziemię. Wszyscy pozrywali się przestraszeni, a Maciek otworzył też oczy i zajęczał:

— O laboga! laboga!

Tedy pan Rafałowicz przerwał swe opowiadanie i rzekł:

— Cóż z tym śpiochem zrobimy? możnali przy nim gadać? Wyprowadźcie go do kuchni i ulóżcie na ziemi, niech śpi i niech nam nie przeszkadza.

Więc Kazik, gniewny najprzód dla tego, że zajęty mocno relacją pana Rafałowicza, przestraszył się nagłym hukiem spadającego z ławy Maćka, a potem, że ta przygoda przerwała w najciekawszem miejscu opowiadanie pana Rafałowicza, skoczył do Maćka i kopnąwszy go porządnie nogą, krzyknął:

— Wstawaj, capie jakiś!

— Nie kop!—mruknął Maciek, nie podnosząc się.

— Wstawaj, mówię ci, bo dalibóg nie zdzierzę!

I to rzekłszy, nachylił się, porwał Maćka za szczecinową czuprynę i podniósł:

— Nie targaj!—mruknął Maciek, ale wyprostował się, ziewnął, przeciągnął, spojrział zdziwionym wzrokiem dokoła i jęknął:

— O laboga! laboga!

Ale nie miał czasu wpatrywać się, bo Kazik z Kacperkiem, który także skoczył, wzięli go za bary i wypchnęli za drzwi do kuchni.

— Tu capie jakiś—rzekł Kazik—możesz spać i nie przeszkadzaj nam, bo cię wyrzucimy na ulicę, a tam Szwedzi sprawią ci gorącą łaźnię.

To rzekłszy, zamknął drzwi i wrócił do izby pana Rafałowicza.

Franciszek
KRYSIE
ulica T...

ROZDZIAŁ VI

W którym jest mowa o tajemnicy mistrza Ascolego.

Skoro się już uspokojono z Maćkiem, którego chrapanie dało się słyszeć niebawem z kuchni w takt z panią Hipolitową, i skoro wszyscy zasiedli koło stołu, pan Rafałowicz tak dalej mówił:

— Owóż tedy, mociumpanie, na czem to ja stanąłem?

— Na tem, jak to jegomość zastanawiałeś się nad temi liczbami.

— Aal.. otóż nie mogłem ich nijak zrozumieć. Ale przecie było się kiedyś sekretarzem Jego Kr. Mości, Króla Zygmunta, dobry to był pan, choć z przeproszeniem mruk wielki, Panie świeć nad jego duszą, i przypomniałem sobie, jako do kancelaryi królewskiej przychodziły z zagranicy, zwłaszcza od cesarza niemieckiego, różne listy, a zawždy pisane pismem sekretnem, które tam w kancelaryi nazywano kluczem. Różne tedy by-

wają klucze i inwencya ludzka nadzwyczajnych rzeczy w tem dokonała, osobliwie u Niemców. Mądry to naród, choć nam nie miły, ale zawsze przyznać należy, że mądry.

Przysunął do siebie plan i ów karteluszek, poprawił się na krześle i mówił:

— Jakom rzekł, różne bywają klucze. Jedne wywracają wyrazy na wspak, jak to uczynił Ascoli w tem oto piśmie, ale to jest żaden klucz, bo lada kto, byle miał trochę zastanowienia, zaraz rzecz odgadnie. Inne, że zamiast liter, stawiają cyfry, rozmaicie ułożone, ale i to nie jest zbyt trudne do odgadnięcia, przy jakim takim namyśle. Wszakże jest jeden klucz, którego zawsze używał sam Król Jegomość, ile razy własnoręczne pismo słał do Cesarza Niemieckiego. W kancelaryi nazywano ten klucz książkowym, i to jest taki wynalazek, że choćbyś całe życie myślał nad nim, nie nie wymyślisz, jeśli nie wiesz samego sekretu.

— A to osobliwsze!—ozwie się Kacperek.

— Pewno, że osobliwsze, ale na świecie, mój chłopcze, bywają takie osobliwości, że ci się o nich nawet nie śniło.

— Cóż tedy ów klucz? jakież to jest sekret?—zapytał Kazik, którego ta rozmowa nadzwyczajnie interesowała i nie rad był, gdy ją czem przerywano.

— Zaraz ci to powiem. Ale też chrapie ten wasz kompanion, niech go kaczkę zdepczą!

— To jest chłop głupi ale poczciwy — ozwie się na to Kacperek.

— Mój chłopcze — rzecze pan Rafałowicz — już ja wolę mieć do czynienia ze złymi, byle byli mądry, jak z uczeiwymi głupcami.

— Ale cóż ów klucz? — wtrącił Kazik z niecierpliwością, bo paliła go gorączka dowiedzenia się o owych tajemnicach.

— Zaraz, w gorącej wodzie jesteś kąpany — odpowie pan Rafałowicz — wszystkiego się dowiemy, byle powoli. Mamy czas, nie nas nie nagli, a w taką nocną godzinę, gdy wszyscy śpią, najlepiej jest mówić o tajemnicach.

Przysunął sobie resztę zimnej polewki, wypił ją i tak mówił:

— To jest taki ten klucz. Dajmy na to, że ty Kacperku jedziesz do Krakowa, a ja zostaję w Warszawie i że mamy sobie nawzajem ważnych udzielać wiadomości o Szwedach. Ale Szwedzi nas podejrzewają, mają na oku i mogą przejmować nasze pisma i je odczytywać. Żeby temu zapobiedz, a rzecz samą do skutku doprowadzić, umawiamy się, że ja i ty będziemy mieli jedną książkę, niech będzie np. „Żywot poczciwego człowieka“ pana Mikołaja Reya z Nagłowic, któ-

raś czytał, bom ci jej pożyczał z mojej biblioteki, prawda?

— Prawda, jegomościuniu.

— Owóż tedy, to będzie tak, uważajcie jeno pilnie. Jak ja napiszę cyfrę rzymską, np. XXVII, to znaczy, że ty Kacperku otwórz księgę pana Reya i odszukaj kartę dwudziestą siódmą. Po owęj cyfrze rzymskiej, ja napiszę liczbę arabską, np. osiem, to znaczy, że masz szukać na karcie owej ósmego z kolei wyrazu...

— Rozumiem! rozumiem! — zawołał Kacperek uradowany — a! to jest mądrze obmyśłone. Niechże ich tych Niemców, czego to oni nie wymyśla!

— Tak, tak — ozwie się na to pan Rafałowicz — że to jest mądrze obmyśłone, to ani słowa. Mozolna to, kłopotliwa robota, ale sam Lucyper z przeproszeniem, nie odgadnie cò się pod temi cyframi kryje, jeżeli książki nie ma. Pojmujecie to?

— Pojmujemy! pojmujemy! mądre to jest bardzo...

— Owóż tedy, mociumpanie, patrząc ja na te liczby, co je tu nieboszczyk Ascoli na tym karteluszu popisał, zaraz domyśliłem się, że to jest klucz książkowy. Ale jakiej książki? — pewnikiem nie inszej, jeno owego mądrego dzieła Machiavellego „Delle istorie.“ Bo i pocóżby w nagłówku pisał, że mam do niego zajrzeć? nie

po co innego, tylko że tam znajdują się wyrazy oznaczone cyframi, a wyrazy te wykryją mi ową wielką tajemnicę. Takim sobie rozumował i okazało się, że dobrze rozumował.

Kazik ledwie się nie skrzył na zydłu, tak go ciekawość paliła i podziw, że to ludzie takie mądre rzeczy wymyślili, o których jemu nigdy się nie śniło. A pan Rafałowicz, jak gdyby chciał na próbę wystawić cierpliwość obu chłopców, przerwał, usadowił się lepiej na krześle, mileżał jakiś czas, nad słuchując chrapania Maćka i pani Hipolitowej, gładził wąsy, uśmiechał się, spoglądając z pod oka na chłopców, wreszcie rzekł:

— Wyszukałem tedy ową rozprawę Machiavellego „o historii,“ a znajdowała się ona w bibliotece po Ascolim i zabrałem się do odczytywania tajemnicy. Mozolna to była robota, wiele godzin nad nią straciłem, a i to mi przeszkadzało, że języka włoskiego dobrze nie znał. Ale że to u nas, w Warszawie zawsze Włochów było dużo, bo i między kupcami, i też w kapeli królewskiej, więcem ich się ostrożnie przepytywał, nie mówiąc dla czego, co taki lub inny wyraz znaczy. Po tylu to, moćcium panie, zabiegach i kłopotach odczytałem wszystko, co się kryło pod onemi cyframi i to na polski język wyłożone, wypisałem na tej oto karcie.

To powiedziawszy, rozwinął papier, który trzymał w rękę i wręczając go Kacperkowi rzekł:

— Przeczytaj to głośno Kacperku, a dowiedzie się o całej Ascolego tajemnicy i gwoli czego kazałem wam tak sroga złożyć przysięgę.

Kacperek głosem drżącym od wzruszenia czytał:

„Gdy słońce w dzień św. Jana Chrzciciela, w samo południe, zajrzy do komnaty, znajdującej się w mej kamienicy za bramą Nowomiejską, na dole po lewej ręce od sieni, i promień jego padnie na obraz mistrza Rafaela, przedstawiający Madonnę della Seglia, wówczas ty, który te wyrazy czytać będziesz, obraz ów zdejm i patrz, którą cegłę oświeca blask słoneczny. Cegłę tę wyjmij: a obaczysz otwór, który gdy rozszerzysz i weń wejdiesz, ujrzysz loch podziemny, który cię przez całe miasto zawiedzie aż na drugi dziedziniec zamkowy, pod wieżę Zygmuntofską. Kierunek tego podziemia oznaczyłem czerwoną farbą na prospekcie Warszawy, który sam narysowałem. O ty! który tę tajemnicę, nikomu nie znaną, wykryjesz, użyj jej na dobro tego miasta, które stało mi się drugą ojczyzną. Dan w Warszawie, w pierwszą niedzielę po świętym Filipie Nereuszu, Anno Domini 1652. Silvio Ascoli, budowniczy królewski, Florenczyk m. p.“

Po odczytaniu przez Kacperka tej zagrobowej spuścizny, w izbie zapanowało milczenie, gdyż

każdy z obecnych rozmyślał nad tem, co usłyszał. Zdawało się, jakoby stary Ascoli wstał z grobu i zwiastował im, to co wykrył wśród murów odwiecznych Warszawy. Milczeli więc wszyscy, a cisza wielka wśród nich leżała, ucichło nawet, niby pod dotknięciem tajemniczej jakiejś dłoni, chrapanie Maćka i pani Hipolitowej.

Ciszę tę wreszcie przerwał pan Rafałowicz.

— Takim jest ten sekret—rzekł—który mi przekazał po swej śmierci mój szwagier, Ascoli. Że sekret ten jest wielkiej wagi, to o tem, mocium panie, nawet dziecko inaczej sądzić nie może. Dużoby dali Szwedzi, żeby o nim wiedzieli, dużoby też dał Król Jegomość Jan Kazimierz, gdyby z niego przy nadechodzącym szturmie mógł skorzystać.

— A to mu trzeba o tem donieść! — wyrwał się Kazik.

— Hm!—odrzecze na to pan Rafałowicz—dobrzeby to było, ale jak? Najprzód byłby on bez użytku dla naszych, bo jakże wprowadzić żołnierzy do onej kamieniczki, która stoi tuż przy bramami i pod okiem straży szwedzkiej? Secundo, ani ja, a tym mniej wy, nie znamy tych lochów.

— Jać zaraz po śmierci Ascolego, gdy nadszedł św. Jan, wyjąłem owe cegły za obrazem i puściłem się do lochu, który jest obszerny, wysoki, sklepiony, ale nie uszedłem i pięćdziesięciu kro-

ków, gdy mi latarka zgasła i iść dalej nie mogłem. Z wielkim tedy trudem i strachem, bym nie zblądził, wróciłem i więcej tam nie chodziłem. Stary już jestem i niepotrzebną mi była w one czasy ta wiadomość. Ale teraz co innego jest i... zobaczymy. *Tertio*, gdyby nawet to wszystko, com rzekł, nie miało znaczenia, to jakże tu dać znać Królowi Jegomości i kto mu da znać?

— A choćby ja, gotów jestem... — zawołał Kazik.

— Ej, młodzik jesteś, i nie wiesz co gadasz! — odrzekł na to pan Rafałowicz — zali wiesz, gdzie król Jegomość teraz się znajduje, a choćbyś się dowiedział, co jest dość łatwym, to czy takiego jak ty smyka dopuszczają tak zaraz do króla? Król to nie jestem ja, ani też Kacperek lub ów Maciek, który tam chrapie jako wół, do którego łańcy każdej chwili jest przystęp, ale wielki pan, co nie z każdym gada i czasu na to nie ma. A przytem, jakże ty wydobędziesz się z miasta? Jeżeli my wiemy, że król idzie na Warszawę, to i Szwedzi wiedzą i oto po południu dzisiaj był u mnie ksiądz od Fary, znacie go, mansyonarz Noe, którego wezwanego do chorej jakiejś pani na Kawęczynie, strażę nie chciały wypuścić bez kartelusza pana generała Wittenberga. Miasto więc jest zamknięte i nikogo nie wypuszczają ani wpuszczają bez pozwolenia owego generała.

Ale dajmy na to, żebyś się niepostrzeżenie wymknął, co dla takiego smyka, jak ty, nie byłoby bardzo trudnem; przypuśćmy dalej, żebyś króla Jegomości znalazł i z nim gadał, żeby ci dał żołnierzy i żebyś ty ich wprowadził niepostrzeżenie od Szwedów do mojej kamieniczki, to pytam ci się, mógłbyś to uczynić z czystym sumieniem, nie wiedząc jakie są te lochy i czybyś czasem onych żołnierzy nie naraził na śmierć niechybną?

— A to jakim sposobem?—zapytał Kazik.

— A takim, że od śmierci Ascolego upłynęło już dwadzieścia років, a niewiadomo ile już lat temu, gdy on te lochy zwiedzał. Kto wie, co się tam w nich dzieje! Może się zawaliły. Bóg wie co się tam stać mogło. To pewne, że powietrze w nich tak jest sparte, że ja, zaledwie uszedłszy kilkadziesiąt kroków, o mało się nie udusiłem, a latarka mi zgasła, bo jako wiadomo, ogień nie goreje w złem powietrzu. Nuż byś ich tam podusił tych żołnierzy i wziął sobie na sumienie ich dusze, a na głowę słuszny gniew królewski?

— To prawda — odrzekł Kazik — cóż więc czynić?

— Zaraz to zobaczymy, a najprzód przypatrzmy się owemu prospektowi Ascolego, jak to ta linia czerwona idzie. Oto tu jest moja kamieniczka, wyraźnie ją narysował. Od niej owa linia idzie

po pod bramy Nowomiejskie, potem skręca na prawo ku furcie bocznej od Dunaju, biegnie przez tę ulicę na Rynek, tu pod kamienicą pod św. Markiem przemyka się ciągle pod kamienicami, aż do ulicy Grodzkiej, co ją teraz zwa św. Jana. Ale zatrzymajmy się tutaj, bo mociumpanie, chcę rzec, że zły to jest znak, iż owe podziemie biegnie pod kamienicami. Kto wie, czy tam kto już nie natrafił na te lochy i ich nie zamurował!

— To być może!—zauważył Kacperek.

— W kamienicy św. Marka przecież pan Boratyni bił pieniądze i wiem, że to po piwnicach czynił. Mógł więc na owe lochy natrafić. Ale idźmy dalej. Na ulicy Grodzkiej linia czerwona kieruje się pod kościół O.O. Jezuitów, potem pod Fara, a stąd przez Dziekanią do zamku i kończy się pod wieżą Zyguntowska, jak ją nazwał Ascoli. Długa to jest droga i bardzo niebezpieczna, prawda?

— Już się prawda—odrzekli obaj chłopcy.

— Wszelako—ciągnął dalej pan Rafałowicz—nie znaczy to wcale bym teraz, kiedy tego jest potrzeba dla dobra miasta i kraju, jak napisał Ascoli, nie był zatem, by dokumentnie zbadać te lochy. Czy tak, czy owak, zawždy się to przydać może, a jeżeli są one jeszcze zdrowe i całe, to czasu szturmowi mogą wielką pomoc naszym przynieść. Rozumiecie to?

— Rozumiemy, co nie mamy rozumieć.

— Otóż tedy, chłopcy — dziś mamy 21 czerwca — za dwa dni będzie św. Jana, a choć ja wiem, gdzie jest, ta cegła, jednakże mogę się omylić. Dawno już tam nie byłem. Więc tedy w samo południe pójdziemy we trzech do mej kamieniczki, do owej izby, której nie wynająłem, bojąc się zdrady, ową cegłę wyjmemy i w Imię Boże ruszymy do lochów. Zaopatrzcie się w jadło, napoje, łączywa, hubkę i krzesiwa, wypowiedzcie się wprzód, bo kto z Bogiem zaczyna, to Bóg z nim. Dobrze?

— Dobrze!

— A teraz idźcie spać i za dwa dni rankiem stawcie się tu do mnie, jak należy.

ROZDZIAŁ VII

W którym Maciek wydobywa z kołnierza talary i opowiada o piwie wareckiem.

Przez dwa dni, poprzedzające niebezpieczną wyprawę do podziemi Warszawy, Kaeperek i Kazik gorliwie zajęci byli przygotowaniami. Na nieszczęście brakowało im pieniędzy. Jeszcze Kaeperek jako tako sobie poradził; pełnił urząd w magistracie, znano go w mieście i każdy mu chętnie kredytował, ale Kazik, syn biednej zrujnowanej wdowy, nie tylko grosza, ale nic na kredyt dostać nie mógł. Bieda przytem była w mieście wielka i każdy się ścisnął i oglądał na jutro. Do pana Rafałowicza nie wypadało jakoś chodzić, gdyż i on nie był bogaczem (bo któż nim był w tych ciężkich czasach), a przytem z pewnością także poczyni znaczne, może znaczniejsze od nich obu, wydatki na tę karkołomną wyprawę.

W tym ciężkim terminie przyszedł Kazikowi z pomocą Maciek Dratewka, który wypawszy się

owej nocy w kuchni pana Rafałowicza, nazajutrz stamtąd wyszedł, zostawiwszy swoje towary i chodził po mieście i lamentował:

— O! laboga, laboga!

Poradziwszy się z Kacperkiem i panem Rafałowiczem, Kazik postanowił Maćka przypuścić do współdziałania w wyprawie. Wprawdzie pan Rafałowicz się trochę krzywił, mówił że „widzi mu się, że ten Maciek jest niepoń, tchórz i śpioch,“ ale wreszcie ustąpił, bo i on był przekonania, że w większej liczbie będzie im jakoś raźniej a nadewszystko bezpieczniej w zamierzonej wyprawie.

Kazik wiedział, że Maciek ma zabobonny strach przed Szwedami, wziął się więc do niego inaczej. Spotkawszy go nazajutrz wieczorem, po owem wykryciu tajemnicy mistrza Asełego, na Rynku, koło szczątków nieszczęsnego kramu matki, zapytał:

— Maciek, masz ty pieniądze?

Maciek, który kłamać nie umiał, odrzekł krótko:

— Mam.

— Ile?

— Piętnaście bitych talarów.

— A skądże ty masz tyle?

— Zarobiłem.

— Jakto? kiedy?

— A przez trzy lata.

— Aha! więc to są twoje oszczędności?

— Tak!

— Patrzej, nie wiedziałem o tem, żeś ty taki oszczędny. No, powiedz mi i cóż ty myślisz z tym kramem robić? Cóż o twojej matce słyhać?

Na wspomnienie matki Maciek skrzywił się szkaradnie, jak wiatrak począł rozpaczliwie machać długimi rękami i jęczeć:

— O, laboga! laboga!

— Nie lamentuj, bo to wstyd, kiedy taki duży chłop lamentuje jak, nieprzymierzając, baba — mówił Kazik.

— Kiedy mi żal serce ściska.

— To niech ci nie ściska, bo lamentowaniem nie nie zrobisz, jeno czynem. Ot, wiesz co, Maciek, chcesz oswobodzić matkę?

— Chcę.

— To posłuchajże mnie, nadstaw dobrze uszów i uważaj.

Tu opowiedział Kazik, że jutro o południu mają zamiar z Kacperkiem i panem Rafałowiczem spuścić się do lochów podziemnych, któremi dostaną się do Zamku, a tam dostawszy się raz, obaczą co robić. Cała bieda tylko w tem, że trzeba zabrać ze sobą żywności, łuczywa, hubek, krzesiwa, a on, Kazik, nie ma na zakupno tych przedmiotów pieniędzy.

Maciek słuchał tego pilnie, wytrzeszczywszy swe małeńkie oczka, a gdy Kazik skończył, machnął rękami i rzekł:

— To głupstwo!

— Co jest głupstwo?

— Że nie masz pieniędzy.

— Jakto głupstwo?

— Ja mam piętnaście bitych.

— I chcesz je dać?

— Dam... dla matusi ostatnią koszulę dam.

— Dzielnny chłop z ciebie, Maćku. Więc dobrze, przynos pieniądze i zajmujemy się przygotowaniami.

— A poco mam przynieść pieniądze?

— Jakto poco?

— A poto, że ja je mam tu (wskazał na kołnierz swej kapoty).

— Gdzie?

— A tu.

— Co ty pleciesz?

— Tak, mam je tu, zaszyte.

Uśmieł się Kazik z tak osobliwszego schowania na pieniądze i poszli do mieszkania Maciejowej, która miała izdebkę w kamienicy „pod murzynami,” by owe bite talary wydobyć z kołnierza Maćkowego. Gdy ten ostatni zajęty był tą operacyą, przyczem wzdychał, nosem pociągał głośno i od czasu do czasu jęczał swoje „o, laboga, laboga,” Kazik zapytał:

— Maciek, a jak Szwedów w lochach spotkamy, co to będzie? Ty się pono boisz bardzo Szwedów?

— A boję się, bo są hycle.

— Więc cóż będzie, jak ich spotkamy w lochach?

— Nie będę się bał.

— Dla czego?

— Bo jak jestem z tobą i Kacperkiem, to się tych zamorezyków nie boję.

— Więc cóż zrobisz?

— Uśmiercę hyclów.

— Czem?

— Nożem.

— Jakim nożem?

— A takim.

To rzekłszy wstał, sięgnął do szafki i wydobyl z niej ogromny, długi nóż rzeźnicki i pokazując go Kazikowi, śmiał się i szczyrzył zęby.

— To dobrze — rzekł Kazik — weźże z sobą ten nóż.

— Wezmę.

Potem podniosła się inna sprawa. Kazik, biegnąc od samego rana po mieście, zauważył zdwojenie przez Szwedów ostrożności. Widocznie wiedzieli i oni o zbliżającym się do miasta królu polskim. Wszystkie bramy były zabite, obsadzone gęsto armatą i strażami, nikogo nie wpuszczano i nie wypuszczano z miasta;—na murach roilo się od żołnierzy, a po ulicach przebiegały konne warty. W mieście głośno gadano o blizkim szturmie i Szwedzi na wszystko baczne zwracali oko. Mó-

wiono nawet, że niektórych podejrzanych Szwedom mieszczan uwieziono.



Szło więc o to, jakim sposobem wydobyć się z miasta, żeby dostać się do kamieniczki pana Rafałowicza, która była już za bramą Nowomiejską.

— Nie wątpię — gadał Kazik — że pan Rafałowicz, który jest mąż uczony i mądry, myśli nad tem i coś tam pewnikiem wymyśli, ale zawżdy na wszelki wypadek byłoby dobrze, gdybyśmy i my mieli jaki sposób wydostania się z miasta.

Maciek, który właśnie rozpruł kołnierz, wydobywał talary i układał je ostrożnie, jakby były szklane, na stole, mruknął:

— To fracha.

— Jakto fracha? żali nie wiesz, że Szwedy nikogo nie wypuszczają z miasta bez osobliwego karteluszu generała Wittenberga? Skądże my takiego karteluszu weźmiemy?

— Co mi tam po karteluszu!

— Więc masz sposób wydostania się z miasta?

— A mam.

— Jaki? gadajże!

— Jest dziura w murze.

— Gdzie?

— Od ulicy Mostowej.

— I można nią przejść?

— Ja mogę, bom cienki... a i ty też.

— A pan Rafałowicz?

— On nie. Ma brzuch... hi! hi! hi!

Śmiał się, sam nie wiedział zapewne z czego, a talary wydobywał i układał je ciągle bardzo ostrożnie, rzędem na stole.

— Pokażesz mi tę dziurę? — pytał Kazik.

— Pokażę.

— A Szwedy o niej nie wiedzą?

— Nie.

Gdy nakoniec wszystkie piętnaście talarów zostało wydobytych z kołnierza Maćka i gdy ten z wielką zręcznością i wprawą kubrak swój przeprowadził po tej operacji do porządku, wyruszono na miasto po zakupno potrzebnych rzeczy. Na rynku spotkano się z Kacperkiem, który, gdy mu Kazik powiedział, że i Maciuś należy do wyprawy, skrzywił się i rzekł:

— Ale to być nie może!

— Dlaczego?

— Dla tego, że byłem dziś u pana Rafałowicza i powiedział mi, że otrzymał pozwolenie na wyjście z miasta tylko dla siebie i dla nas dwóch.

— To furda! — mruknął Maciek.

— Maciek — odrzekł Kazik — nie potrzebuje żadnego pozwolenia, on się i tak wydostanie z miasta.

— A to jakim sposobem? zapytał Kacper.

Kazik opowiedział co wiedział i Kacperek tak się tem zaciekał, że zażądał, by Maciek ich zaraz zaprowadził i dziurę ową pokazał.

— Zawsze to warto obaczyć — mówił — może się przydać na co.

Maciek powiódł ich na Krzywe Koło, do jednej z kamieniczek, w której dziedzińcu, na samym jego końcu, poza komórkami i kupą śmieci, wistocie ukazała się dziura w murze, przez którą przeglądało światło i cienki a zwinny chłopak mógł się przesunąć.

— A co tam jest z tyłu?—spytał Kacper.

— Ulica Mostowa—odparł Maciek.

— Ale chyba znacznie niżej?

— Ano... trzeba skoczyć z tej dziury—odrzekł Maciek.

— A nie wysoko jest?

— Dość wysoko.

— I tyś tędy przechodził?

— Przechodziłem nie raz.

— A skądże ty znasz tę dziurę?

— Hi! hi! hi!—zaśmiał się i dodał—tu mieszka mój majster.

— Więc cóż?

— I nie pozwolił nam chodzić wieczorem na piwo.

— Na jakie piwo?—co ty pleciesz?

— Na wareckie piwo. Przednie jest na Nowem Mieście w gospodzie u pana Wilka.

— Więc co? cóż to za związek ma piwo z tą dziurą?

— A ma.

— Jaki?

— Bośmy z Frankiem i Markiem tędy nocką wynykali się na piwo wareckie i majster nic nie wiedział, hi! hi! hi!

— Więc można niepostrzeżenie tędy wyjść?

— Można, hi! hi! hi!

— Hm!—rzekł Kacper namyślając się—dobrze i to wiedzieć, może nam się ta dziura przydać i w ostateczności Maciek może się tędy wymknąć i przyłączyć się do nas w kamienicy pana Rafałowicza, byle go straż z murów nie zobaczyły.

— Nie zobaczą, tam jest ulica i domy, ludzie chodzą—zauważył Maciek.

— Prawda, że tam jest ulica Mostowa. Zresztą to twoja rzecz, żebyś niepostrzeżenie się przemknął, i o to weale nie idzie.

— A o cóż?—spytał Kazik.

— O to, że bez pana Rafałowicza my sami nie możemy stanowić o tem, czy Maciek ma należeć do naszej wyprawy, czy nie.

— Pewno, że to tak — rzekł Kazik — to też trzeba iść do pana Rafałowicza i o wszystkim mu powiedzieć.

— Ano trzeba, ale wątpię, czy z tej mąki chleb będzie. Pan Rafałowicz, który się zna z komendantem bram Nowomiejskich, bo jako mający kamienicę za murami, często do niej chadza... Manderstern nazywa się ten komendant... otóż pan Rafałowicz powiedział mi, że jutro rankiem

musi z mularzami iść do swej kamieniczki, żeby tam coś naprawić. Niby my dwaj będziemy temi mularzami. Pójdziemy z kielniami i tobołkami na plecach, a w tych tobołkach będziemy mieli nie grance i cegły, ale co innego, to co nam potrzeba... rozumiecie?

— Hi! hi! hi!—zaśmiał się Maciek—to jest mądre o! laboga, laboga, jakie to mądre! hi! hi! hi!

— Czego ty się, cebulo, śmiejesz?—spytał gniewnie Kazik.

— A bo to mądre straszecznie!

— Otóż tedy—ciągnął dalej Kacper, nie zważając na śmiech i wcale niemądrą uwagę Maćka—wątpię, czy pan Rafałowicz zgodzi się na to, by ktoś czwarty należał do wyprawy. Przytem... co będę prawdę owijał w bawelnę, pan Rafałowicz uważa Maćka za... jakby to powiedzieć?... niedołągę, nicponia, śpiocha i tehórza i mnie się widzi, że ma słusność.

— A nieprawda!—zaprotestował Maciek i nagle ni stąd ni zowąd skrzywił się szkaradnie, nosem począł pociągać i ryknął na cały głos:

— O, laboga! laboga! wszysej mię mają za nicponia! com ja komu winien? o, laboga! laboga! Jezusieczku mój kochany!

— Czego się drzesz do paralusza, cebulo jakaś?—krzyknął Kazik — właśnie masz sposobność pokazać, żeś nie nicpon i nie tehórz.

A zwracając się do Kacpra, dodał:

— Chodźmy do pana Rafałowicza.

— Nie! wszyscy iść nie możemy — odrzekł Kacper—pan Rafałowicz przez ostrożność zabronił dziś przychodzić do siebie. Ale ja się z nim zobaczę. Bądźcie wieczorem w izbie Maciejowej, ja tam przyjdę i powiem wam, o decyzji pana Rafałowicza.

Jakoż wieczorem Kacper stawił się w izdebce Maciejowej i uwiadomił niespokojnie nań oczekujących chłopców, że pan Rafałowicz zgodził się na to, by Maciek wziął udział w wyprawie, ale wyostać się z miasta musi sam.

ROZDZIAŁ VIII

W którym Maciek opowiada, jak zakłócił szpadą Szweda.

Nazajutrz rano przez bramę Nowomiejską wysunął się poza mury pan Rafałowicz, a z nim dwóch młodych mularzy, ubranych w nędzne płócienne kubraki, powalane wapnem i gliną, w fartuchach, dźwigając w tobołkach na plecach niby wapno i glinę, a w rękach dzierżąc kielnie i drągi żelazne. Sam pan Rafałowicz w kitajkowym żupanie, z czekanikiem w ręku, niósł także tobołek i w bramie poszedł do komendanta, by mu się zameldować. Komendant wyjrzał ze swej izby przez okienko i ujrawszy dwóch chłopaków, krzyknął:

— Puścić!

Otworzono więc bramę i wypuszczono ich na zewnątrz przez mały mostek na rowie, bo duży most był zwiedziony. Znalazłszy się za murami szli w milezeniu, aż dopiero gdy się dostali do

sieni kamieniczki pana Rafałowicza, ten rzekł, obcierając chustką czerwoną spocone czoło:

— No, chwała Bogu, jesteśmy na miejscu. Miałem trochę strachu, bo mogliście się czem zdradzić. Ale też gorąco!

W rzeczy samej dzień był nadzwyczaj upalny. Od samego rana słońce, płynąc po czystem jak lza niebie, piekło niemiłosiernie. Ale obaj chłopcy nie zważali na to. Dźwigając ciężkie toboły, spocili się tak, że się poprostu z nich lało, ale byli weseli, uradowani, szczęśliwi, że się tak łatwo wydostali za mury.

Pan Rafałowicz ruszył przodem sienia na małej podwórko i tu do oficynki bocznej, przypierającej do muru miejskiego, wszedł i dobywszy klucza, począł otwierać głęboko w ścianie osadzone drzwi dębowe, gęsto nabite ćwiekami i okute żelazem.

— Nieboszczyk mistrz Ascoli dobrze te drzwi zaopatrzył — mówił pan Rafałowicz, odmykając zardzewiałą kłódkę—bo chciał tym sposobem zabezpieczyć swoją tajemnicę.

— Jakoś Maćka nie widać! — szepnął do Kazika Kacperek.

— Boję się, czy mu się co nie stało! — odrzekł tenże.

— Pal go kat! byle nas nie zdradził — odparł niechętnie Kacper — gotów jeszcze, jeżeli go Szwedy schwyca...

Nie dokończył, bo w tej chwili na podwórku ukazała się cienka, chuda, wysoka postać Maćka. Był bez czapki i szeczinowate, czerwone jak u raka włosy, rozwichrzyły się szpetnie. Ubrany był w długą, ciężką bajową oponczę, haniebnie pópłamioną i podartą i pod nią coś dźwigał, a na plecach w prostej płacheie zgrzebnej, którą sobie na piersiach przewiązał, niósł duży toboł. Stał, rozglądał się dokoła swemi małeńkimi oczkami, czerwony od gorąca, spocony i brudny.

— Maciek, bywaj! — zawołał Kazik.

Poszedł do nich i rzekł:

— O, laboga, laboga, a tom się zmachał! oj rety! rety!

— Szczęśliwie się przedostałeś?

— Szczęśliwie, jeno...

— Cóż jeno?

— Jednego Szweda przedziurawiłem.

— Jakto przedziurawiłeś?

— Ano tak!

To rzekłszy wydobyl z pod oponczy długą, cienką nagą szpadę, na której czerniały ślady świeżej krwi i poczał nią robić takie ruchy, jakby kogoś kłuł. Wszysey zdumieni poczęli oglądać szpadę, a pan Rafałowicz, otworzywszy już drzwi do izdebki, rzekł:

— Chodźmy tam mociumpanie, tam nam Maciek opowie co się stało, bo tu niebezpiecznie gadać.

Weszli do owej tajemniczej izdebki i poczęli ciekawie się po niej rozglądać. Była ona niewielka, silnie sklepiąna, o jednem małym okienku, głęboko w mur wpuszczonem, z szybami w olów oprawionemi, zakurzonemi i zasautemi pajęczyną tak, że z zewnątrz w żaden sposób dojrzeć nie można było, co się w środku izby działo. Przez to okienko przedzierał się już błądy promień słońca i kładł się na kamiennej posadzce, ślizgał po stojących dokoła pułkach z księgami i widocznie zbliżał się do wielkiego obrazu, na płótnie malowanego, zawieszonem na ścianie wprost okienka i przedstawiającego siedzącą Matkę Boską karmiącą Swego Synaczka. Było tu zresztą ponuro, duszno, posepnie i wszędzie szarzały olbrzymie pajęczyny. Po kątach włóczyły się mroczne cienie, których błądy promień czerwonego słońca przez zakopcone okienko rozproszyć nie był zdolny.

— A teraz — rzekł pan Rafałowicz, siadając na staroświeckim zydlu z poręczami — gadaj, co ty tam robił z tym Szwedem, Maćku?

Maciek zrzucił ze siebie ciężką oponę i toboł, obtarł rękawem czoło z obfitego potu, westchnął i rzekł:

— A nic, zadzgałem hyla i tyle.

— To wiemy, ale opowiedz jak to było i gdzie?

— A tam, przy dziurze w murze.

— Skądże się tam Szwed wziął?

— Kat go ta wie!

— Cóż to za Szwed?

— Rajtar pono, czy tam jak. Oj, rety, rety! jakiem się zmachał!

— Ale gadajno po ludzku, bo to ważna sprawa. Szwed zabity w mieście... będzie śledztwo, wrzawa...

— A nie w mieście, jeno za murem — odparł Maciek.

— Za murem? — skądże Szwed wziął się za murem, kiedy bramy zamknięte?

— A bom go zrzucił! oj, laboga, laboga! napiłbym się czego, bo mi w gardle zaschło.

— Skądś go zrzucił? z muru?

— Nie, jeno z tej dziury.

— A cóż to, ta dziura jest tak wysoko?

— Będzie z dziesięć łokci, to hycel jak spadł na łeb, tak se ta coś popsował we wnętrzu i leżał jak baran. Hi! hi! hi!

— Ale skądże on się wziął przy dziurze?

— Czy ja wiem? przyszedł hycel, jakiem ja się chciał wydostać i gada coś do mnie po swojemu, a ja go bęc w pysk...

— Jakto w gębę mu dałeś?

— Nie w gębę, jeno w pysk — oj, reta, re...

— I cóż? gadajże, mociumpanie, o tym Szwedzie!

— Przecie gadam.

— Więc jakże? dałeś mu w gębę i co potem?

— Ano dałem mu nie w gębę, jeno w pysk. Bęc raz z prawej, bęc na odlew (przytem Maciek pokazywał jak Szweda bił), a on buch na ziemię! Oj, laboga, laboga...

— Gadajno dalej, później będziesz labidził.

— Kiej mi się pić chce. Jeszcze omdleję z wielkiego żaru.

— Dajcie mu co pić, bo nie dowiemy się od niego niczego.

Więc Kazik skoczył do studni, co była na podwórku, przyniósł trochę wody w dzbanku i powiada:

— Naści, napij się, ale gadaj porządnie i jak się patrzy, bo jak mię widzisz, ja ci tak samo sprawię, jak ty Szwedowi.

— A nie sprawisz.

— Zobaczysz.

— Nie sprawisz, bo tu dziury nijakiej niema. Hi! hi! hi!

Śmiał się i pił wodę jak gąbka, a musiał być bardzo spragniony, skoro niemal połowę dużego dzbanka wychylił.

— No, teraz, skoroś się napił, opowiadaj, co się stało ze Szwedem jak upadł na ziemię.

— Hi! hi! hi! wziąłem hycła za łeb, wsadziłem w dziurę i wyrzuciłem za mur. Hi!hi! hi! cienki był, jak dratwa do niewieścich trzewików...

— I cóż?

— A nie, spadł i coś tam w nim we wnętrzu, niby w brzuchu, trzasko, bo leżał jak kłoda a z gęby posoka mu leciała. Hi! hi! hi!

— Toś ty się za nim spuścił? A tobie nie się nie stało?

— Albo mi to pierwszyczna? O, laboga, laboga, żebym ja miał tyle talarów ile razy z Frankiem i Markiem nocką tamtędy wymykaliśmy się na piwo wareckie do gospody pana...

— Dobrze już, dobrze... wiemy o tem piwie...

ale jakże z takiej wysokości wyście schodzili, skoro Szwed się zabił?

— Nie zabił się, dyszał jeszcze, alem go zakłuł.

I znów poczał pokazywać jak kłuł Szweda.

— Opowiedz no... bo to musi być inaczej, jakże wy spuszczaście się z takiej wysokości?

— A, bo my nogami przez dziurę przelazimy i potem skik! i jesteśmy na ziemi! Hi! hi! hi!



a Szwed sobie popsował coś we wnętrzu, bom go na łeb wypchnął, a też był omdlały od tego, żem mu pyski zbił. Hi! hi! hi!

— I cóż potem? skądżeś wziął tej szpady?

— A wyjąłem ją z pochwy Szwedowi, zakłułem hyla jak wieprzka i przyszedłem tutaj. Hi! hi! hi! alem się okrutnie zmachał.

— Nikt tego nie widział?

— Nikt.

— Bóg by to dał — ozwał się w końcu pan Rafałowicz po niejakiem namyśle — ale mnie się widzi, że z tego powodu może być bigos nielada. Bo jakże to? w takim czasie, gdy Szwedzi lada dzień spodziewają się nadejścia naszych, nagle znajdują zakłutym jednego ze swoich. Zaraz powiedzą, że w mieście jest spisek, rokosz, będą brali do więzienia, mordowali, rabowali, kontrybucye nakładali. Ot coś ty narobił!

— Furda! nikt tego nie widział. O rety, rety, jakżem się spocił!—jęczał Maciek.

— Ot z głupim gadać! — zawołał pan Rafałowicz—ja swoje, a on swoje. Cóż z tego, capie zatracony, że tego nikt nie widział, ale zawsze trupa szwedzkiego znajdą.

— O! nie tak prędko, nikt tam nie chodzi. Leży hycel w rowie, a przytem nakryłem go ziemią i śmieciami. Nie widać go wcale. Hi! hi! hi!

— No, toś przynajmniej jedną mądrą rzecz zrobił, żeś go nakrył—zauważył pan Rafałowicz— może go tak prędko nie zobaczą.

— Ho! ho! Maciuś nie głupi, nie! Hi! hi! hi!— wołał Maciek, śmiejąc się i prostując dumnie w tem przekonaniu, że jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie.

Ale pan Rafałowicz nagle spojrział na obraz. Właśnie błądy promień słoneczny padł na przedudowną głowę Madonny i otoczył ją jakby blaskiem aureoli nieziemskiej. Pan Rafałowicz, ujrawszy to, powstał ze stolka, zdjął czapkę, przeżegnał się i rzekł tonem uroczystym:

— Chłopcy, zdejmcie obraz! Już czas. Słońce padło na twarz Matki Boskiej.

Kacperek i Kazik skoczyli i w jednej chwili zdjęli wielki i ciężki ten obraz i ostrożnie postawili go na boku. Maciek tymczasem, korzystając z wolnego stolka, z którego wstał pan Rafałowicz, usiadł sobie wygodnie, swe długie i cienkie nogi wyciągnął, ziewnął i mruknął:

— O rety! rety! jakżem się zmachał!

Nikt na niego nie zważał, on też nie wiele myśląc, że go gorąco rozebrało, przymknął oczy i niebawem zasnął, świszcząc dziwacznie nosem.

Tymczasem pan Rafałowicz, Kacperek i Kazik stali przed ścianą naga, zakurzona, pełną plam i pajęczyn i przypatrywali jej się ciekawie. Ni-

czem ona się nie różniła od innych, tak samo była szara, tynkiem obrzucona, niegdyś wapnem bielona.

Pan Rafałowicz jeszcze raz przeżegnał się i rzekł:

— Wyważyć cegłę tam, gdzie pada słońce.

Obaj chłopcy porwali młoty i drągi żelazne i wzięli się gorąco do roboty. Tynk pryskał na wsze strony, ale mur stwardniały trzymał się dobrze.

— Hm!—mówił pan Rafałowicz—widać mocno zamurowałem, kiedy się ta cegła tak trzyma. Weźcie no się trochę niżej.

I chcąc dopomódz ciężko pracującym chłopcom, odwrócił się, by sięgnąć po jakie narzędzie i spostrzegł śpiącego najsmaczniej Maćka.

— A to już wszystko przechodzi! — zawołał oburzony—patrzcie no! wy w pocie czoła pracujecie, a ten hultaj śpi. Obudźcie go, do kroćset, mocium panie, i zapędźcie do roboty. A to niepoń dopiero!

Obaj chłopcy, rozgniewani mocno, rzucili się do Maćka. Kacper, nie wiele myśląc, chwycił śpiącego za rozwichrzoną czuprynę, a Kazik dał mu potężnego szcztuka w nos. Maciek roztworzył oczy, spojrział głupowato do koła i jak nie ryknie:

— O, laboga, ludzie, reta! reta!

— Cichaj, capie zatracony, bo cię tu ubijemy!—syknął Kacper.

— Wstawaj! do roboty! cóż to spać będziesz, kiedy my pracujemy. Dalej, marsz!—wołał Kazik.

Maciek szarpnął się i wyrwał nieszczęśliwą czuprynę z rąk Kacpra, nie bez zostawienia w jego rękach garści swych rudych włosów, wstał, wyprostował się i mruknął:

— Nie bij!

— To nie śpij.

— Zmroczyło mię, bom się zmachał.

— Do roboty, chłopcy, do roboty!—wołał pan Rafałowicz, podważając sam cegłę.

Gdy się nakoniec we czterech wzięli, w kilka chwil cegła wypadła, ale nie do izby, jeno do środka i słyhać było jak się toczyła gdzieś na dół z głuchym łoskotem. Przed chłopcami ukazał się otwór czarny, z którego wiało chłodne powietrze.

A właśnie na wieży Świętojańskiej dzwoniło na południe.

ROZDZIAŁ IX

Jako Maciek przekonany jest, że w podziemiu sam Lucyfer go przedrzeźnia.

Do owego otworu, z którego wiało stęchłe, zgniłe powietrze, pierwszy ciekawie zajrzał Maciek, ale zaraz cofnął głowę, otrząsnął się i zawołał:

— O, laboga, laboga! jakże tam ciemno i zimno, brrr!

— Moi chłopcy, rzekł pan Rafałowicz—teraz należy rozszerzyć otwór, bo najprzód przez tę wąską dziurę nikt z nas się nie przedostanie, a potem trzeba, żeby tam naszło dużo świeżego powietrza, bo inaczej podusimy się z kretesem.

Zabrano się więc znowu do roboty, która teraz, gdy już otwór wyłamano, o wiele była łatwiejszą. W niespełną godzinę dziura była tak znaczna, że nie tylko trzej chłopcy, którzy byli chudzi i wysmukli, ale i pan Rafałowicz ze swoim brzuszkiem mógł przez nią snadnie przeleźć. Z dziury

tej patrzała ponura ciemność i wiało ciągle duszne, przesycone wilgocią i stęchłąną powietrze. Maciek, który więcej udawał, że robi, niż w rzeczy samej pracował, przeciągnął się, ziewnął głośno i rzekł:

— Oj rety, rety, jakżem się zmachał!

Obcierał pot z czoła, spoglądał na obecnych, którzy odpoczywali, oddychając ciężko, bo praca była mozolna a gorąco w izbie nieznośne, i gadał:

— Ot, prawdę rzekłszy, wartoby co przekąsić, bo mi się jelita wyciągnęły jako dratwy.

— Już chcesz jeść? a dawnoś to jadł!— spytał pan Rafałowicz.

— A dawno.

— Kiedyż?

— Na śniadanie kielbasy se zjadłem.

— No, to ci się jeść jeszcze nie powinno chcieć.

— Po takiej pracy?

— Widziałem ja, jakieś ty pracował.

— A pracowałem... a Szweda zakłuć to nie? a taką dziurę wybić to furda? O, laboga, laboga, jaki też to jegomość sprzeczný!

Poszedł do swego tobołka, rozwiązał go, wydobyl kawał kielbasy z czosnkiem, bo ją czuć było zdaleka, do tego wziął odpowiednią pajdę chleba i siadłszy sobie w kącie, zjadał smacznie, nie odzywając się już nic i nie zważając wcale

na to, że Kaeperek i Kazik podrzinali sobie z niego na umor.

Upłynęło tak z pół godziny na śmiechach i żartach, i do lochu powinna była wejść znaczna ilość świeżego powietrza. Pan Rafałowicz wstał, z pod żupana wyjął jakieś pudełko i pokazując je chłopcom, rzekł:

— Przypatrzcie się, to jest instrument, mocimpanie, który się zowie busolą. Ta strzałka, którą tu widzicie, żeby niewiem jak obracać pudełko, zawżdy północ wskazuje.

Maciek, który także się zbliżył, żeby zobaczyć pudełko, zapytał:

— A na co to?

— Na to, że w podziemiach, do których się zaraz spuścimy, mogą być różne rozgałęzienia, piwnice, odnogi, tak, że nie znając ich dobrze, możemy pobrać. Mając plantę nieboszczyka mistrza Ascolego i tę oto busolę, zawsze wiedzieć będziemy, gdzie iść należy.

— A bo to prawda!—zauważył Maciek.

— Obaczysz, że prawda.

— Hm, jeśli to prawda, to te hycle Niemcy zawżdy coś wymyślić muszą. O, laboga, laboga jaki to zmysłny naród!

— Pewno, że zmysłny—zauważył pan Rafałowicz — nie tak jak my, co jeno jeść, pić, bić się i sejmy zrywać umiemy.

— Ale to już czas w drogę, zabierajmy się! Wszelako najprzód, chłopcy, nie należy żadnego po sobie śladu zostawić. Kto wie, może tam już w mieście jest rejwach o zabitego Szweda, może kto widział Maćka... jednym słowem, nie trzeba, żeby się nawet domyślano o istnieniu tych lochów, mociumpanie.

— Jużcić jegomość mądrze to wykalkulował— zauważył Kacperek.

— Trzeba tedy — prawil dalej pan Rafałowicz—wszystek ten gruz i tynk starannie uprzatnąć i wrzucić do lochu.

To rzekłszy, sam się zabrał do roboty, chociaż był stary i otyły, i rażno zbierając gruz i tynk, wrzuczał go do lochu, gdzie z głuchem dudnieniem spadał gdzieś głęboko. Chłopcy przykładem tym zachęceni, w jednej chwili uprzatnęli wszelkie ślady, w czem i Maciek brał udział, wprawdzie więcej się kręcił jak robił, ale zawsze kilka garsteczek wapna cisnął do podziemia, a gdy już wszystko wyprzatnięto, swoim zwyczajem wyprostował się i jęknął:

— O, laboga, laboga, a tom się zmachał!

— Teraz, chłopcy — mówił pan Rafałowicz— trzeba obraz zawiesić na tem samem, co dawniej, miejscu. Zakryje on dziurę w murze i gdyby tu kto, czego Boże broń wszedł, niczego się nie domysli. Uchyliwszy obrazu, przesuniemy się po

jednemu do lochu, a potem go spuścimy i dziura w murze będzie zakryta.

Zrobiono tak i w rzeczy samej obraz tak zakrył wybity w murze otwór, że ktoś, nie wiedząc o tem, w żaden sposób nie mógłby się domyślić co się za obrazem znajduje. Potem pan Rafałowicz kazał się zaopatrzyć w wodę, przyczem sam wyszedł na podwórze, a potem ostrożnie przez bramę wyrztał na ulicę. Ale nie niepokojącego nie dostrzegł. Na murach i na basztach bram Nowomiejskich stały gęste strażę, ale niczem nie zdradzały obawy lub gniewu. Większość z nich pod palącymi promieniami czerwcowego słońca drzemała leniwie.

Uspokojony co do tego, pan Rafałowicz wrócił do izby, a gdy dwa duże dzbany pełne były wody, kazał zapalić pochodnie, obraz uchylić i przeżegnawszy się, pierwszy ruszył do lochu. Za nim poszedł Kazik, potem Maciek, wreszcie Kacperek, któremu, jako najrozważniejszemu, kazono obraz spuścić.

Na samym początku podziemia znajdowały się wązkie schody kamienne, oślizgłe od wilgoci. Schodów tych było piętnaście i trzeba było bardzo ostrożnie po nich stapać, gdyż były wązkie i śliskie nadzwyczajnie. Gdy nakoniec wszyscy czterej z nich zeszedli w milezeniu, znaleźli się w niewielkiej, sklepionej mocno z głazów polnych, pół-

okrągłej piwnicy. Owionęło ich tu powietrze zimne, przejmujące wilgocia, zwłaszcza po upale tam na górze, ale zupełnie czyste. Był nawet lekki przeciąg, co świadczyło, że gdzieś tam w głębi znajdował się jakiś otwór, przez który przedostawało się do lochu świeże powietrze. Panowała



tu zupełna, martwa, senna cisza; żaden odgłos ze świata zewnętrznego nie dostawał się do tych murów potężnych, w głębi ziemi zanurzonych, mrocznych i ponurych.

Wszyscy czterej stali, depeząc z trzaskiem gruz wrzucony z izby, i w milczeniu rozglądali się dokoła. Od chwiejących się płomieni pochodni

padał migotliwy, purpurowy blask na ściany i sklepienie piwnicy, drżał na nich i nie rozświecając głębi, owszem zgęszczał w niej ciemności. Od czterech osób, wytworzyły się cztery długie cienie, które, wlokąc się po ziemi, podnosiły się na ściany i nikły na sklepieniu, ruchliwe, straszne, ponure.

Milczano i z pewną zabobonną trwogą przypatrywano się piwnicy i rozglądano dokoła. Pierwszy Kazik przerwał to przynębiające milczenie, szepejąc:

— Jak tu cicho!

— A nie prawda, nie cicho!—odrzekł na to Maciek—bo słyszę wyraźnie, jak mysz kicha!

Pan Rafałowicz, chcąc dodać otuchy chłopcom, roześmiał się głośno i rzekł:

— Pierwsze słyszę, żeby myszy kichały.

— O, laboga, laboga, żebym ja miał tyle talarów, ile razy słyszałem myszy kichające! O sły-chać...

Ale nikt już nie odpowiedział, bo dziwna rzecz, pod tem sklepieniem, w tych murach i w tej niezem niezamąconej ciszy, najlżejszy szept rozlegał się donośnie, a gruby głos Maćka huczał jak armata i podchwytywany przez mury kilkakrotnie odbijał się echem i ginał gdzieś coraz cichszy, coraz dalszy. Zrobiło to na chłopcach, niezwykłych tego, wielkie wrażenie, ale najwięk-

sze na samym Maćku. Wypowiedziawszy swe zdanie o myszach kichających i słysząc je wielokrotnie powtórzone przez echo, umilkł, roztworzył szeroko usta i wytrzeszczywszy swe maleńkie oczka, stał przez chwilę nadsluchując, poczem nagle przysunął się do pana Rafałowicza i głosem jak mógł najeichszym, szepnął:

— O, laboga, laboga, jegomościuniu! Ja nie pójdę dalej. Tam źle siedzi, może sam Lucyper i przedrzeźnia mię. Oj rety! rety! nie pójdę, jeszcze mi gdzie łeb urwie.

— Milczałbyś, baranie jakiś — zawołał na to gniewnie Kacper—i nie wyzywał złego ducha. To nie żaden Lucyper, który przecież nad chrześcijanami nie ma nijakiej mocy, ale echo. Głos się odbija o sklepienie i ściany i stąd zdaje się, jakby nas kto przedrzeźniał. Prawda, jegomość?

— Prawda, zupełna prawda. I trzeba być Maćkiem chyba, żeby się tego bać. Nie gadaj, to cię mury przedrzeźniać nie będą.

— Tak, ale ja się boję i pójdę sobie tam... na górę.

— Na to chyba, cebulo jakaś, żeby cię Szwedy capnęły i powiesiły na rynku—odezwał się z gniewem Kazik.

— Nie gadaj! obwiesiłyby mnie... na rynku?

— Tak na rynku... przed ratuszem.

— A nie chce!

— Więc stój cicho i nie pleć głupstw.

Tymczasem pan Rafałowicz obejrzał bacznie piwnicę. Była ona niewielka i z trzech stron nie było z niej żadnego wyjścia; z czwartej biegł od niej czarny, ciemny, wązki korytarz. Pan Rafałowicz wziął do ręki prospekt Ascolego, potem spojrział na busolę i rzekł:

— Wszystko dobrze, tym korytarzem trzeba nam iść. Akuratnie się to zgadza z rysunkiem mistrza Ascolego. No, w imię Boże, ruszajmy naprzód, bo czasu szkoda, a przed nocą trzeba nam powrócić do miasta.

To rzekłszy, ruszył naprzód, a za nim gęsiego Maciek, Kazik i Kacper na końcu. Korytarz był także mocno sklepiony i grunt pod nim wolno, łagodnie, ale ciągle się zniżał. Chłód panował tu przejmujący, wilgoć była wielka i ze sklepienia woda kapiała, tworząc tu i owdzie kałuże i czyniąc grunt miękkim, śliskim i grzązkim. Powietrze wciąż było czyste i lekki przewiew nagiął wstecz płomienie pochodni i kopeć ich pędził poza idących. Wygląd korytarza miał charakter ponury, a purpurowe blaski wlokły się leniwie po sklepieniu pełnem grzybów, pleśni szkaradnej i błyszczących kryształów saletry.

Posuwano się dość wolno i ostrożnie, bo spadek stawał się coraz naglejszy, a ziemia mokra śliską nadzwyczajnie. Pan Rafałowicz miał cze-

kanik w rękę i nim się podpierał, Kazik użył do tego drąga żelaznego, a Kacper pomagał sobie szpadą szwedzką, którą zabrał Maćkowi, wytłomaczywszy mu, że broń ta może go zdradzić przed Szwedami. Jeden tylko Maciek z tobołkiem na plecach, okryty swą wielką i ciężką oponczą bajową, nie miał w rękę, czemby mógł się podpierać. To też kilkakrotnie robiąc wielkie kroki swemi długimi i cienkimi nogami, ile że pragnął być zawsze jak najbliżej pana Rafałowicza, do którego jednego czuł zaufanie, poślizgnął się już fatalnie, ale zawsze zdołał się uchwycić bocznego muru i utrzymać na nogach, sycząc głosem stłumionym, bo się bał, jak mówił, przedrzeźniania.

— O, laboga, laboga!

Ale nakoniec, tuż nad kałużą ciemną i błotnistą, chcąc ją jednym krokiem przesadzić, tak jakos nieszczęśliwie stąpnął, że się poślizgnął i jak długi runął w sam środek kałuży, wrzeszcząc w niebogłosość:

— Reta, ludzie... reta!

Pan Rafałowicz natychmiast się zatrzymał i odwrócił, ale Kazik i Kacper, widząc grzebiącego się w błocie Maćka, nie mogli wytrzymać i parsknęli obaj śmiechem.

— O, laboga, laboga!—jęczał Maciek, ruszając się ciężko w błocie, a w odzew na to rozlegał

się śmiech obu idących za nim chłopców, śmiech huczący donośnie w tym długim i wązkim korytarzu.

Nakoniec Maciek wy dobył się z błota, umorusany jak nieboskie stworzenie, z włosami polepionymi błotem, czarny, brudny i spluwający. Patrząc na śmiejących się z niego, choć mu się z razu płakać chciało, bo już nosem głośno pociągał, ale także śmiać się zaczął, a że pan Rafałowicz naglił, by iść naprzód, więc ruszono, śmiejąc się i żartując z tej przygody Maćka.

ROZDZIAŁ X

W którym jest trochę o szcurach, trochę o Szwedach i o opończy Maćkowej.

Wypadek, który się przytrafił biednemu Maćkowi, wpłynął rozweselająco na posępne dotąd usposobienie Kazika i Kacpra. Śmiali się i podrzywali sobie z towarzysza:

— Maciuś! — pytał Kazik — a miękko ci tam było w tem błocie?

— Co nie miało być miękko—odzywa się Kacper—buchnął jak w matusinę pierzynę.

— A nie stłukłeś sobie czego?

— Brzuszek cię nie boli?

— Możeby ci dryjakiew przyłożyć?

— Albo dajfeldreku dać?

Tak sobie podrzywali, a Maciek tego słuchał i mileżał, jeno od czasu do czasu rękawem od opończy twarz sobie z błota ocierał i spluwał, bo widać połknął trochę brudnej wody z kałuży. Ale skoro tamci dwaj, nie znajdując żadnego oporu,

znudzili się bezcelowemi drwinami i także zamilkli, Maciek nagle zatrzymał się i biorąc pod rękę Kazika, nachylił mu się do ucha i szepnął:

— Kazik!

— Co?

— Ja się wróce.

— Dlaczego? co tobie w głowie?

— A dla tego, że wiesz ty, co mię pchnęło w błoto?

— A wiem.

— No co?

— Twoje niezgrabne nożyska.

— Otóż nie wiesz, bo co innego.

— A co?

— Sam Lucyper.

— Ej... głupię!

— Nie głupim... powiadam ci sam—Lucyper.

Te lochy prowadzą do piekła.

— To mi miałeś powiedzieć?

— A to.

— No toś cebula i kwita!

I wysunął ramię z pod ręki Maćka.

— A i to chciałem ci rzec, że ja się wróce—szepnął Maciek.

— Chyba sam.

— A choćy sam.

— Nie plóttbyś niedorzeczności, chyba że cię skóra śwędzi, to ci ją Szwedzi podrapia i dobrze.

— Wolę Szwedów jak dyablów.

— No, to sobie idź... tylko ci powiem, że dobry syn tak nie czyni.

— A to dla czego?

— Dlatego, że te lochy prowadzą do zamku i my tam twoją matkę oswobodzimy.

Na wspomnienie matki, Maciek nagle pociągnął nosem i zajęczał:

— O, laboga! laboga! moja matuś!

Pan Rafałowicz, usłyszawszy ten jęk, odwrócił się zdziwiony i spytał:

— A co tam? co ci się stało?

— Ej nie — odrzekł Kazik — jeno Maciek tak lamentuje nad losem swej matki.

Więc pan Rafałowicz rzekł:

— Dobry jesteś syn, mój Maćku, ale pociesz się... mam nadzieję, że oswobodzimy twoją matkę.

— Oj, rety, rety! i to prawdę jegomość gada?

— Oczywiście... zobaczymy.

— Ha! skoro tak, to już idę i drwię sobie ze wszystkich Lucyperów. Mie Ojca i Syna i Du-cha świętego!

Przeżegnał się pobożnie i szedł już śmiało naprzód. Posuwano się teraz w milczeniu przez czas jakiś, a zauważono, że grunt przestał się obniżać, i niebawem znaleziono się znowu w obszernej, sklepionej piwnicy, dość szerokiej i wysokiej. Tu pan Rafałowicz wprzód nim zajął się oględzinami.

tej piwnicy, wydobyl z pod żupana niewielką latarkę i świeczkę w niej umieszczoną zapalił. Gasząc pochodnię, z którą dotąd szedł, odezwał się:

— Strasznie pryska i parzy pochodnia, wolę latarkę.

— Ale ta świeczka prędko się wypali — zauważył Kazik.

— Mam ich ze sobą cały tuzin, wystarczą aż nadto.

To rzekłszy, podniósł do góry latarkę i rozglądając się po piwnicy, rzekł:

— Widzi mi się, że jesteśmy pod boczną furta i tym korytarzem na lewo, będziemy szli pod ulicą Dunaj.

— O, rety! rety! — jęknął Maciek — pod Dunajem, to ci dopiero!

Tymczasem pan Rafałowicz postąpił parę kroków i nagle coś pisnęło przeraźliwie pod jego nogami i jakiś cień ruchliwy przebiegł po ziemi, a zaraz też na wszystkie strony po murach i sklepieniu kręcić się, piszczeć i biegać zaczęły roje jakichś istot, których dobrze rozpoznać nie można było z powodu migotliwego blasku pochodni. Jakieś tylko czarne plamy, ruchliwe nadzwyczajnie i piszące szkaradnie, przemykały się szybko.

Pan Rafałowicz odskoczył, trochę przerażony, i zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali, a to co?

— Zdaje mi się — zauważył chłodno i spokojnie Kazik—że to szczury!

— Ależ tego paskudztwa jest tutaj, jest! — dodał Kacper, rozglądając się dokoła.

Przez chwilę stali tak w milczeniu, przypatrując się temu wstrętnemu widokowi, a pan Rafałowicz otrząsał się i mruczał: brrr! gdy nagle Maciek skoczył raz i drugi i, machając gwałtownie rękami, krzyczał w niebogłosość:

— Rety! rety! ludzie, rety!

Głos jego tyle miał w sobie przerażenia, drżała w nim nuta tak szczerzego przestachu, że wszyscy przybiegli do skaczącego i trzępiącego rękami Maćka, pytając:

— Co ci się stało? co ci jest? gadaj, do paraszka!

— Szczury! szczury!—wołał Maciek.

— Gdzie?

— Po mnie łażą, gryzą mię, zagryzą! o! rety, ludzie, rety!

Potężny jego głos grzmiał po sklepionej piwnicy z taką siłą, rozbijał się kilkakrotnem echem, że nieomal całe podziemia sobą przepełnił. Pan Rafałowicz, człowiek doświadczony i dość powolnego usposobienia, skalkulował sobie zaraz, że jeżeli w istocie w tej chwili znajdują się pod basztą, zwaną „furtą boczną,“ to głos ten okropny i potężny, może dojść do uszów straży wartującej na tej baszcie.

— Do kroćset, mociumpanie—zawołał z gniewem — zatkajcież gębę temu tehórzowi, bo nam tu jeszcze swemi krzykami Szwedów na kark sprowadzi. Cichaj, psia jucho!

Kacperek lepiej zrobił, bo skoczył do Maćka i wprost mu ręką zatkał usta.

— Będziesz ty cicho, baranie jakiś! uduszę cię, jak mię widzisz!

Maciek umilkł, ale drżał cały i oglądał się dookoła trwożliwie, a Kazik spędzał szczury z jego toboła, do którego zapach wonny kielbasy z czosnkiem zwabił mnóstwo tych zwierzątek, wygłodzonych zapewne porządnie. Cała gromada ich łąziła po Maćku i zapewne przez cienkie pluderki tu i owdzie kąsać go poczęła i tym sposobem spowodowała rozpaczliwe krzyki biednego chłopaka. Zrzucił on ze siebie oponczę i tobolek, wierzgał nogami, machał rękami, ale już nie krzyczał, tylko pociągał głośno nosem i mruczał płacziwie:

— O, laboga! laboga! o Jezusieńku mój złoty!...

Wśród tego Kazik i Kacper rozpoczęli walkę ze szczurami, które całemi gromadami rzuciły się na leżący na ziemi tobolek Maćka i wśród szamotań i pisku przeraźliwego gryźć go poczęły. Kacper dzielnie robił szpada, zdobytą przez Maćka na Szwedzie, kłuł, nadziewał po trzech naraz szczurów; Kazik palił ich pochodnią i nakoniec po rozpaczliwej walce, zasławszy ziemię dookoła drga-

jącami trupami, na które zaraz inne się rzuciły i pożerały je cheiwie, tobolek Maćka oswobodzili od szczurzego najazdu, ale mocno nadwreżony i w wielu miejscach poprzegrzany.

Nagle, gdy zziajani mocno, zmęczeni, opędzali się jeszcze przeciw ostatkom szczurów, nad nimi w górze, ponad sklepieniem rozległ się donośny zgrzyt, jakby odsuwanych jakichś ciężkich wrześciadzy. Wszyscy podnieśli w górę głowy i na swoje wielkie przerażenie spostrzegli, że w sklepieniu znajdują się dość duże, żelazne, mocno zarzdewiałe drzwi, i że te drzwi ktoś usiłował otworzyć. Nie ulegało zatem wątpliwości, że krzyki Maćka tak przeraźliwe, że umarłego w grobie potrafiłyby obudzić, doszły zapewne do uszów straży szwedzkich, postawionych przy furcie bocznej i że straża te usiłują otworzyć drzwi żelazne, wiodące do lochu, żeby obaczyć co się tam dzieje i skąd te krzyki pochodzą.

Wszystkim odrazu ta myśl przebiegła przez głowę i wszyscy doskonale pojęli groźące im straszne niebezpieczeństwo. Gdybyż ich Szwedzi schwyłali w tem podziemiu! Nie tylko przez to zdradziliby tajemnicę, nadzieję dopomożenia swoim przy spodziewanym szturmie do Warszawy, ale i siebie samych naraziliby na męki, a może i na śmierć. Wszystko to błyskawicą mignęło im w głowach, ale na razie nie wiedzieli co czynić, jak się ra-

tować. Zapomnieli o szczurach, które widząc nagły spokój napastników, ponowiły swe napady z większą niż przedtem zajadłością, wskakiwały na nich, czepiały się nóg, gryzły. Nawet Maciek skamieniał, choć szczury znowu gromadnie obsiadły mu jego toból. Jeden tylko pan Rafałowicz nie stracił przytomności. Zbliżył się do Macka i szepnął rozkazująco:

— Bierz twoje zawiniątko. Uciekajmy w ten korytarz! Zgasić pochodnie!

Sam, dając przykład, dmuchnął na świeczkę w latarni i skoczył żwawo, jakby mu ubyło ze dwadzieścia lat, w wązki korytarz, czerniejący po lewej ręce i tworzący kąt prosty z tym, przez który przybyli. Chłopczy usłuchali natychmiast rozkazu. Pochodnie zanurzone w błotnistą ziemię piwnicy zasyzczały, przysły iskrami i zgasły, ale żywiczny dym z nich leniwie się rozwinął po piwnicy i nappełnił ją swą wonią. Maciek porwał swój tobolek, z którego kilkanaście szczurów z głośnym piskiem spadło, i wyciągając długie nogi, w paru krokach znalazł się w korytarzu. Wszystko to stało się w jednej chwili, ale czas już był wielki, bo drzwi żelazne w sklepieniu ustąpiły, otworzono je z przeraźliwym zgrzytem i blade światło dnia wpadło do piwnicy.

Pan Rafałowicz z trzema swymi kompanami nie mógł zbyt daleko, zwłaszcza wśród ponurych

i nieprzejranych ciemności, jakie ich ogarnęły po zgaszeniu pochodni, odskoeżyć. Gdy się więc owe drzwi u góry otworzyły, wszyscy zatrzymali się, przytulili do zimnego i wilgotnego muru korytarza i tak stali, wstrzymując dech w sobie, zapominając i nie zważając na to, że szczury za nimi pociągnęły i teraz w ciemności, nie płoszone światłem,abrały się naprawdę do gryzienia butów, tobolek i nóg wszystkich czterech.

Tymczasem w otwartych drzwiach sklepienia ukazały się trzy czy cztery głowy szwedzkie, szwargoczące coś między sobą i ciekawie rozglądające się po piwnicy. Ale zapewne nie wiele mogli zobaczyć z powodu panujących w lochu ciemności, bo jeden z nich wstał i niebawem wrócił z dużą latarnią, którą umocowali na długim sznurze i zaczęli powoli spuszczać do piwnicy.

Wszystko to pan Rafałowicz i jego trzech towarzysze, przytuleni do muru korytarza, ogryzani coraz żarłoczniej przez szczury, widzieli jak na dłoni. Latarnia wolno, chwiejąc się, spuszczała się, a blask od niej padając na mury, oświecał mnóstwo czepiających się szczurów i z piskiem uciekających przed blaskiem. Szwedzi u góry ciągle patrzeli i coś między sobą szwargotali.

Latarnia coraz bardziej się obniżała, rozświecając coraz lepiej piwnicę i nagle blask jej padł

na jakiś przedmiot, leżący na ziemi, podobny zupełnie do człowieka z rozpostartymi rękami.

Pan Rafałowicz skamieniał. Była to opończa Maćkowa.

ROZDZIAŁ XI

Jako Maciek nabiera przekonania, że mu się do brzucha szczur dostał.

Maciek, gdy go szczury w piwnicy opadły i zabierały się do jego kielbasy z czosnkiem, w tobołku zachowanej, zrzucił był ze siebie oponę i teraz leżała ona z rękawami rozkrzyżowanymi, zupełnie jak człowiek, który padł na twarz. Blask latarni oświecał wybornie ten zdradziecki ślad pobytu człowieka w lochach, i Maciek byłby się zapewne przestraszył wzroku pana Rafałowicza, jakim spoglądał na niego w tej chwili; ale było bardzo ciemno i Maciek piorunów tych ocznych nie widział, zato spostrzegłszy swą oponę, syknął:

— O, laboga, laboga, moja guńka.

Potężny kulak, wymierzony mu w bok przez Kazika, przypomniał mu zaraz niebezpieczeństwo i potrzebę zachowania jak najgłębszego milczenia. Stał więc niemy i widział jak Szwedy łby powy-

ścibiały do piwnicy, jak ze wszystkich stron oświecały latarką oponczę i wołały ciągle: „Ohe! ohe!“ niby budząc owego leżącego na ziemi człowieka, którego oczywiście i do skończenia świata nie byłiby się dobudzili. Gdy wreszcie ich krzyki na nic się nie przydały, bo przydać się nie mogły, gdyż oponcza Maćkowa w żaden sposób figury żywego człowieka przybrać nie mogła, podnieśli latarnię do góry, sami popowstawali i głośno nad czemś naradzać się poczęli, nie spuszczać owych drzwi żelaznych u góry. Szwargotali tam i szwargotali, a ich głosy wpadając do lochu, huczały i dudniły jakimś grobowem echem.

Położenie czterech podróżników podziemnych było nie do pozazdroszczenia i z każdą nieomal chwilą coraz gorszem i rozpaczliwszem się stawało. Pominąwszy już to, że z chwilą podniesienia przez Szwedów latarki, otoczeni byli nieprzejrzanymi ciemnościami, czarnymi jak najczarniejszy inkaust; pominąwszy, że wskutek tego, nieznając zgoła lochów, nie mogli puszczać się w dalszą po nich peregrynacyą, to jeszcze musieli stać nieruchomi i cisi, by się nie zdradzić przed Szwedami i przez to byli istotnemi ofiarami szczurów, które, jeżeli to położenie dłużej potrwa, mogą ich żywcem zjeść, jak niegdyś króla Popiela.

Zwierzątka te bowiem, widząc nieruchomość swych ofiar stawały się coraz natarczywsiemi, do czego także ośmielała ich ciemność. Zrazu niewiele ich puściło się za kryjącemi się na korytarzu peregrynantami, ale powoli wabione zapachem Maćkowej kielbasy, płoszone spuszcza-
jącą się z góry latarką i jej światłem ruchliwym, poczęły gromadnie napływać do korytarza ze wszystkich stron. Gryzły co napotkały, a już tobolek Maćkowy obsiadły tak gromadnie, że przegryzły worek i do kielbasy się dobrały, która oczywiście w ich żarłocznych paszczach w jednym okamgnieniu zniknęła. Otrząsał się Maciek jak mógł i tylko strach przed Szwedami mroził mu okrzyk zgrozy w piersiach.

Ale nie tylko jednego Maćka wstrętne te stworzenia obsiadły. Spinały się one i po panu Rafałowiczu, i po Kacprze i Kaziku, dobierały się do ich zapasów żywności, gryzły skórę na butach, kąsały po nogać i rękach, a przemykanie się ich ślizkich ciał, niewypowiedziane obrzydzenie i wstręt sprawiało. Widocznem było, że jeżeli peregrynanci dłużej stać tak będą nieruchomie, to nie tylko wszystką żywność utracą, ale sami padną ofiarą szczurzego napadu i okrutną śmiercią zginą, żywcem zjedzeni.

Pan Rafałowicz wszystko to zapewne wykal-
kułował sobie w głowie, bo jak tylko Szwedzi

latarnię podnieśli i głośno tam na górze szwargotać poczęli, zbliżył się do Kazika i Kacpra i szepnął:

— Ostać tu nie możemy, bo nas szczury zjedzą, bądź co bądź, co się stanie—ruszać musimy naprzód w ciemnościach. Tam dalej zapalimy pochodnie.

I nagle spojrzawszy na piwnicę, na środek której mdle tylko światło dzienne padało z wierzchu, dodał:

— Oni tam coś postanawiają. Lękam się, czy po drabiny nie poszli, żeby spuścić się do piwnicy. Opończa tego gamonia (tu wskazał na Maćka) całego tego bigosu narobiła. Brrr! jakież te szczury dokuczliwe!

— Moje chłopcy—ciągnął dalej—niech każdy z was chwyci się za połę moją od żupana, żebyśmy się w ciemności nie pogubili i ruszajmy w Imię Boże. Cokolwiek się stanie, zawsze to będzie lepszym jak śmierć od szczurów. No, Kazik niech chwyta się mego żupana, Kacper żupana Kazika, a ten gamoń niech idzie na końcu, bodaj go zabito!

Wtem nagle Maciek, który stał zapatrzony w piwnicę i nie słuchając słów pana Rafałowicza, nad czemś głęboko rozmyślał, szepnął:

— Zaraz! i skoczył do piwnicy.

Uczynił to tak nagle i prędko, tak potężnie wyciągał swe długie nogi, że nim kompani jego mogli zrozumieć o co idzie, on już wracał z oponczą, po którą skoczyć, porwać ją i unieść, było dla niego dziełem jednej chwili. Tym śmiałym czynem podwójną osiągnął korzyść, bo najprzód pozbył się szczurów, które w tym nagłym skoku poodpadały od niego z rozgłośnym piskiem, a potem zabierał oponczkę, której mu żal było i którą należało uważać za straconą. Ale co Szwedzi, gdy zajrzą znów do piwnicy, na to powiedzą?

Takie pytanie zadawał sobie pan Rafałowicz, gdy nakoniec ruszono w drogę i mówił:

— Szwedzi niechybnie spuszcza się do piwnicy, by obaczyć, co tam za człowiek leży, bo oponcza tego gamonia miała zupełnie konspekt człowieka, a gdy jej nie ujrzą, nabędą przekonania, że się tu coś niedobrego dzieje. Co będzie wtedy? Już to ten niepoń narobił nam nie mało kłopotu, gdyby nie wrzeszczał, nie byłby zwrócił uwagi warty. Bodaj go kat porwał!

Maciek milczał, milczeli i inni, bo droga była bardzo trudna, przykra i niebezpieczna wśród otaczających ich nieprzejrzanych ciemności. Pan Rafałowicz stapał wolno i ostrożnie, nim dał krok, macał wprzód czekanikiem i trzymał się muru. Grunt był ślizki nadzwyczajnie, mokry, ze sklepien woda na nich kapała i częstokroć brodzono

przez kałuże. W ten sposób posuwano się na-
przód bardzo wolno i jedynym zyskiem było to,
że szeszury ich opuściły. Widocznie szli pod ulicą,
i jak pan Rafałowicz kalkulował, pod Dunajem,
bo od czasu do czasu głuchy turkot i dudnienie
zwiastowało, że wóz jakiś nad ich głowami prze-
jeżdżał. Postępowano gęsiego, trzymając się za
poły poprzędnika, a chociaż podpierano się czem
kto miał i czepiano muru, kiedy niekiedy ten
i ów pośliznął się i o mało wszystkich nie prze-
wrócił. Z razu słyhać było stłumione przez mury
rozmowy Szwedów, ale wkrótce i te ucichły i po-
nure milczenie ciemności ogarnęło czterech pere-
grynantów.

Nagle pan Rafałowicz zatrzymał się, macał
czekanikiem i rękami dokoła, wreszcie szepnął:

— Korytarz się tu załamuje i nie wiem, gdzie
iść. Boję się pobłądzić, bo nuż to jaka boczna
odnoga. Trzeba koniecznie światła. Obejrzyjcie
się, czy tam za nami nie widać i nadstawcie
uszów, czy nie słyhać.

Ale nie było nic ani widać, ani słyhać. Ciem-
ności i milczenie śmierci tu panowało. Tedy pan
Rafałowicz rzeknie:

— Skrzესaj ognia, Kaeperku, zapalimy tylko
latarkę i ja ją tak ukryję pod połą żupana, że
jej z tyłu nikt nie obaczy. Musimy mieć światło,
bo tu łatwo pobłądzić lub zbić się z drogi, a to

o życie, mociumpanie, idzie. Krzesz ostrożnie, a wy tam patrzcie, czy co nie widać od strony piwnicy.

Kacperek zabrał się do krzesania ognia. Szło to dość niesporo i musiał aż ukłęknąć na błotnistej ziemi, bo najprzód hubka w tych lochach zwilgotniała, a potem w korytarzu dość silny panował przeciąg, napędzający co prawda świeże powietrze, ale gaszący iskry. Nakoniec po długich i bezowocnych usiłowaniach, przy zastawieniu żupanami Kacpra od przeciągu, udało mu się zatlić hubkę; co żywo przyłożono do niej siarniczki, to jest okrawki papieru maczane w siarce i wreszcie świeczkę w latarce zapalono. Raźniej się zaraz wszystkim na duszy zrobiło, gdy blask od latarni rozjaśnił te posępne ciemności, jakie ich dotąd otaczały.

Pan Rafałowicz, nie zwlekając, obejrzał się dookoła. Znajdowali się w wązkim korytarzu, o dość niskiem sklepieniu z głazów, jak całe to podziemie zbudowanym, nadzwyczaj wilgotnym, pokrytym grubemi warstwami białej brzydkiej pleśni. Pod nogami mieli ziemię, a raczej błoto, po którym woda ciekła, tworząc tu i owdzie kałuże. Sami byli strasznie brudni, przemokli, ubabrani błotem. Korytarz w tem miejscu łamał się pod kątem rozwartym i innej gałęzi wcale nie było. Droga zatem była wytkniętą i należało dalej iść. Pan Rafałowicz spojrzął na busole, potem na prospekt mistrza Ascolego i rzekł:

— Dobrze idziemy. Ruszajmy dalej. A cóż tam? nie widać nic z tyłu?

— Nie!—odpowiedziano.

— A więc, w Imię Boże, naprzód! Uniknęliśmy wielkiej biedy, za co Panu Jezusowi podziękować należy i jak się stąd wydobędziemy na świat, zaraz dam na Mszę Św. u Fary.

Szedł naprzód ostrożnie, rozświecając sobie drogę latarką i po chwilowem przymusowem milczeniu, rad teraz gawędził:

— Wszystkiego narobił ten niepoń Maciek. Nie chciałem go brać, aleście mię namówili i mieliście za to. Napytał nam biedy i o mało żeśmy za to ciężko nie odpokutowali. Hultaj jest i tehórz zawołany, warto żeby mu pięćdziesiąt bizunów za tó wsypać.

— O laboga, laboga—jęknie Maciek—jaki też to jegomość przyszczyzny.

— A przyszczyzny, bo żeby nie ty, gamoniu jakiś, tobyśmy Szwedów nie pobudzili tam w baszcie. Teraz nawet nie wiem, jak my tamtędy wracać będziemy. Tehórz jesteś i niepoń.

— O rety! rety! dobrze to jegomościowi gadać, ale jak mię jeden szczur ugryzł w samo brzucho, to mię taki ból i strach zdjął, zem se trochę krzyknął. Żeby tak jegomością to spotkało, toby jegomość jeszcze bardziej wrzeszczał!

— I mnie szczury gryzły, alem dla tego nie wrzeszczał.

— Aha... tak... ale to później, kiedy już Szwedy na nas patrzyły, to i ja wtedy zęby ścisnąłem, choć mi szczury kawał żywota zjadły.

— Zjadły ci kawał żywota? — spytał, śmiejąc się, Kazik.

— A zjadły i żebym miał czas, tobym się rozpiął i pokazał.

— Szkoda, że cię całego nie zjadły! — zauważył Kacper.

— Owa, jaki mi mądrala! — ofuknął się Maciek — o laboga, laboga, co to za ludzie, nijakiej kompleksji nie mają nad nieszczęściem bliźniego.

Rozgadał się teraz, co u niego, mruka zawołanego, było rzeczą rzadką i prawil:

— Szelmy szczury zjadły mi calusieńką kiełbasę i co ja teraz, nieszczęsna sierota, będę pożywał? O, rety! rety! a ja już też czuję głód i po kiszkaach to mi tak piszczy, jak nieprzymierzając szczury, kiedy ich Kacperek dźgał szpadą.

— A może ci szczur wpadł do żywota i tak piszczy! — zaśmiał się Kazik.

— Nie gadaj! mogli to być?

— Bywa to, bywa czasem! — ozwał się pan Rafałowicz — drwiąc sobie z Maćka.

— O, laboga, laboga... jegomościuniu mój złoty, prawdę li mówicie?

— A prawdę. Sameś gadał, że ci szczury żywota nadgryzły. Pewnikiem przez tę dziurę jaki szczur się przedostał i teraz harce wyprawia po twoich kiszkach.

— O, laboga! laboga!—wrzasnął Maciek, nagle zatrzymując się i chwytając oburącz za brzuch—boli! boli!

— Cichaj, gamoniu!—krzyknął Kacper, uderzając Maćka w kark—jeszcze nowej biedy nam napytasz.

— A jakże mam być cicho, kiej szczura mam w żywocie.

— To nie — zaśmiał się pan Rafałowicz — to zdrowo. On ci żywot z wszelkich nieczystości wypurguje, a potem zdechnie. Będziesz zdrowy jak ryba.

— Prawda li to?

— Rzetelna prawda.

Śmiali się wszyscy i żwawo posuwali się naprzód. Korytarz był ciągle wązki, ale miał teraz posadzkę wyłożoną płytami kamiennymi, dzięki czemu można było iść prędzej. Tak postępowano z dobre trzy pacierze, gdy nagle nad głowami idących z tyłu za panem Rafałowiczem chłopców, sklepienie uróżowiło się jakimś blaskiem.

Pierwszy to spostrzegł Kacper i zatrzymując się, zawołał:

— A to co?

Wszyscy stanęli, obejrżeli się za siebie i skamienieli ze strachu.

ROZDZIAŁ XII

Jako czterej peregrynanci przekonani byli, że umarli.

Za nimi, gdzieś w dali długiego korytarza w mglistych oparach wilgoci, w ciemnościach mętnych i czarnych, błyszczały liczne światła ruchliwe i co chwila zmieniające miejsce. Skąd się one wzięły, kto te światła niósł—z tej odległości, w jakiej znajdowali się czterej wędrowcy, dostrzedz nie można było, dość, że były one liczne i że widocznie naprzód się posuwały. Od nich przez zgęszczoną mgłę padały nagle, krwawe promienie, odbijały się w licznych kałużach, w wilgotnych murach i sklepieniach i bladym, różowym blaskiem swoim sięgały aż tutaj. Na szczęście pan Rafałowicz tak ukrywał pod żupanem swą latarkę, że niosący światła z pewnością peregrynantów naszych dostrzedz nie mogli i dotąd nie dostrzegli.

Z tem wszystkiem niebezpieczeństwo było wielkie, gdyż owe tajemnicze światła szybko się po-

suwały naprzód, a potem, że niewątpliwie byli to Szwedzi. Sprowadzili oni zapewne do baszty drabinę, spuścili się po niej do lochu i nie widząc leżącej na dnie piwnicy opony Maćkowej, którą wzięli za człowieka, przekonani byli, że ktoś się w tych lochach znajduje i puścili się na poszukiwania. Jedy-ny ratunek był teraz w szybkiej ucieczce przed tą szwedzką pogonią, gdyż o ukryciu się nie mogło być mowy. Korytarz był ciągle wązki i nigdzie nie krzyżował się z nim inny, nie było żadnych piwnic i nie zapowiadało, by gdzieś w pobliżu znajdować się mogły.

Co jednak najważniejsza i co najbardziej bolało pana Rafałowicza, to że tajemnica tych podziemi zdradzoną zo-
Szwedzi.



stała przed Szwedami i, że zatem król Jan Kazimierz i jego rycerze żadnego z nich użytku mieć nie będą i cała, tak niebezpieczna wyprawa czterech kompanów, z takim trudem podjęta, na nie się nie zdała.

— Ot widziśz, mociumpanie—rzekł w gniewie do Maćka—do czego twoje głupie krzyki doprowadziły. Bodaj cię kat spalił, gamoniu jakiś. Cóż teraz czynić? Uciekać musimy i uciekniemy, bo pó coź kłaść zdrową głowę pod Ewangelia, kiedy cała nasza peregrynacya nie naszym, ale Szwedom wyjdzie na pożytek. Ot, taki to skutek brać ze sobą głupców i nieponiów. Ruszajmy naprzód i nie żalujmy nóg, bo Szwedy coraz są bliżej.

— O, rety, rety—jęknął Maciek—jaki też to jegomość sprzeczny! Skoro jegomość tak na mnie wydziwia i skoro Maciek wszystkiemu winien, Maciek jest gamoń, niepoń i niecnota, to...

— To coź?

— Zara, niech sobie odpocznę, bom się zmachał. Wszyćko muszę powiedzieć, co mi też na szyrcu leży. Skoro tedy król Jan Kazimierz nie będzie mógł wygnąć zamorszczyków bez moje krzyki, to ja...

Znów przerwał, westchnął żałośliwie, pociągnął nosem głośno i zawołał tonem płaczliwym:

— To ja, Maciek Dratewka, czeladnik szewcki jak się patrzy, pójdę do tych tam Szwedów

z tym mieczem, co mi go Kacper zabrał i bitwę z nimi stoczę i albo ich wykluję nikiej wieprzków, albo oni mnie zasieką. Takem sobie postanowił, co będzie to będzie... raz kozie śmierć i tyle!

— Hm! — rzekł na to pan Rafałowicz — możeby to i było dobre, tylko nie potrzeba zgola brać tego tam roženka, ale raczej iść bez wszelkiej broni i oddać się Szwedom mówiąc, żeś zabłądził. Szwedzi by dalej nie szukali i tajemnica podziemi zachowana by została. Ale ja w tej chwili jeszcze potrzeby tak rozpaczliwego kroku nie widzę. Nie sędzę, mocium panie, by Szwedzi nas długo ścigali, a gdyby tak było, wtedy spełnisz swoje postanowienie, Maćku. Bardzo to pięknie, że się ofiarujesz za nas wszystkich, i słusznie, boś ty głównie zawinił. Ale obaczmy później, czy twoja ofiara jest potrzebną. A teraz w drogę i nogi dobrze wyciągać.

Ruszono w posepnem milezeniu, co świadczyło, że wszysej byli moeno zaniepokojeni tajemniczem światłem po za nimi. Co chwila oglądali się, zwłaszcza Kazik i Kacper, bo Maciek szedł, szlochał cicho, tak go widać zabolaly wyrzuty pana Rafałowicza i od czasu do czasu mruzczał:

— O, laboga, laboga, jaki ja nieszczęśliwy!

A tymczasem światło ciągle za nimi postępowało i nieustannie widać było jego mdłe odbicie, niby plamę blade krwawą na sklepieniu. Pan

Rafałowicz nie oglądał się wcale, lecz co jakiś czas pytał:

— A co? widać ich jeszcze?

— Widać.

— Więc idą za nami?

— Idą.

— A czy się zbliżają?

Na to nie umiano odpowiedzieć, bo w korytarzu powietrze było gęste, przesycone wilgocią i ze ścian unosiły się i rozwłóczyły leniwie białe niezdrowe opary, które zaciemniały dalsze widoki i w których owe tajemnicze światło, ścigające czterech wędrowców, wyglądało jak szereg punkcików świetlnych, otoczonych mglistą, niekiedy w tężowe barwy wpadającą obwódką. Na odpowiedź, że niewiadomo, czy się Szwedzi zbliżają, bo trudno to rozpoznać, pan Rafałowicz zatrzymywał się i sam patrzył, ale zwykle mruknawszy pod nosem: „kat ich tam wie“ szedł dalej.

Dotąd podróż była dość łatwa, bo szli po płytach kamiennych, któremi grunt był wyłożony, które choć mocno oślizgłe, ułatwiały szybkie posuwanie się naprzód, ale teraz nagle wkroczone na ziemię grzązką i błotnistą, pełną kałuż wody, przez które trzeba było bardzo ostrożnie postępować w obawie wpadnięcia w jaką przepaścistą dziurę. A było to tym możliwsze, że korytarz w tem miejscu był bardzo zrujnowany i tak niski,

że Maciek, który był chłopak wysoki, musiał iść dobrze schylony, a pan Rafałowicz i inni głowami nieomal dotykali się sklepienia. W sklepieniu tem pełno było dziur, wypadłych cegieł, które zmurszałe leżały na ziemi i uderzone nogą, w pył błotnisty się rozsypywały. W ścianach bocznych także było mnóstwo dziur czarnych, cegieł rozsypujących się za najlżejszem dotknięciem, słowem zupełna ruina. Pan Rafałowicz zobaczywszy to, niespokojnie poglądał na te mury, kiwał głową, mruczał coś pod nosem, ale milczał i szedł dalej, nie pytając się weale, czy tajemnicze światło za nimi się posuwa, gdyż był pewny, że tak jest, w czem się zresztą weale nie mylił.

Szli tą drogą dość powoli i Kaeperek, który stapał na samym końcu, zauważył, że blask światła ich ścigających wzrósł znacznie, co dowodziło, że Szwedzi zbliżyli się znacznie. Łatwo to wreszcie było wytłumaczyć. Ścigający wkroczyli na drogę płytami kamiennymi wyłożoną i oczywiście mogli się prędzej posuwać, niż czterej wędrowcy grzęznący w błotnistym gruncie i w dodatku z obawą, że w każdej chwili może im spaść na głowę, albo cegła, albo zgoła samo sklepienie. Z drugiej strony kalkulował sobie Kaeperek, że uparty ten pościg tem się tylko wytłumaczyć da, że Szwedzi musieli ich postrzedz i dla tego nie

porzucają nadziei dośięgnięcia tajemniczych dla nich wędrowców.

— Jeżeli tak jest—mówił sobie Kaeper—i jeżeli dłużej będziemy taką mieli drogę, jak tutaj, to z pewnością nas dopadną i wtedy bądź zdrow holenderski śledziu!

Zapomniał strapiiony sekretarz magistracki, że jeżeli droga dla niego i jego towarzyszy była zła, to takąż będzie i dla Szwedów. Ale w gorączce rozpaczliwych myśli, jakie w nim wywołały tajemnicze światła, oraz niski błotnisty korytarz, którego sklepienie zdawało się mózg mu przygniatać, zapomniał o tym prostym wniosku i trapił się mocno i co chwila się oglądał, czy ścigający się zbliżają. W rzeczy samej, zbliżali się widocznie, od czasu do czasu nawet dochodziły głośniejsze ich rozmowy, które hucząc w tych ciasnych przejściach, nabierały dziwnej mocy i dziwniejszego jeszcze brzmienia. Wszystko to sprawiało, że Kacperek, który był chłopcem odważnym, drżał teraz jak liść osieczyny.

Ale na szczęście nagle sklepienie się znów podniosło i korytarz miał wygląd zdrowszy, a co najważniejsza, grunt znowu był wybrukowany twardym kamieniem. Pan Rafałowicz teraz dopiero zapytał:

— A cóż tam Szwedzi?

— Zbliżają się — odrzekł Kacper — i jestem pewny, że jeżeli tak dalej pójdzie, za pół godziny nas dogonia.

— A to jakim sposobem? cóż u kata, czyżby mieli buty samochody siedmiomilowe?

— Już ja tam nie wiem co jest — odparł Kacper — ale nas doganiają.

W tejsze chwili, ledwie to wyrzekł, rozległ się w korytarzu straszny huk, który w tem ciasnem miejscu porwany przez mury i sklepienia, tysiącznem echem się powtórzył i grzmiał długo, a z owych zrujnowanych ścian i sklepów, które dopiero co przeszli nasi wędrownicy, cegły się sypały ciągle. Wszysecy struchleli i stanęli na miejscu. Za hukiem bowiem, prawie jednocześnie z gwizdem i jękiem przeciągłym przeleciała kula i z głośnym trzaskiem utkwiała gdzieś w murze.

— Strzelają! — zawołał Kacper.

— A strzelają — odparł pan Rafałowicz — więc nas oczywiście dostrzegli. Byle nie zacheiało im się tej próby powtórzyć.

Ale nie mogli już powtórzyć, gdyż w tejsze chwili z łoskotem i trzaskiem przerażającym runęło owe zrujnowane sklepienie za nimi i zawaliło zupełnie przejście. Ścigające światła znikły i zapanowały dawne ciemności, a pęd powietrza stał się tak silny, że wszystkich czterech powalił na ziemię, przyczem latarka pana Rafałowicza

stłukła się i świeca zgasła. Wszyscy stracili przytomność; każdemu się zdawało, że to na jego głowę spadło sklepienie i pogrzebało go żywcem na wieki.

Jak długo trwało to omdlenie, żaden z nich nie wiedział. Pierwszy ocknął się Maciek, otworzył oczy i nic nie widząc z powodu okalających go nieprzejrzanych ciemności, zamknął je znowu, przekonany, że się już na tamtym świecie znajduje. Strach go wziął wielki i począł się żegnać i szeptać „Zdrowaś Marya“, ale zauważył przytem, że ręką może ruszać swobodnie i szept własny doskonale słyszy. Jednocześnie nad głową jego rozległo się głucho dudnienie, jakie już raz słyszał w podziemiu, a które to dudnienie, według słów pana Rafałowicza miało świadczyć, że są pod ulicą i że na tej ulicy jakiś ciężki wóz jedzie. Skoro tedy wóz jedzie, to znaczy, że Maciek nie jest na tamtym, ale jeszcze na tym świecie.

— O, laboga, laboga—szepnął—co to jest?

Podniósł głowę, a potem cały się rzucił i przekonał się, że swobodnie może się poruszać. Ukłął więc najprzód i zaczął dokoła rękami macać. Namacał z jednej strony jakąś głowę a z drugiej nogi i rzekł:

— To pewnikiem głowa Kacpra, a to nogi Kazika, ale widać już pomarli.

Na tę myśl taki go strach ogarnął, że się zerwał na równe nogi i co tylko sił miał, wrzasnął:

— O, reta, ludzie, reta!

Na ten krzyk, który rozległ się, jak wszystkie głosy w tem podziemiu, donośnie i daleko, Kacper ocknął się, usiadł i zapytał:

— Cichaj! kto tam wrzeszczy? czy to ty, Maćku?

— A ja.

— Co się stało?

— Czy ja wiem? to ty żyjesz, Kacperku?

— A żyje.

— O, laboga, laboga, a tom się przestraszył!

— A pan Rafałowicz i Kazik gdzie są?

— Nie wiem.

— Ano trzeba ich poszukać. Zaraz skrzeseć ognia!

Łatwo mu to przyszło, gdyż powietrze w tem zaciśnionem miejscu było spokojne i gdy pocho-
dnia zajaśniała, ujrzał Kazika i pana Rafałowicza
leżących na ziemi nieruchomie.

ROZDZIAŁ XIII

W którym Maciek dostał się niespodziewanie wobjęcia kościotrupa.

Zrazu Kacper myślał, że tak Kazik, jak pan Rafałowicz są zabici, choć nie mógł zrozumieć od czego by mogli postradać życie. Sklepienie nad nimi było całe, a z tamtego, które się wskutek strzału zawaliło, najmniejszy nawet szczątek tu nie doleciał. Przekonał się jednak wkrótce, że obaj żyją. Kazik, jak mu tylko Maciek prysnął trochę wody na twarz, zaraz przyszedł do siebie, ale z panem Rafałowiczem była większa bieda. Wprawdzie otrzeźwiono go dość prędko, ale siedział na ziemi, oparty plecami o ścianę i czy to ze wzruszenia, przestachu czy ze zmęczenia, tak osłabł, że się podnieść nie mógł. Stary już był bardzo i stękał.

— Niech sobie odpoczne—mówił—jużcić wstać muszę, ale też i odpocząć muszę. Jest tam w mojej kobiałce trochę wina, jeżeli się fiasza nie stłukła, dajcie mi... to mię pokrzepi.

Na szczęście butelka była cała, podano ją panu Rafałowiczowi i gdy wypił nieco wina, zaraz mu się lepiej zrobiło. Przy pomocy Kacpra i Maćka, który się bardzo żwawo krzątał koło zemdlnych, pan Rafałowicz podniósł się i chwiejąc się wsparty na czekaniku, rozglądał się dokoła.



— Hm—mówił — teraz to dopiero rozumiem, co to się stało. Szwedy nas dostrzegli, a może usłyszeli, bo to w tych lochach głos rozchodzi się daleko, i strzelili do nas. A że sklepienie i ściany w części korytarza, któryśmy przeszli szczęśliwie,

za co niech będą Bogu Wszchemogącemu dzięki, były zrujnowane, więc od huku się zawałiły. Otóż to, jak to było... Pan Jezus nas ocalił cudem prawie i jak tylko na świat Boży wrócimy, zaraz dam na Mszę św. do cudownego Pana Jezusa u Fary i krzyżem będę słuchał nabożeństwa. Ale cóż teraz mamy czynić? Wartoby, mociumpanie...

— Oho!—zawołał Maciek wesolo—skoro jego mość już mówi mociumpanie, to już jest dobrze,

— Stuliłbyś gębę, niecnoto, bo to wszystko przez ciebie i zawždy, jako widzę, masz pstro we łbie. Otóż tedy, należałoby obaczyć, zali on korytarz tak się zawałił, że przez niego nijakiego już nie będzie przejścia...

— A to ja obaczę!—ozwał się Maciek.

— Jeno ostrożnie, bo może gdzie jeszcze sklepienie wisieć i znowu runąć.

— Ha! skoro jam wszyćkiemu winien, to ja powinienem pokutować—mówił Maciek—a zresztą, zgine, to i cóż? O, laboga, laboga, wielka mi rzecz! Raz kozie śmierć i tyle!

Wziął gorejącą pochodnię i ruszył ku onemu zawałonemu sklepieniu, ale niebawem wrócił i rzekł:

— Strach tam chodzić i patrzeć. Wszyćko jeno w gruzach i cegły tak wiszą, że lada moment spadną, a przejścia nijakiego niema.

— A no — zakonkludował pan Rafałowicz— Pan Bóg nas uwolnił od Szwedów, ale już wró-

cić nie będziemy mogli, ani też cofnąć się. Musimy iść naprzód i im prędzej stąd pójdziemy, tym będzie lepiej, bo tu niebezpiecznie czekać. Nuż się reszta zawali. Chodźmy, chłopcy!

Przeżegnał się i ruszył przodem, ale szedł wolno, stękając i utykając, przyczem bacznie oglądał sklepienie i ściany. Przekonał się jednak wkrótce, że te były mocne i niebezpieczeństwo żadne od nich nie groziło. Natychmiast zauważył, że powietrze, wskutek zapewne zatkania się korytarza, a stąd braku przewiewu, stawało się coraz gorsze i jego starym piersiom brakowało oddechu. Zauważyli to także jego młodzi kompanioni, gdyż pochodnie coraz słabiej gorzały, a dym od nich, nie mając ujścia, jeszcze bardziej psuł i tak już zepsute powietrze.

— Byliśmy się tu gdzie nie podusili—mrucał Kaeper, który od czasu ostatniej katastrofy, był jakiś zgnębiony i całkiem stracił animusz.

Zato Maciek był w jak najlepszym sosie. Szedł rażno i dobywszy z tobołka niedojedzony przez szczury kawał czarnego chleba, gryzł go z wielkim smakiem i gadał:

— O, laboga, laboga, wielka mi rzecz. Raz kozie śmierć i tyle!

Śmiał się głośno i ni stąd ni zowąd począł śpiewać urywek z kolendy:

„Hiszpan mówi, że w Madrycie
Urodzone dziecię.“

Zdaje się, że więcej nie umiał, bo ciągle powtarzał tę samą zwrotkę o Hiszpanie i Madrycie, a śpiewał głosem tak zabawnym i fałszywym, że wszyscy śmiać się zaczęli i rozweselili i mniej zważali na to, że powietrze było zepsute i że jeżeli tak dłużej potrwa, to się mogą podusić. Ale na szczęście nagle powiał świeższy prąd, pochodnie jaśniej palić się zaczęły i znaleźli się w niewielkiej piwnicy, z której po bliższem jej rozpatrzeniu, przekonali się, że trzy prowadzą gdzieś korytarze. Prąd ów świeżego i tak zbawiennego dla zduszonych piersi czterech wędrowców powietrza, pochodził z małego, zakratowanego okienka, umieszczonego tuż pod sklepieniem piwnicy i rzucającego słaby, mdły blask światła dziennego.

Pan Rafałowicz zatrzymał się i ciekawie rozglądać się zaczął dokoła. Piwnica była dość wysoka, pusta i wilgotna, jak całe to podziemie, i nie słyhać tu było wcale turkotu wozów, który przez cały korytarz towarzyszył prawie nieustannie peregrynantom. Dowodziło to, że znajduje się ona już nie pod ulicą, ale pod jakimś domem. Maciek obejrzał się dokoła i spostrzegłszy trzy wyjścia, zawołał:

— O, laboga, laboga, którąż my teraz pójdziemy?

Pan Rafałowicz nie na to nie odpowiedział, jeno rozwinął papier z prospektem mistrza Ascolego, popatrzał na busołą i rzekł, wskazując ręką na otwór po stronie prawej:

— Tędy pójdziemy. Jesteśmy na rogu Dunaju i Rynku, pewnikiem pod kamienicą pod św. Markiem.

— A skądże jegomość o tem wie?— spytał ciekawie Maciek.

— A wiem z tego prospektu.

— O, rety, rety! jaki też to jegomość mądry!

Na tę naiwną uwagę pan Rafałowicz nie odrzekł, tylko zwinawszy spokojnie papier z planem mistrza Ascolego, ruszył naprzód. Korytarz, którym teraz szli był dość wysoki, ale nadzwyczaj wązki, tak że pan Rafałowicz, który był gruby i miał brzuch, z trudnością się przeciskał. Zapanowało znowu milczenie, ile że powietrze poczynalo się w tak wązkiej szyi psuć, a przytem korytarz dość gwałtownie się obniżał, co nie zdawało się zapowiadać nic dobrego. Pan Rafałowicz, widząc to obniżanie, rzekł:

— Tak być musi, bo to podziemie idzie pod murami i piwnicami i fundamentami domów, a głównie kamienicy pod św. Markiem, która, jako wiadomo tym, co stare księgi czytają, jest najdawniejszą w Warszawie. Powiadają nawet ludzie, że owi założyciele naszego grodu, co się

zwali War i Sawa, tu, gdzie ta kamienica stoi, mieli pierwotnie mieszkać, ale mnie się to wydaje bajką, bo tego w żadnej kronice niema napisano.

Tak gadał pan Rafałowicz, spuszczać się coraz niżej korytarzem, co było dość trudnem, bo grunt niewybrukowany był błotnisty i ślizki.

— Muszę wam też, moi chłopcy, powiedzieć, że tu gdzieś pewnie coś ciekawego ujrzymy.

— A to dla czego?—spytał Kacper—skąd to jegomość suponujesz?

— Stąd, że na prospekcie mistrza Ascolego, który jak się okazuje wszystkie te podziemia sam zwiedził, niedaleko owego zakrętu, któryśmy przeszli, jest namalowany czerwoną farbą krzyżyk. Coby ten krzyżyk znaczył, nie wiem i domyśleć się nie mogę, zawždy pewno to coś niezwykłego będzie. Takich krzyżyków jest jeszcze dwa, koło kościoła O.O. Jezuitów i pod Fara Świętojańska, ale także nie wiem, coby one znaczyły.

Maciek, który tych słów pilnie słuchał, nagle zawołał:

— A ja wiem!

— Wiesz? no... więc powiedz.

— To pewnikiem tam gdzie jest krzyż, musi być grób, bo to przecie zawždy na grobach krzyże stawiają.

— Powiedział co wiedział — ozwał się na to Kacper — a że nie wiele wiedział, więc też nie powiedział.

— Cichaj, cebulo! — mruknął Kazik.

Skonfundowany tem Maciek mruknął coś pod nosem i nie już nie gadał, ale pan Rafałowicz, który wysłuchał tego wszystkiego w milezeniu, po krótkim namyśle, rzekł:

— Może on i nie takie głupstwo powiedział, jak się zdaje. Jużcić, jak wiadomo, pod kościołami są groby i krzyżyki owe, tam przez mistrza Asolego umieszczone, łącznoby się tym sposobem, jako Maciek gada, dały wytłomaczyć, ale coby one znaczyły pod kamienią św. Marka, tego wyrozumieć nie mogę. Ale obaczymy.

Maciek, usłyszawszy te słowa pana Rafałowicza, zwrócił się do Kazika i rzekł:

— Tyś teraz cebula, a ja chłop mądry i jak się patrzy, a ty cebula!

Kazik w odpowiedzi cheiał Maćkowi dać „suję“ pod bok, ale nie było na to czasu, bo nagle pan Rafałowicz stanął i zawołał głosem, w którym czuć było trwozę:

— No... teraz to już amen!

Wszyscy rzucili się naprzód i także zasmucili się bardzo. Korytarz zamykały ogromne drzwi żelazne i tamowały wszelkie przejście.

— Otóż i krzyżyk mistrza Ascolego!—zawołał pan Rafałowicz — ale czemuż tego wyraźniej nie napisał, nie bylibyśmy wpadli w taką pułapkę. Teraz ani naprzód, ani z powrotem iść nie możemy, ani też wydobyć się z tego podziemia.

Usiadł na mokrej ziemi, bo nogi pod nim dygotały i siedział, chwytając piersiami zepsute powietrze lochów, i szepnął na pół do siebie:

— Co prawda, skądże Ascoli mógł wiedzieć, że się sklepienie tam zawali i zamknie nas tutaj jak w pułapce.

— Cóż teraz uczynimy? — spytał Kacper.

— W Bogu jedyna nadzieja, mruknął pan Rafałowicz z głuchą rozpaczą.

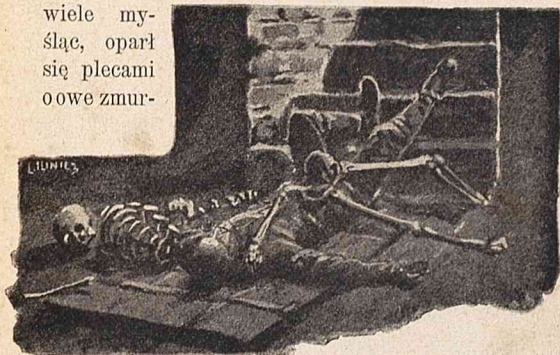
— O, laboga, laboga, co to będzie! — jęczał Maciek.

Ale Kazik, który był ślusarzem i nawet już na ezelandnika mógł się wyzwolić, jeno w tych ciężkich czasach pieniędzy mu na to brakowało, podszedł do owych drzwi żelaznych i przyświecając sobie pochodnią, opatrywał je starannie, zwłaszcza zamek. Drzwi te na pozór wyglądały bardzo mocno, kute były z żelaza, nabijane bretnalami i osadzone w odrzwiach kamiennych. Ale były one też bardzo stare, a w tej wilgoci, jaka tu w podziemiu panowała, rdzą zjedzone. Kazik oglądał, oglądał w milczeniu i nagle, podniósłszy z mocą drąg żelazny, uderzył nim z całej siły

w te drzwi. Zatrzęsły się i część zmurszałych bretnali i płyt żelaznych w proch się rozsypała pod tym ciosem i w owych drzwiach, tak mocno wyglądających, ukazała się dziura. Kazik zobaczywszy to, krzyknął uradowany:

— Dalej, Kaeper, Maciek, do roboty! rozbijemy to próchno!

Obaj chłopcy rzucili się na pomoc Kazikowi. Kaeper walił młotem, a Maciek, który był chłop silny, nie wiele myśląc, oparł się plecami o owe zmur-



szale drzwi i tak mocno podparł sobą, że nagle żelastwo na dwoje pękło i Maciek runął wraz z wyłamanymi drzwiami do ciemnicy, wrzeszcząc w niebogłosy:

— Reta, ludzie, reta, kto w Boga wierzy!

Padł on na wznak, głową na dół i toczyć się gdzieś począł i zniknął, tylko z głębi stłumiony jego głos, jak z grobu się wydobywał, przyczem wrzasnąwszy:

— Śmierć! śmierć, laboga!... śmierć mię dusi — umilkł. Pochodnia, którą miał w rękę, zgasła i pozostali z tej strony nie wiedzieli, co się z nim stało i przerażeni odskoczyli od ziejącej wilgocią i stęchłą ciemnicy. Przez chwilę panowała przerażająca, śmiertelna cichość, ale pan Rafałowicz zerwał się na nogi i zawołał.

— Czegóż stoicie? trzeba go ratować. Dalej, chodźmy tam za nim!

Wetknięto pochodnię i zobaczono, że tuż za wyłamanymi drzwiami były schody kamienne. Po tych schodach, pod przewodnictwem pana Rafałowicza, który przodem się puścił, poczęli schodzić. Stopni było siedem i na samym dole, na kamiennej, i rzecz dziwna, suchej posadzce leżał na wznak Maciek blady, z zamkniętymi oczyma, a na nim o! zgrozo—kościotrup. Suche jego ręce, cienkie, białe, rozkrzyżowane były i resztą swego szkieletu przyciskał biednego Maćka.

Widok był straszny i tak przerażający, że nawet pan Rafałowicz cofnął się, szeptając:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

ROZDZIAŁ XIV

***Jako Maciek, ujrawszy śmierć z kosą, omdlał
i co potem nastąpiło.***

Ale nie było czasu na to, by próżne wyrazy trwogi i zdziwienia wyrażać, należało przedewszystkiem ratować biednego Maćka, który leżał głową na dół, błądy śmiertelnie, z oczami otwartymi szeroko, w których malował się nieopisany wyraz przerażenia, zupełnie nieprzytomny, prawie umarły. Pan Rafałowicz na razie, ujrawszy tak okropny widok, stracił zupełnie świadomość; stał wpatrzony w kościotrupa i cofał się wstecz wolno i żegnał się głośno. Kazik skamieniał i nie śmiał ruszyć ani ręką, ani nogą; jeden tylko Kaeper szybko odzyskał zimną krew i wstępując śmiało na schody, wołał:

— Przecież to nie jest żadna śmierć, jeno szkielet ludzki. Kogoś tu w dawnych czasach wzięli i zapomnieli o nim zapewne i on też umarł, a szczyry pewnikiem i inne plugastwo tak obzarło

ciało, że jeno szkielet został. O! to był więzien jakiś, bo łańcuch ma u nogi. No! Kazik chodźże mi dopomóż, nie bądź baba! Trza wždy Maćka ratować!

Ocknął się na te słowa Kazik, ocknął się i pan Rafałowicz i wszyscy trzej zeszli po schodach. W rzeczy samej na jednej nodze szkieletu były kajdany, od których szedł długi łańcuch, przytwierdzony gdzieś do ściany. Niewątpliwie, jak słusznie twierdził Kacper, był to jakiś nieszczęśliwy więzien, trzymany w tem ponurem podziemiu, może z czasem zapomniany i tak zostawiony śmiertelnemu swemu losowi. Widocznie doczłogał się do drzwi, może w oczekiwaniu jakiejś ludzkiej pomocy i oparty o nie, skonał. Gdy Maciek drzwi te wyważył i padł wraz z niemi na wznak, szkielet wstrząśnięty tem obalił się, stoczył i przykrył sobą biednego czeladnika szewckiego. Ten, na taki widok a może wskutek uderzenia głową o schody, omdlał.

Pan Rafałowicz z dwoma chłopcami zabrał się więc najprzód do usuwania leżącego na Maćku szkieletu. Nie bez wstępu i zabobonnej trwogi dotykali się oni tych szczątków żywego i nieszczęśliwego niegdyś człowieka. Ale z drugiej strony, nie było z tem wielkiego kłopotu. Kościotrup, zmurszały przez długi pobyt w tem wilgotnem podziemiu, padając z wysokości kilku scho-

dów, rozleciał się prawie zupełnie i jedna z rąk, oderwawszy się od kośćca, legła na piersiach Maćka. Czaszka oderwała się i potoczyła gdzieś daleko, krzyż połamał się, tylko nogi krzepko u biodra się trzymały. Zdjęto ostrożnie ową fatalną rękę, podniesiono Maćka oswobodzonego z mniemanych uścisków śmierci, usadzono na schodach i poczęto trzeźwić. Że żył, to nie było wątpliwości. Pan Rafałowicz wsunął mu rękę pod kubrak i wyczuł bicie serca, wprawdzie słabe i nieregularne, ale świadczące, że nie jest to śmierć, ale chwilowe omdlenie z przestrawu.

Ale omdlenie było silne i uparte, zwłaszcza, że nie bardzo było czem trzeźwić Maćka. Napryskano mu się w twarz dosyć wody, nim nakoniec ciężko westchnął, oczy słupem stojące przymknął, potem je znowu otworzył i począł patrzeć obłąkanym, mętnym wzrokiem na obecnych.

— Kto to?—wreszcie zapytał.

— To my... to ja Kazik, twój kamrat, a to pan Rafałowicz, a to Kaeper... ocknijże się do licha!

Maciek nic na to nie odrzekł, jeno znów westchnął żałośliwie, oczy jeszcze raz przymknął, by je zaraz otworzyć.

— Maciek—rzekł pan Rafałowicz—napijesz się wina?

— O, laboga, laboga!—jęknął Maciek.

— To dobrze, skoro gada — szepnął pan Rafałowicz — zaraz mu dam mocnego wina węgierskiego, to się ocknie do reszty.

To powiedziawszy, wydobyl flaszę z winem, odkorkował i poczał lać do gardła Macieka. Ten łykał, łykał, a gdy pan Rafałowicz odjął butlę, mruknął:

— Jeszcze!

— Oho! — rzekł pan Rafałowicz — tybyś, widzę, wszystko połknął — ale dał mu jeszcze pić.

Maciek łykał znowu cheiwie i byłby zapewne całą, co prawda niewielką, flaszkę połknął, gdyby pan Rafałowicz nie odjął mu jej od ust. Maciek westchnął, spojrział żałośliwym wzrokiem na niknącą w kieszeni żupana pana Rafałowicza flaszę, obtarł usta, pogładził się ręką po piersiach, mlasnął językiem i rzekł:

— Przednie!

Roześmieli się na to wszyscy, a Kacper rzekł:

— Skoro jesteś zdrow, to wstawaj. Bodaj cię, a toś nam strachu napędził!

Maciek podniósł się leniwie, pomacał po głowie i rzekł:

— Stukłem sobie łeb szpetnie. Ale co to było?

I nagle przypominając sobie, zawołał:

— Rety! ja śmierć widziałem... śmierć mię dusiła!

— Głupstwa gadasz—ozwał się na to pan Rafałowicz—nie śmierć żadna, jeno zwyczajny szkielec jakiegoś nieszczęśnika, którego tu za dawnych czasów uśmiercili.

— O, laboga, laboga! co mi też jegomość gada, przecie ja na własne oczy śmierć z kosą widziałem. Dziabnęła mię nawet w łeb i dusić zaczęła i jeśliś żyw, to jakieś zmiłowanie Boskie...

Wytlomaczono mu przecież, wyjaśniono cały przebieg tego osobliwego wypadku, pokazano rozrzucone po piwnicy kości szkieletu i jako tako uspokojono, choć trzymał się zdala od tych szczątków, poglądał na nie z ukosa i chował się za innych, a Kazika ciągle się trzymał za potęgę od kubraka.

Pan Rafałowicz, gdy już się cała historia z Maćkiem skończyła, rzekł:

— Skoro tu więzien był zamknięty, to pewnikiem, mociumpanie, wyjścia stąd niema, ale to mi wiele jest dziwne, bo na prospekie Ascolego wyraźnie tędy czerwona idzie linija. Ale obaczmy najprzód tę piwnicę.

Była ona niewielka, cztery kroki wzdłuż, pięć wszereż, półokrągła i silnie sklepiona i w górze miała mały kwadratowy otwór, silnie okratowany, przez który zapewne powietrze się dostawało, które tu było dość świeże. Łańcuch, do którego był przykuty szkielec, osadzony był w murze

i miał dość znaczną długość, tak że biedny męczennik mógł się swobodnie po ciemnicy poruszać. Posadzka była wyłożona wielkimi płytami kamienia, ale przez czas i wilgoć, płyty te od dawna roztańczyły się i pod nogami ugięły się jak klawisze.

Co wszakże najważniejsza, to że wprost drzwi, tak niefortunnie wyłamanych przez Maćka, znajdowały się w przeciwnej ścianie inne drzwi, również żelazne i z pozoru dość mocno wyglądające, niskie, wąskie, oprawione w odrzwia kamienne.

— Otóż jest wyjście z tej piwnicy—rzekł pan Rafałowicz—ale czy dadzą się one tak łatwo jak tamte otworzyć!...

— O, ja już nie chcę, nie chcę ich otwierać — zawołał Maciek — bo tam może jest druga śmierć!

— Kazik, obacz no te drzwi!—rzekł pan Rafałowicz, nie odpowiadając na niemądrą uwagę Maćka.

Kazik zbliżył się z pochodnią, począł owe drzwi opatrywać, aż nagle zawołał:

— Tu jest klucz i jakiś papier.

— Papier!—zdziwił się pan Rafałowicz—a to co ma znaczyć?

— I jest coś na nim napisane.

— A to osobliwsze!—zawołał pan Rafałowicz i żwawo do owych drzwi pobiegł.

W rzeczy samej w ogromnym staroświeckim, pełnym najdziwaczniejszych zakrętów, zamku, tkwił wielki klucz na pół rdzą zjedzony, a u jego ucha na drucie wisiała kartka nie papieru, ale pergaminu. Znać było na niem jakieś pismo, ale to wilgoć w połowie wyżarła, tylko tu i owdzie pojedyncze wyrazy łacińskie można było odróżnić. Na szczęście pergamin na samym dole był zagięty i w tem zagięciu pismo zachowało się dobrze. Była tu data 25 Sierpnia 1651 r. i podpis Silvia Ascolego.

— Tak, to on, mistrz Ascoli, a mój szwagier to pismo tu ostawił—rzekł poważnie pan Rafałowicz—szkoda, że go odczytać niepodobna, ale wszakże mamy tę pewność, że dobrze idziemy. Panie, racz mu dać wieczne odpocznienie a światłość wiekuista niechaj mu świeci.

Przeżegnał się, westchnął i rzekł:

— Sprobój, Kaziku, otworzyć te drzwi.

— Ja już próbuję, ale klucz zardzewiał i strasznie skruszał... nie! nie mogę. Trzeba drąg włożyć w ucho, może się da otworzyć.

Użyto więc drąga żelaznego i przy pomocy Kacpra, bo Maciek tehrzliwie trzymał się zdaleka, a pan Rafałowicz dumał nad pismem Ascolego, zamek nakoniec z piskiem i zgrzytem przeraźliwym ustąpił. Gdy potem same drzwi z takim zgrzytem, przez tysięczne echo powtarzanym,

otworzono, ukazały się najpierw schody kamienne, wiodące w górę, a potem czarny loch.

Pan Rafałowicz, obaczywszy to, rzekł:

— Tak, to było więzienie, umyślnie niżej od korytarza podziemnego umieszczone. Straszne więzienie, bo wyobraźcie sobie, że tego męczennika, którego tu oto kości widzimy, trzymano tu zapewne przez całe życie, aż umarł. Chłopcy, uklęknijmy i pomódlmy się za jego duszę.

Wszyscy za przykładem pana Rafałowicza uklękli, zdjęli czapki (oprócz Maćka, bo ten, utraciwszy swe nakrycie głowy podczas przeprawy przez mur miejski, ciągle szedł z gołą czupryną) i zmówiwszy kilka Zdrowaś Marya, zakończyli tę cichą, serdeczną, w głębi podziemia przed tron Boży wysłaną modlitwę, słowami: „wieczne odpocznienie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista“ i t. d.

— Teraz, chłopcy—rzekł pan Rafałowicz, prostując się po tej modlitwie — nie trzeba by te szczątki ludzkie walały się tutaj po podziemiu i były rozwłócone przez szczury i inne plugastwo. Obowiązkiem chrześcijańskim jest grzebać umarłe, pogrzebmy i tego nieszczęśnika.

— A jak? — spytał Maciek — przecie tu kamienie.

— Trzeba tam, pod murem, oderwać kilka płyt, to łącno pójdzie, bo one i tak się ruszają.

potem wykopiemy w ziemi dół i pochowamy uczciwie te kości. Nie w poświęcanej ziemi będą one spoczywały, ale to już nie nasza wina i nie na to nie poradzimy. Bierzmy się więc do roboty, a Pan Jezus wynagrodzi nas kiedyś za ten dobry uczynek.

Chłopey, nawet Maciek, którego słowa pana Rafałowicza z powagą wygłoszone, rozrzewniły głęboko, tak że wzdychał i nosem głośno pociągał, rzucili się żwawo do odrywania we wskazanym miejscu płyt kamiennych. Łatwo to przyszło, bo płyty ledwie się trzymały i pod nimi ukazała się ziemia miękka i wilgotna, w której bardzo prędko wykopano odpowiedni dół i w nim kości nieszczęśliwego więźnia złożono, nawet nogę, którą z łatwością z obręczy łańcucha wyjęto. Szezałki te przysypano napowrót ziemią, ubito ją jak można było najlepiej i płytami kamiennymi przykryto. Gdy to ukończono, pan Rafałowicz, a za nimi czterej jego kompani, uklękli na tym grobowcu i pacierz za duszę nieboszczyka odmówili.

Powstawszy, pan Rafałowicz rzekł:

— A teraz, Kazik, wyryj ty nad tym biednym grobem na murze krzyż duży. Drogim żelaznym na tych zemszałych ceglach będziesz mógł tego dokonać. Niech kiedyś, jeżeli znów ktoś ze ży-

jących zjawi się w tem podziemiu, wie, że tu pochowano kości człowieka.

Kazik wyrył duży krzyż, a że cegły w murze od wilgoci skruszały, znak ten święty był bardzo głęboki i widoczny swą jaskrawą, czerwoną barwą na tle szarzysty ścian. Pod spodem Kazik już z własnej inwencji wypisał:

A. D. 1656.

Pan Rafałowicz mu to pochwalił, obejrzał się jeszcze raz po tem ponurem więzieniu i rzekł:

— A teraz w drogę, mamy jeszcze przed sobą długą i może niebezpieczniejszą niż dotąd peregrynacya.

ROZDZIAŁ XV

W którym jest nieco o nietoperzach i o zamkniętej, o wszech stron piwnicy.

Przebywszy wązkie i oślizgłe schody, czterej wędrowcy, uścili się dalej wązkim korytarzem. Wilgoć panowała tu jak wszędzie w tym podziemiu, ale powietrze było dość czyste dzięki okienkom, zawsze silnie okratowanym i co pewną przestrzeń regularnie pomieszczonym w sklepieniu. Okienka te co prawda nie wychodziły na świat Boży, gdyż przez nie nie przedzierał się nawet najslabszy blask, ale zapewne komunikowały się z piwnicami, będącymi pod domami. Głucha cisza otaczała idących, i oni też po tylu wzruszeniach, jakie przeszli, milczeli.

Ale niebawem korytarz zaczął się dość nagle stromo piąć w górę, a że grunt był ciągle błotnisty i oślizgły, więc pochód stawał się bardzo ciężki, zwłaszcza dla pana Rafałowicza, tak że w końcu musiał go podtrzymywać Kaeper,

inaczej staruszek byłby nieraz upadł. Przytrafiło się to zresztą Kazikowi, z czego Maciek serdecznie się śmiał i dworować sobie począł ze słusarskich, jak mówił, nóg swego kompaniona.

To podnoszenie się korytarza świadczyło, że wydobyto się nakoniec z pod kamienie i znajdowano się teraz pod Rynkiem Staromiejskim, jak to wskazywała czerwona linia na prospekcje mistrza Ascolego. Przypuszczenie to znalazło potwierdzenie w głuchym turkotcie nad głowami peregrynantów, zapewne od wozów jadących po Rynku.

Tak szli, zawsze w milczeniu z obre cztery pacierze i zauważyli, że znowu korytarz w dół się spuszcza i odgłos turkotu ustął i dała posępna cisza zaległa korytarz.

— Przeszliśmy już ulicę Grodzką—rzekł pan Rafałowicz—i lada chwila dostaniemy się do podziemi pod kościołem OO. Jezuitów. Na prospekcje mego nieboszczyka szwagra narysowany jest w tem miejscu znak krzyża św. co zapewne znaczy, że spotkamy się znów z kościotrupami ludzkiemi, ile że wiem, że pod kościołem Ojców są liczne groby, gdzie nie tylko zakonników, ale też i świeckie a zasłużone Towarzystwu osoby chowają. Mówię to dlatego, moicumpanie, żeby Maciek, obaczywszy zwłoki, znowu się nie przestraszył i nie omdlał, jak nieprzymierzając baba.

— O, laboga, laboga, — zawołał kwaśno Maciek—jaki też to jegomość dokuczny. Ja się nieboszczyków ani krzynkę nie boję, ale tam, to mi się widziało, że to śmierć sama... ano i pewno była to śmierć, jeno uciekła. Ale teraz to ja się wcale nie boję.

— Spodziewam się—odrzekł pan Rafałowicz — boby też to wstyd było, żeby taki chłop bał się nieboszczyków. Ale uważam, że powietrze tu jest okrutnie ciężkie.

Jakoż w rzeczy samej w korytarzu tym, co-raz bardziej się obniżającym, powietrze było nadzwyczaj duszne i zepsute, do czego także przyczyniał się wiele kopeć i dym z pochodni, które z braku przewiewu i tlenu, raczej ćmiły się tylko i dymiły, gorejąc słabym płomieniem. Pan Rafałowicz uważając to, zatrzymał się i rzekł.

— Niema co, trzeba zgasić pochodnie, bo inaczey podusimy się z kretešem. Latarka moja potłukła się, to prawda, ale zawždy w niej świeczkę osadzić można, a że tu niema nijakiego przeciągu, tedy goreć i świecić nam będzie.

Uczyniono tak i ze ściśniętym sercem, dysząc coraz ciężej, ruszono dalej wśród zupełnych prawie ciemności, gdyż świeczka pana Rafałowicza rzucała słaby tylko i migotliwy blask przed nim samym, a idący w tyle nic prawie nie widzieli. Na szczęście korytarz począł się podnosić i nie-

bawem natrafili na schody, których było ośm i te wprowadziły ich do niewielkiej piwniczki, gdzie powietrze było o wiele lepsze, jakkolwiek stęchlizną przesiąknięte.

W piwnicy tej było zupełnie ciemno, tylko wędrowcy z tego sądzili, że znajdują się w jakimś obszerniejszem miejscu, bo już nie obcierali się bokami o ściany i wyciągnawszy obie ręce, znajdowali próżnię. Chcąc więc rozpatrzeć się w położeniu, zwłaszcza, że teraz nie wiedzieli gdzie iść, pan Rafałowicz kazał zapalić pochodnie.

— Pewnikiem—mówił—jesteśmy w lochach pod kościołem OO. Jezuitów, ale należy to obaczyć i spenetrować wszystko jak się patrzy.

Zapalono więc pochodnie i gdy te zajaśniały żywym blaskim, nagle rozległ się gdzieś, wysoko pod sklepieniem głuchy szelest, jakieś ruchliwe cienie poczęły się ukazywać, przelatywać z cichym szmerem i coś nadzwyczaj wstrętne muskało twarze wędrowców, czyniąc lekki wiatr. Zrazu nikt z nich nie mógł zrozumieć, co to takiego i ogarnęła ich zabobonna trwoga, a Maciek kuląc się i chwytając pana Rafałowicza za poję od żupana, krzyczał przerażonym głosem:

— Rety! co to takiego? o, laboga, coś mię liże po gębie!

Dopiero Kacper, podniósłszy do góry pochodnię i oświeciwszy nieco dość wysokie sklepienie, zawołał:

— To nietoperze!

Całe gromady tych wstrętnych stworzeń po-
przyczepiane były do sklepienia i ścian bocznych
piwnicy, a teraz zbudzone nagłym blaskiem, zry-
wały się, krążąc w cichym, jakby sennym locie, czy-
niły wiatr swemi skrzydłami i chwiały płomieniami
pochodni. Oczy-
wiście nie było tu
żadnego niebez-
pieczeństwa, ale
towarzystwo nie-
toperzysprawiało
wstręt niewypo-
wiedziany, a Ma-
ciek wychowa-
ny w przesądach
krzyczał, zakry-
wając gołą głowę
rękami i płachtą,
w której dźwigał
żywność.

— O, laboga,
reta, we włosy
mi się wkręca, czapki nie mam, o laboga, ucie-
kajmy stąd!

— Cichaj, cebulo! — zawołał na to Kacper —
to jest nieprawda, żeby nietoperze we włosy się
wkręcały. Czytałem o tem w pewnej uczonej księ-
dze niemieckiej...



— Ale, nieprawda—odrzekł na to Maciek, nie przestając okrywać starannie swej szczecinowatej czupryny—w księdze niemieckiej czytałeś, jakby Niemcy wszystkie rozумы pojady! Oj reta, reta, jegomościuniu, uciekajmy, bo te szelmy nietoperze, ażeby ich skręciło, ciągle koło mej głowy latają!

— Mają też koło czego—mruknął Kazik — co one tam mogą znaleźć w twej głowie, chyba sieczkę albo trociny, bo mózgu pewnikiem że nie.

— Więc gadasz, co one nie wkręca się?

— A nie!

— Zawszy lepiej, jak stąd uciekniemy. Uciekajmy, mój jegomość!

— Hm! łatwo to powiedzieć uciekajmy—odrzekł pan Rafałowicz — ale gdzie? skoro ja nie widzę stąd żadnego wyjścia.

Już od niejakiego czasu pan Rafałowicz rozglądał się bacznie po piwnicy i nigdzie nie mógł dostrzedz żadnego z niej wyjścia. Ściany były wszędzie czarne, wilgotne, pokryte rojącami się niespokojnie nietoperzami.

— Ot—rzekł pan Rafałowicz tonem posepnym— przepłynął całe morze, a przy brzegu utonął. Widocznie niema tu wyjścia i co my w takim razie uczynimy?

— A cóż mówi prospekt mistrza Ascolego?— zapytał Kaeper.

— Bał kiedy tędy chodził Ascoli mogło być wyjście, ale widno później je zamurowano. O! nawet widać tam świeże cegły czerwone i wapno. Tu było połączenie z grobami pod kościołem, ale je zamurowano. Wpadliśmy w straszną pułapkę...

Wszyscy milczeli ponuro, bo istotnie położenie było rozpaczliwe. O powrocie nie można było myśleć z powodu, że tam za nimi zapadło się sklepienie i zapewne zawaliło przejście. Każdy stał niemy, z wewnętrzną głuchą trwogą w duszy, stał i Maciek i na chwilę zapominając o nietoperzach, także rozmyślał, wreszcie nagle zawołał:

— O, laboga, laboga, co też jegomość gada. Skoro tu są nietoperze, żeby ich skreśliło! to musi być jakaś dziura, którą się tu dostają i wydostają.

— Zapewne—rzekł na to pan Rafałowicz melancholijnie—musi być taka dziura, dobra dla nietoperzy, ale nie dla nas. Tam, któredy one się wydostają, my się przecie nie wydostaniemy.

— Wszelako należy dobrze opatrzeć ściany—odezwał się Kacper.

— A opatrz, bo ja już nóg nie czuję!—odpowiedział pan Rafałowicz i usiadłszy na ziemi, ukrył twarz w dłoniach i szeptał coś cicho, zapewne modlitwę.

A nietoperze nie przestawały latać z lekkim, ledwie dosłyszonym szmerem, muskać twarze wędrowców i dreszczem ich przejmować. Prócz tego

szmeru sennego, prócz szeptu pana Rafałowicza, nie więcej nie było słyhać w tej piwnicy. Z zewnątrz nie dochodził żaden odgłos i panowało tu ponure, przygnębiające milczenie.

A Kacper tymczasem z pochodnią w jednej ręce, a młotkiem w drugiej obchodził dokoła mury piwnicy, bacznie je oglądał, stukał młotkiem, wreszcie przyszedłszy do miejsca, gdzie świeże, czerwone i zdrowe cegły, oraz wapno białe świadczyło o niedawnem zamurowaniu jakiegoś poprzedniego wyjścia, nagle zawołał:

— Jest!

— Co jest?

— Dziura!

— Duża?

— Nie, nie duża, ale zawsze dziura.

Wszyscy, nawet pan Rafałowicz, zerwawszy się na równe nogi, rzucili się ku miejscu, przy którym stał Kacper i poczęli oglądać ową dziurę. Właściwie nie była to dziura, ale regularny, podłużny, wązki otwór, zostawiony widać umyślnie w świeżo zamurowanej ścianie. Dawniej wyjście stąd było dość znaczne, bo poznać to można było po dawnym czarnym murze, odbijającym wyraźnie od świeżej roboty, tworzącym silną arkadę, o szerokiem i wygodnem polu. Dla czego tę komunikację zamurowano, trudno było odgadnąć, dość że to zrobiono i zostawiono tylko wązkie, długie

może na łokieć, a na kilka cali szerokie okienko, z którego wiało chłodne, stęchłe, piwniczne powietrze.

— Tak!—rzekł Maciek—dziura jest, ale nikt przez nią nie przejdzie.

— Hm!—zauważył Kacper—ty jesteś cienki jak tyczka, możebyś się przecisnął. Spróbuj!

— I na coby się to zdało?—rzekł pan Rafałowicz—choćby nawet Maciek się przecisnął, to ani ja ani wy tędy nie przejdziemy. Rozumiem jednak, że ten mur, jako świeży i na liche wapno brany, bo się kruszy w palcach jak piasek, nie musi być mocny. Spróbujmy go wyłamać. Nie lepszego nie mamy do czynienia i jest to jedyny nasz ratunek. Dalej, bierzmy się do drągów i młotów a zaczynamy od tego okienka.

Zachęceni tem trzej młodzieńcy żwawo rzucili się do rozbijania, czem kto mógł, świeżego muru. Huk stąd powstały zbudził i wystraszył resztę drzemiących nietoperzy, które w szalonym wirującym ruchu, poczęły latać po całej piwnicy, uderzać się o czterech wędrowców, napełniając sennym szmerem ciszę podziemia i dreszczem przejmując Kazika i Maćka. Jak mogli jednak tak się krzepili i gorliwie pracowali koło wyłamywania muru. Zrazu szło to dość opornie i mur okazał się mocniejszym, niż pan Rafałowicz sądził, ale powoli pod silnymi ciosami wypadła jedna

cegła za drugą i otwór się zwiększał z każdą chwilą. Cegły po większej części staczały się w sąsiedni loch, do którego ów otwór prowadził i uderzały o coś twardego i pustego, bo głucho dudnienie się rozlegało, które wtedy dopiero ustało, gdy coś z trzaskiem się zapadło. Coby to było, domyśleć się trudno i zresztą nie myślano o tem bardzo. Wszystkim szło bowiem o to jedynie, by jak najprędzej mur wyłamać i wydostać się z tej piwnicy z nietoperzami, która mogła stać się grobem czterech peregrynantów.

Nakoniec, po godzinie dość ciężkiej pracy wyłamano otwór tak szeroki, że można było przez niego wygodnie przejść. Kacper wychylił się przezeń z pochodnią, ale zaraz się cofnął, wstrząsł się i mruknął:

— Brrr!...

ROZDZIAŁ XVI

W którym Maciek wśród szkieletów i trumien ujrzał czarnego dyabła.

Na wykrzyknik obrzydzenia i wstrętu, wydany przez Kacpra, wszyscy z ciekawością wyjrżeli przez wybity otwór do sąsiedniej piwnicy. I w rzeczy samej, to co tam ujrżeli, grozą ich przejęło. Cały, dość obszerny loch, do którego przez okienko zakratowane z góry wpadało nieco światła dziennego, przepełniony był trumnami i zwłokami ludzkimi. Wiała stąd woń grobowa, stęchlizna i zaduch rozkładających się ciał, i wogóle widowisko było ponure i wstrętne.

Trumien było mnóstwo. Zajmowały one nie tylko całą posadzkę piwnicy, ale stały warstwami jedna na drugiej pod ścianami. Były one rozmaite; proste drewniane, czarno malowane z krzyżami z gwoździ na wiekach, bez żadnych napisów, były obite kosztownymi materjami, aksamitem ponsowym lub granatowym, pełne złoci-

stych frendzli, z blachami, na których czerniały napisy. Ale na wszystkim tem leżała biała pleśń, grube warstwy pyłu jakiegoś szarego, plamy brudne nieokreślonej barwy. Wiele z nich, zwłaszcza te, co na samym spodzie stały, pod naciskiem warstw zwierzchnich, pozapadało się i popękało i z pomiędzy szmat aksamitu i frendzli, tu wyglądała noga jakiegoś nieboszczyka, w żółty but niegdyś, dziś na pół zbutwiały przybrana, tam znowu noga nieboszczki w strojny atlasowy trzewiczek obuta, który jakimś cudem wśród tej zgnilizny powszechnej zachował się cały i świeży, jakby wczoraj dopiero wyszedł z rąk szewca. Owdzie sterczały ręce, piszczele, kości białe; tu na posadzkę potoczyła się naga czaszka i czarnymi dołami, w których niegdyś oczy były, zdawała się patrzeć na tych, co przyszli jej spokój zakłócać. Tam znowu inna zachowała długie, jasne, niewieście włosy i leżąc na nich, jak na złocistej brokateli, śmiała się szyderezo szeregiem białych zębów. Wszędzie pełno było kości, nóg, rąk, czaszek i straszna ruina, straszne szczątki ludzkie.

Ale najokropniejszy był widok tuż pod otworem, wybitym przez czterech podziemnych wędrowców. Cegła i wapno spadające do tego grobowca, potrzaskało trumnę jakąś i widać było całe zwłoki jakiejś dostojnej damy, ubranej bogato

w złocistą rogówkę, czepiec wspaniały, z pod którego koronek wychylała swą ohydną czaszkę trupią. Cegły, spadając, ugrzęzły w miękkim cieple, połamały bogatą brokatełę i ukazywały szare piszczele nóg, w zbutwiałe, niegdyś atlasowe białe obute trzewiczki. A do tego ponurego i wstrząsającego widoku, który już sam przez się dreszczem przejmował, zwiększały grozę nietoperze, które także pod wpływem światła pochodni pozrywały się w tej piwnicy i swym cichym lotem, muskającym twarze czterech peregrynantów, zdawały się przypominać widma śmierci, której to miejsce było niezaprzeczoną dziedziną.

Pan Rafałowicz, Kazik i Kaeper, obrzuciwszy wzrokiem ów ponury grobowiec, cofnęli głowy, ale Maciek ciągle patrzył i gadał:

— Pi! pi! pi! jakie haniebnie piękne trzewiczki i ciżmy sztukwarkowej roboty. O, laboga, laboga! i to się tak tutaj marnuje, dyć ja za takie ciżmy dziesięć złotych bym dostał. Oj ludzie, ludzie, jak wy za nie macie pracę szewcką!

— Cichaj tam, cebulo!—zawołał Kazik.

Maciek ucichł, powstał i obracając się, zobaczył, że wszyscy trzej jego kompanioni stoją w kupie i patrzą na prospekt mistrza Ascolego i radzą.

— Tu—mówił pan Rafałowicz—Ascoli narysował krzyż, jakoż n atrafilimy na trumny, co oczy-

wiecie dowodzi, że dobrze idziemy. Ale zważcie, że teraz czerwona linia na prospekcie w różne zyg-zaki się kręci i takich krzyżów jest jeszcze kilka. Lękam się pobłądzić i godziź się to po trumnach i grobach stapać!...

— A cóż zrobimy?—spytał Kaeper.

— I to prawda. Trzeba dokonać tego, cośmy zamierzyli. Sprawa jest ważna i Bóg nam wybaczy, że naruszymy pokój zmarłych. A więc ruszajmy. Kto pierwszy wejdzie do tego grobu?

— Ja!—zawołał Maciek—bo mi się te ciżmy haniebnie podobają.

— Ani mi się waź ich dotykać!—zawołał surowo pan Rafałowicz—jeszcze czego!

— Oj! sprawiłbym ci ja basy!—mruknął Kazik.

— Nie gadaj!—uśmiechnął się Maciek—a skoro tak, to nie nie ruszę. No... idę!

I nie wiele myśląc, przesunął się przez otwór, przeskoczył a raczej przekroczył swemi długimi nogami trumny i stanął na środku lochu, rozglądając się ciekawie dokoła. Za nim poszli i inni i znalazłszy w głębi schody, prowadzące do innego podziemia, szybko to ponure miejsce opuścili. Następna piwnica była pusta, ale na niebezpieczeńście miała trzy wyjścia, tak że nie wiedziano, w którą stronę się obrócić, co wprawilo pana Rafałowicza w wielki kłopot, bo łąco było teraz pobłądzić. Prospekt mistrza Ascolego nie wiele

tu mógł pomódz, radził go się jednak pan Rafałowicz, patrzył na busolę i mimo to wahał się, którydy się puścić. Ale Kaeper, który znowu począł dokoła obchodzić piwnicę, bacznie opatrując jej ściany, stanąwszy przy jednym otworze, zawołał:

— Jegomość! tędy trzeba iść.

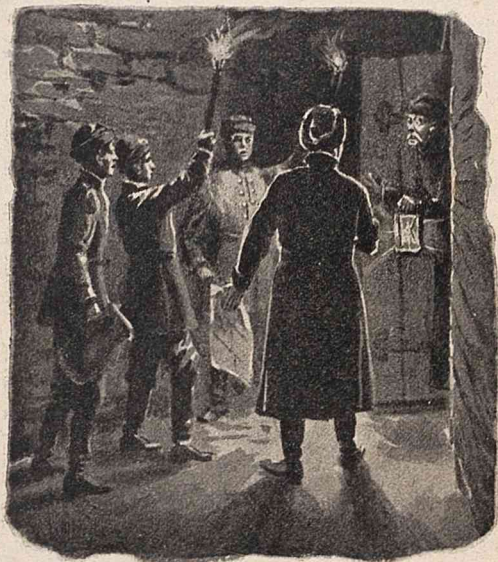
— A dla czego?

— Dla tego, że tu jest na ścianie wyrzezana strzała i napis: „Ascoli A. D. 1651.“

— Bogu niech będą dzięki—zawołał pan Rafałowicz, odetchnąwszy głęboko — niech temu mistrzowi Ascolemu światłość wiekuista świeci za jego przezorność. Prawda, jest napis, a więc nie tracąc czasu, chodźmy.

Weszli w dość długi korytarz, który po bokach miał liczne piwnice, ale że sam szedł prosto i linia na prospekcje w tem miejscu była prosta, więc szli nim, nie zbacząc wcale i nie zaglądając do owych piwnic zwłaszcza, iż większość ich miała drzwi pozamykane na kłódki. Gdy tak szli, nagle jedno z tych drzwi z trzaskiem się rozwarły i ukazał się w nich jakiś człowiek, ubrany w długą szatę czarną, z pękiem kluczy u pasa i latarką w ręku. Zobaczywszy czterech podróżnych z gorejącymi pochodniami w rękach, na pół oblanych ich czerwonym, migotliwym światłem, na pół ukrytych w cieniu i zapewne w tych

półblaskach i półcieniach wyglądających bardzo dziwnie, strasznie krzyknął głosem przerażonym:



— Wszelki duch Pana Boga chwali! Nieboszczyki z grobów wstali.

To rzekłszy, zakręcił się na miejscu, wpadł z powrotem do piwnicy, zatrzasnął za sobą drzwi

i słyhać było, jak biegł szybko po schodach jakichś, krzycząc w niebogłosy.

— Reta! reta! ratujcie ludzi!

Wszystko to stało się tak prędko, że nim czterej wędrowcy mogli się opamiętać, przyjść do siebie i zdać sobie sprawę z tego nagłego i niespodziewanego zjawiska, głos i kroki uciekającego uciechły, słyhać było gwałtowne trzaskanie drzwiami, wreszcie zapanowało głębokie milczenie.

— Przeląkł się nas — rzekł, śmiejąc się pan Rafałowicz — pewnikiem to był jaki stróż tych grobów.

— O, laboga, laboga — odezwał się Maciek — co też jegomość mówi, stróż!... gdzie tam stróż, to był dyabeł.

— A to czemu?

— Oto był calusieńki czarny i krzyczał po dyabelsku.

— Pleciesz niedorzeczności i lepiejbyś, moicumpanie, milczał.

— Ale, milczał! On nie ze strachu uciekł, jeno z trwogi...

— Masło maślane! — zaśmiał się Kacper.

— A nie... bo z trwogi przed nami, bo my wierne chrześcijany i też katoliki.

— Cichaj, cebulo! — zawołał Kazik.

— W każdym razie — mówił dalej pan Rafałowicz — dobrze się stało, że się przestraszył

i wziął nas za nieboszczyków. Bo gdyby było inaczej, cała nasza wyprawa na nieby się nie zdała. Ale nie mamy tu czego czekać. Uciekajmy stąd, bo kto wie, czy ów stróż, narobiwszy krzyku tam na górze, nie sprowadzi do tych podziemi jakich wcale nie pożądaných gości.

— Niby dyabłów?—spytał Maciek.

— Cichaj, cebulo, mówię ci po dobroci — zawołał Kazik, dając Maćkowi szturchańca w bok.

— Nie bij!—mruknął Maciek.

Umilkł, ale zaraz potem mówił:

— O, laboga, laboga, jacy też to sprzeczni są ludzie. Człek chce się dowiedzieć przecie o to i o owo, a tu zaraz: „cichaj cebulo“ i kuks mię w żołądek. Com ci winien, że mię ciągiem pierzesz?

— Nie pioreę cie, jeno ci suję daję.

— A bez co?

— Bez to, coś głupi. I ty nie odzywaj się, jeno milez i słuchaj, kiedy starsi mądrzejsi od ciebie rozmawiają.

— Nie gadaj!

— A tak... a teraz bądź cicho!

Maciek umilkł i szedł już teraz, nie się nie odzywając, pociągając tylko od czasu do czasu nosem i wdychając melancholijnie.

Przechodzili jeszcze kilka piwnic także pełnych trumien i kościotrupów, a gdy była jaka

wątpliwość, w którą stronę się obrócić, zawsze znajdowali na murze strzały, widocznie prze-zorną ręką Ascolego w tym labiryncie piwnic i lochów wyrzeżane. Wreszcie dostali się do niedługiego ale wązkiego korytarzyka, który doprowadził ich do szerokiego podziemia, także pełnego trumien i szczątków ludzkich. Pan Rafałowicz, zatrzymawszy się tutaj, znów począł się radzić prospektu mistrza Ascolego i busoli i namyśliwszy się, a rozglądawszy dokoła, rzekł:

— Pewnikiem teraz znajdujemy się w podziemiach kościoła św. Jana. Mam nadzieję, mocium-panie, że niedługo będziemy pod zamkiem i że najgorsze już przebyliśmy.

— O, laboga, laboga — zajęczał Maciek — czas byłby też wielki, bo mi się tak jeść chce, żem wysechł jako te nieboszczyki. I taki jestem lekucienki, że gdyby mnie kto palcem tknął, zaraz bym się przewrócił, a taki pusty, że gdyby mi Kazik kuksa dał, toby mi w żywocie dziurę zrobił jako w bębnie...

Kazik nieomieszkał zaraz w bok szturgnąć Maćka, na co ten zwykle swoje:

— Nie bij! — odmruczał.

— A cóż, zrobiłem ci dziurę?

— Ano nie... boś w zióbra tknął... — ale czego ty mię bijesz, com ci winien?

— Cichaj, cebulo!

Ale przepowiednia pana Rafałowicza, że już najgorsze przebyli, nie sprawdziła się. Ciężka była jeszcze przeprawa przez piwnice z trumnami, wśród nadzwyczaj zepsutego powietrza, wdrapywanie się na liczne oślizgłe schody, znowu spuszczenie się z nich. Przebyli to wszystko w ponurem milczeniu, bo te ciągle trumny, kości ludzkie, szczątki walające się po podziemiach, bardzo przygnębiająco na nich oddziaływały. Przytem zimno panujące w tych lochach, wilgoć szkaradna przejęła ich do kości i przy podrażnieniu nerwowem sprawiła, że wszyscy trzęśli się z febry, a Maciek głośno zębami klapał i prosił pana Rafałowicza, by mu „dla rozgrzewki dał kapeńkę tego przedniego wina“ które już raz pił, gdy omłdzał ze strachu wśród uścisków, jak utrzymywał, śmierci, ale pan Rafałowicz odmówił:

— Jest już wina nie wiele, a nie wiemy, co którego z nas może spotkać.

Maciek jęczał i gadał coś o nieużytych ludziach, co jednak pana Rafałowicza nie wzruszało wcale. Tak przeszli owe grobowe podziemia i w końcu znaleźli się w wązkim, ale suchym i dobrze przewietrzanym korytarzu.

ROZDZIAŁ XVII

W którym nowa osoba, pan Żórawski, jest przekonany, że dyabeł przybrał na się postawę pana Rafałowicza.

— No, mociumpanie—rzekł pan Rafałowicz, gdy ze swymi trzema kompanionami znalazł się nakoniec po ciężkiej przeprawie przez groby i trumny w suchym, czystym, dobrze przewietrzanym korytarzu,—no, widzi mi się, że nasza peregrynacja ma się ku końcowi. Korytarz ten pewnikiem już jest pod Zamkiem i strach jeno, byśmy tu jakiego Szweda nie zdybali.

— O, laboga, laboga, wielga mi rzecz Szwed—ozwał się na to Maciek—zaraz hycła naszpikuję na ten oto zamorski rożen, co mi go Kacper zabrał.

— Nie plóttbyś głupstw — rzecze poważnie pan Rafałowicz—wiemy już dobrze, jaki z ciebie rycearz. A przytem nie należy tu głośno gadać, bo oto w loszku widzę okna, które ani chybi

prowadzą na dziedziniec zamkowy. Na dziedzińcu tym, wiem ja dobrze, bo niedawniej jak dwie niedziele temu byłem w Zamku, kręci się mnóstwo żołdaków i mógłby który usłyszeć gruby twój głos, Maćku, więc nie nie gadaj.

— O, rety, rety, jaki też to jegomość sprzeciwny. Nie gadać, to nie będę gadał. Ja ta do gadania nie jestem skory, jeno...

Przerwało mu uderzenie w bok, wymierzone przez Kazika:

— Cichaj, gamoniu! Jegomość zakazał gadania, więc stul gębę!

— Nie bij! com ci winien?

— A przytem—ciągnął dalej pan Rafałowicz— należy teraz gwoli wszelakiego bezpieczeństwa zachować wielkie ostrożności. Z tego lochu wszędzie prowadzą okna na dziedzińce zamkowe i jest tu widno. Trzeba tedy pogasić pochodnie, bo najprzód zgoła one nie są nam już potrzebne, a potem mógłby kto światło obaczyć lub dym smolny poczuć. Gaście tedy chłopy!

Zasyczały pochodnie wsadzone w piaszczysty i wilgotny grunt i wędrowców otoczyła zrazu ciemność, ale gdy wzrok przyzwyczaili do tych półmroków, doskonale widzieli wszystko, zwłaszcza, że dość gęsto umieszczone tuż pod sklepieniem, silnie okratowane okienka przepuszczały nieco blade, ale dostateczne światło.

Szli więc teraz w zupełnem milczeniu, gdy nagle pan Rafałowicz, zawsze przodem postępujący, potknął się o jakiś przedmiot na ziemi leżący. Z początku nie można było rozeznaczyć, coby to takiego było; niby to człowiek leżał, otulony w coś białego, niby nie człowiek.

— Ki lichol!—mruzczał pan Rafałowicz, nachyliwszy się i pilnie przyglądając się owemu czemuś.

Maciek tymczasem już się przestraszył, skoczył za Kacpra i schwycił go się z tyłu, zasłaniając się nim jak tarczą.

— O, laboga, laboga—szeptał—może to znowu śmierć!

Ale nikt nie zważał na jego teńhorzostwo i jęki, bo wszyscy zajęci byli znalezionym przedmiotem. Gdy go podniesiono i rozwinięto, okazało się, że to jest szeroka i długa biała oponcza, jaką nosili rajtarzy gwardyi Króla Jana Kazimierza. Skąd ona się tu wzięła, trudno było odgadnąć; widocznie jakiś rajtar, może wsadzony za jakie przewinięcie do lochu, zgubił ją i zapomniał o niej. Oponcza była cała, dobra jeszcze i dość czysta; tedy Maciek, przekonawszy się naocznie, że pod nią nie ukrywa się żadna śmierć czyhająca na jego drogocenne życie, chwycił ją, starannie obejrzał i rzekł:

— Ja ją będę niósł.

Nikt się o to nie sprzeczał, bo nikomu nie chciało się dźwigać dość ciężkiej oponczy, ile że wszyscy byli obładowani, zmęczeni, głodni i wyczerpani tą, tak długo trwającą i pełną tyłu przygód, peregrynacją podziemną. Maciek więc okrył się oponczą, ciągle ją oglądał i mruczał:

— Galanta oponcza, ani słowa!

Przechodzono rozmaite piwnice, mijano boczne korytarze, przeczem pan Rafałowicz radził się ciągle prospektu mistrza Ascolego i patrzył nieustannie na busolę. Wreszcie kręcąc się tak, nagle znaleźli przed sobą drogę zamkniętą. Korytarz kończył się ścianą drewnianą, ułożoną z grubych desek, w mur wpuszczonych. Pan Rafałowicz, idący jak zwykle na przedzie, gdy obaczył tę ścianę, nagle odwrócił się do swoich kompanionów, zrobił znak ręką, by stanęli i przyłożywszy palec do ust, nakazał im milczenie.

Wszyscy na ten znak stanęli i wstrzymując dech w sobie, wyciągnęli szyje jak żórawie, żeby zobaczyć co to się takiego stało i na wielkie swoje zdziwienie spostrzegli, że przez szpary źle spojonych desek przegląda światło. Pan Rafałowicz tymczasem na palcach, zachowując jak największą cichość i ostrożność, posunął się do desek i przez owe szpary zaglądać zaczął do wnętrza, gdzie owe światło błyszczało. Patrzył dość długo, nakoniec głosem podniesionym zawołał:

— Mości panie Żórawski, a co waćpan tu robisz?
Za ścianą coś zaszeleściało, światło nagle zgasło i po chwilowem milczeniu ozwał się jakiś głos ponury, jakby z grobu się odzywający:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja go chwale!—ozwał się pan Rafałowicz.

— A kto mnie woła?—spytał znów głos.

— Żali nie poznajesz mię waćpan? Rafałowicz... Mikołaj Rafałowicz.

— Byćże to może, a coż waćpan tu robisz? jakieś się dostał? czego chcesz?

— Długoby o tem gadać i przez ścianę źle. Nie możesz li waćpan nas tam wpuścić do siebie?

— A jakże cię wpuszcze, skoro ja jestem więzien, skuty łańcuchami.

— Więzien? a któż waćpana uwięził?

— A któżby? wiadomo kto!

Zapanowało chwilowe milczenie, podczas którego Maciek mruczał:

— O, laboga, laboga, skuli go niecnoty łańcuchami!

A pan Rafałowicz pytał dalej:

— Czemużeś waćpan zgasił światło, możebyśmy co waćpanu pomogli.

— Żali nie jesteś sam?

— Nie, mam tu ze sobą trzech tęgich zuchów.

— Hm! nie wolno mi z waćpanem gadać... mam to srodze zabronione... wszelako skądś się

tu wziął i zali jesteś naprawdę Rafałowicz... Mikołaj Rafałowicz, ten co to u cyrulika Sebastjana na komornem mieszka?

— Ten sam.

— Skądęś się tu wziął? i czemu to z zuchami chadzasz?

— Wszystko to waćpanu powiem, jeno się do ciebie dostanę.

— A niech cię Bóg broni! jeszcze czego? gardłobym stracił; a ja jestem wierny sługa Najjaśniejszego Króla Karola Gustawa, a od ciebie pachnie jakoś zdradą. Kat wie, czyś ty Rafałowicz, może tylko jakie spektrum, które przybrało na się posturę pana Rafałowicza, bo i to bywa na świecie, a po tych lochach to mary ciągiem chadzają.

Pan Rafałowicz odwrócił się do stojących wciąż w milezeniu chłopców i rzekł:

— Zgłupiał człowiek z kretešem. To jest jespian Żórawski, burgrabia zamkowy i widno Szweddy go za coś do karceresu osadzili i w łańcuszki zakuli. W tem nieszczęściu stary zgłupiał i stchórzył. Zapalcie no pochodnie, niech nam się przypatrzy, to się przekonają, że my nie żadne, mociumpanie, spektra, ale katolicy o krwi i kościach.

Zapalono więc pochodnie i pan Rafałowicz znowu chciał się zbliżyć do szpary w deskach, gdy Żórawski głosem grobowym zapytał:

— Maro, czy znikłaś? Jeżeli nie, to w Imię Boże klnę cię, giń, przepadnij!

— Panie Żórawski—ozwie się na to Rafałowicz—spójrz no jegomość, czy my jesteśmy mary, czy ludzie?

Zabrzęczały łańcuchy, zazgrzytały ponuro, dał się słyszeć szept:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen.

Więziń widocznie zbliżył się do szpary w deskach, bo po chwili rzekł:

— Juścić prawda, że mi acpan wyglądasz na mego kuma, jespana Mikołaja Rafałowicza, co na komornem w kamienicy cyrulika Sebastyana siedzi. Zali jednak mogę znowu zmysłom wierzyć? żali nie jest to djabelskie, tfu! (tu splunął głośno) ommienie? Po tych lochach dyabli harce codzień wyprawiają. Bo skądś się ty tu wziął, jeżeli jesteś nie marą ale człowiekiem?

— Przyszedłem lochami.

— Lochami? hm! hm! może to być, bo mnie budowniczy nieboszczyka króla Władysława, Włoch... a prawda! jeżeliś ty jest naprawdę Rafałowicz, to powiedz, jak się ten Włoch zwał?

— Sylwio Ascoli i był moim szwagrem. I on to mi dał wiadomość, jakimi lochami można się dostać tutaj pod zamek.

— Tak, to prawda, on mi to gadał, ale ja tam Włochom i innym też Angielczykom zgoła

nie wierzę. To wszystko paliwody i olejkarze. Ale widno, że to prawda, skoroś ty tu przyszedł. Tak! tak! postura jespana Rafałowicza, ale kat tam wie, czy to nie omamienie.

— Bój się Boga, panie Żórawski, cóż to może być za omamienie? Siedzisz w karceresie i my cię uwolnimy, jeno powiedz, jak się do ciebie dostać.

— Do mnie się dostać? a po co? Najjaśniejszy król Karol Gustaw i jego wódz niezwyćżony graf Wittenberg wiedzieli, za co mnie w łańcuszki zakuli. Musi być, że ja coś zbroiłem, ale co? dalipan nie wiem...

Zabrzęczały znów i zazgrzytały przeraźliwie łańcuchy, powłózione po kamiennej posadzce lochu, co dowodziło, iż więzien od szpary odszedł, i gdy uciekł ów brzęk żelaztwa, dał się słyszeć głos:

— Pyta mi się, jak się tu dostać do mnie? Żali mary potrzebują się dostawać gdzie? One wszędzie przenikają, jako nie z ciała, jeno z samych subtelności i mgieł złożone. A coś ty, jespanie, co masz posturę pana Rafałowicza, za mąż i za człowiek? Żali dzielny mąż nie łamie sam przeszkód? hm! hm!...

Pan Rafałowicz ruszył ramionami, odszedł od szpary i szepnął:

— Niema z nim co robić! widocznie jest *mente captus*. Słyszałem ja coś, że go Witten-

berg zakął w łańcuszki, ot i co zrobili z mądrego czleka.

— Hm, proszę jegomości — ozwał się na to Kacper—on mi się nie wydaje taki głupi. Wszak sam powiedział, że dzielny mąż sam łamie przeskody. To znaczy, że niema nie przeciw temu, żebyśmy się do niego dostali, jeno bez jego pomocy. On się boi i tchórzem jest podszyty.

— To pewna. Męczyły go widno te Szwedy i zamęczyły. Niema innej rady, tylko trzeba wyłamać te deski, bo i wyjścia stąd innego niema. Ale zastanówmy się, jak to uczynić, boć wielkiego hałasu nie można robić.

— O, laboga, laboga!—jęknął nagle Maciek—moja matuś, matuś moja, także siedzi w tym karceresie? O, rety, rety!

— A kto tam tak płacze za matką? — spytał nagle Żorawski.

— Uwięzili tu w Zamku starą kramarkę Maciejową, co miała budę podle ratusza.

— A wiem, wiem... mówił mi o tem Frytjof... takie psie imiona mają te Szwedy... ale ja jestem wierny sługa najjaśniej...

— Jegomość! jegomość!—przerwał nagle Maciek, rzucając się ku deskom — to jegomość wie o mojej matusi?

— O Maciejowej, kramarce?

— Tak.

— Wiem. Ona siedzi w łańcuszkach niedaleko i mają podobno brać ją jutro na męki. Ale ja jestem wierny sługa...

— Na męki?—wrzasnął strasznym głosem Maciek, podnosząc pięście i potrząsając swą rozczochraną czupryną—na męki! nie dam! nie dam!

To rzekłszy, oparł się plecami o deski, nogi zarył w ziemię, na czoło i kark wystąpiły mu pęgi od nateżenia tak silnego, że deski zatrzęszczały i cała owa drewniana ściana zachwiała się. Kacper i Kazik widząc to, co żywo skoczyli mu na pomoc i niebawem ściana ze strasznym hukiem runęła, a z nią wszyscy trzech chłopcy.

ROZDZIAŁ XVIII

W którym Maciek jeszcze jednego Szweda wyprawia na tamten świat.

Trzask łamiących się desek, przeraźliwe krzyki Maćka i innych, zgaszona w upadku latarka, głośno wypowiedane przerażenie pana Żórawskiego i potrząsanie przezeń łańcuchami, wytworzyły w tem ciasnem podziemiu taki zamęt, że pan Rafałowicz, który stał z boku i patrzył na to wszystko, nie mógł się zrazu opamiętać i nie wiedział gdzie się obrócić, co robić i komu nieść pomoc.

Ale najprzód z tego stosu desek, nóg i głów ludzkich wydobył się Kaeper, powstał, otrząsł się i mruknął:

— A niech cię wciurności!

Potem zerwał się Kazik, obmacał się, poprawił czuprynę i rozglądając się za czapka, która gdzieś się zawieruszyła, rzekł:

— No! niechno mi się moja czapka nie znajdzie, nadrę ją Iba Maćkowi!

Nakoniec gramoląc się ciężko, stękając i jęcząc, wychyliła się rozczochrana głowa Maćka, z okrutnym siniakiem na czole, potem ręce, wreszcie cały korpus. Wstał, obmacał się po ciele, jak gdyby się chciał przekonać, czy mu się jaki kawałek gdzie nie zapodział i jęknął:

— O, laboga, laboga, a tom się zmachał. Reta, myślałem co już żyw nie jestem.

— Gdzie moja czapka?—spytał nagle Kazik.

— A nie wiem!

— Nie wiesz, gamoniu zatracony? masz!

I potężnego kulaka wymierzył w bok Maćka.

— Nie bij! com ei winien?

Ale w tejsze chwili rozległ się głos pana Żórawskiego:

— Bodajże was zabilo! a toście narobili gali-matyasu. Co teraz będzie, jak przyjdzie Frytjof?... psie imioniska mają te Szwedy, ale ja jestem wierny sługa Króla Imci Karola Gustawa...

— Panie Żórawski—zawołał pan Rafałowicz, przebierając się z ciężkością przez stos desek — poznajeszże mię teraz? Żali duch jestem, czy też twój kum, Mikołaj Rafałowicz?

Pan Żórawski chudy, szczupły, zawiędły, z wielką szpakowatą brodą, w wyszarzanym kubraku rzemieniem przepasanym, z włosami długimi i rozwichrzonemi, spojrział podejrzliwie na pana Rafałowicza i rzekł:

— Jużcić postawę masz Rafałowicza, ale kat cię tam wie! tu w tych lochach różne przebywają licha. Może i ty jesteś takie licho, które przybrało na się figurę rajcy warszawskiego.

— No, co to o tem gadać! My tu zaraz uwolnimy cię z tych łańcuchów. Hej, Kazik, weźno się do tego!

— Uwolnicie mnie? — zawołał pan Żórawski, a w oczach jego zajaśniał błysk radości, ale zaraz zgasł i głosem smutnym rzekł:

— Omamienie to, nie... jeno omamienie!

— Ale żadne omamienie, powiadam waćpanu— zapewniał pan Rafałowicz—zaraz się przekonasz, że to prawda.

I w rzeczy samej Kazik zabrał się do oglądania łańcuchów, i wydobywszy z kieszeni cienką piłkę, począł nią piłować kajdany. A pan Żórawski nie opierał się temu wcale, tylko gadał:

— Co powie na to Frytjof!

— Pal go kat, co nas tam jakiś Frytjof obchodzi! Boimy się jeno, żeby nas ten waćpana Frytjof nie zeszedł na tej robocie.

— O, to nie. On dopiero wieczorem zajdzie.

Kajdany tymczasem pod zręczną i wprawną dłoń Kazika piszczały, przeraźliwie i piłka coraz głębiej się w nie zanurzała, a Żórawski, patrząc na to, prawil:

— Biorę waszmościów na świadków, że ja się tych łańcuszków nie tknąłem, bo ja jestem wierny sługa Najjaśniejszego Karola Gustawa.

Poczem przypatrując się robocie Kazika, dodał:

— Ale toś ty, smyku jakiś, widzę bardzo zręczny jesteś. Tybyś może i te drzwi żelazne, co tam oto są, także otworzył?

— Pewnikiem, że otworzę! — odpowiedział Kazik.

— Toś ty chwata!

— A gdzie to te drzwi prowadzą? — spytał pan Rafałowicz.

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła — odrzekł na to pan Żórawski—i ja nie powiem, bom jest wierny sługa Króla Imci Karola...

— Tośmy już nieraz słyszeli i mógłbyś waćpan, mociumpanie, dać pokój tej wierności.

— A nie mogę! nie mogę. Kiedy Jaśnie Wielmożny pan gubernator, jenerał Wittenberg bywało, zejdzie do mnie ze swej sypialni, z której drzwiami ukrytymi można dostać się na te schody, co tam są za temi drzwiami żelaznemi i pyta po szwabsku: no, Herr Zuraki, bo te Szwedy tak przekręcają nasze poczciwe, szlacheckie nazwiska, powiesz gdzie ten loch prowadzi, co tam jest za temi drzwiami żelaznemi? to ja, choć wiem, że loszkiem tym można wyjść nad Wisłę, gadałem, że nie nie wiem Jaśnie Wielmożny jenerale, skądżebym ja to mógł wiedzieć, prawda?

— Oczywiście, skądżebyś waćpan mógł to wiedzieć!—zawołał pan Rafałowicz kontent, że już nie potrzebuje się o nic wypytywać Żórawskiego, bo ten mu wszystko opowiedział.

— To też ja nic nie wiem, nie nie wiem, a skoro Szwedzy psupra... to jest chciałem rzec, najwaleczniejszy naród na kuli ziemskiej, chcą się o tem dowiedzieć, to niech sami tam łążą... ale bo oni to pójdą! tehrze są, to jest chciałem powiedzieć, najmężniejsi są, hycle, ale ja jestem wierny sługa Najjaśniejszego Króla Imci Karola Gustawa, pana mojego miłościwego...

W teźże chwili łańcuszki przepilowane przez Kazika, spadły

z łoskotem z rąk więźnia, on też obie te ręce złożył jak do modlitwy i podnosząc oczy w górę, zawołał:

Szmedzi

13



— Niech mu ta Pan Bóg da to, na co zasłużył!

Kazik zabrał się teraz do pilowania kajdan u nóg, a tymczasem Maciek z Kacprem usiedli sobie na deskach i przysłuchując się tej rozmowie, rozwinęli swoje tobołki i zabrali się do jedzenia, bo tą długą peregrynacją po podziemiach i licznymi w nich przygodami byli mocno wygłodzeni. Maciek jeno ciężko wzdychał i nosem głośno pociągał, ujrawszy, że szczury zjadły mu niemal całą kielbasę, ostawiwszy jeno kawałek.

— O, laboga, laboga!—mówił—cóż to za żerne kanalie. A żeby ich morowe! zjeść głodnemu człokowi wszystką taką galantą kielbasę z czosnkiem! O, rety! rety! już teraz jak obaczę szczura, te żeby niewiem jak się prosił i wąsami ruszał, zara hycła ubiję za moją kielbasę.

I oglądając pozostały kawałek, mruzczał:

— Jak to szelmy ogryzły. Obrzydzenie czleka bierz!

Obrzydzenie to jednak nie przeszkadzało mu, że cały ów kawałek zjadł z wielkim smakiem.

Przez ten czas Kazik pracował ciężko i niewbawem łańcuszki z nóg pana Żórawskiego spadły. Wyswobodzony od więzów wyprostował się, przeciągnął, kopnął nogą z gniewem łańcuchy i zaczął przechadzać się z widoczną ulgą po piwnicy. Ale nagle stanął przed panem Rafałowiczem i spytał:

— I cóż wy tu myślicie robić?

— Cheemy teraz te drzwi otworzyć.

— To dobrze. A potem?

— Potem wskażesz nam waćpan ów loszek, który prowadzi do Wisły.

— A to na co? ja jestem, masz jespas wie-dzieć, wierny sługa Króla Imci Karola...

— Słyszałem to już, ale cóż to ma do wier-ności waszmościnej?

— Prawda, dobrze gadasz... ale co ty nie masz dobrze gadać? od tego jesteś rajca na ratuszu, że-byś gadał. Kat zresztą wie, czy to wszystko nie omamienie. Tu różne mary chodzą po lochach i sam Jaśnie Wielmożny gubernator Wittenberg powiadał mi, że go mary nawiedzają...

A wtem Maciek, który pilnie słuchał całej tej rozmowy, zającując głośno i łakomie suchy chleb (bo resztki po szeczurach pozostałe kielbasy dawno już połknął) rzekł:

— Ja mam białą, długą opończę. Jak noc za-padnie, to się w nią ubiorę i pójdę po tych, za drzwiami, schodach do sypialni tego zamorskiego Szweda i takiego mu fernepiksu zadam, że An-gieleczyk ze strachu zamrze. I to będzie za moją matuś.

I przypomniawszy sobie swoją matuś, nuż krzyzczyć:

— O, laboga! laboga, moja matuś!

Pan Rafałowicz, który wysłuchawszy projektu Maćka, nagle położył palec na ustach, dając mu tem znak, żeby milczał. Gdy Maciek począł zawodzić o swej matusi, starał się go uspokoić, ale widocznie miał głowę czem innem zaprzątniętą i coś pilnie rozważał.

Wreszcie powziął jakieś postanowienie, bo zwrócił się do pana Żórawskiego i rzekł:

— Waćpan wiesz, że Król Jegomość nasz, Pomazaniec Boży, Jan Kazimierz z wielką potencją zbliża się do Warszawy.

— A wiem, bo mi o tem gadał Frytjof... psie imioniska mają te Szwedy.

— I że król przypuści szturm do miasta?

— Niech mu Pan Jezus pomaga, to jest, chciałem powiedzieć... niech Pan Bóg temu dopomaga, kto chce dobrze, bo ja jestem wierny poddany Najjaśniejszego Króla Karola Gustawa, mego miłościwego pana.

— Wstydzilibyś się waćpan takie rzeczy gadać!—zawołał pan Rafałowicz—żali to godzi się szlachcicowi polskiemu czeić w najezdniku króla, kiedy własny, wolnemi głosy obrany, żyje i panuje?

— Hm!... na wolności tobym inaczej gadał, ale tu, widzisz jespan, ja jestem wierny i pokorny sługa Króla Imi Karola Gustawa.

— No, to staraj się waćpan być na wolności. Już przecie kajdanów nie masz, teraz trzeba po-

myśleć o tem, żeby się stąd wydobyć. Chłopcy—dodał pan Rafałowicz, zwracając się do swych trzech kompanów—trzeba się zabrać do tych drzwi jak najprędzej, bo mi się widzi, że już pod wieczór się ma i lada chwila może ten jakiś Frytjof nadejść, a wtedy...

Ale nie skończył, gdyż nagle Żórawski wyciągnął swą długą, prawdziwie żórawią szyję i kładąc palec na usta, syknął z widocznem przerażeniem w oczach:

— Tss! Frytjof idzie!

To rzekłszy z nadzwyczajną zwinnością, jak na tak wymęczonego starca, skoczył w kąć najciemniejszy piwnicy i tam, owinąwszy się łańcuchami, przykucał.

Wszyscy tymczasem skamienieli i stali niemi, przerażeni, nadsluchując ciężkich stapań po kamiennych schodach, stapań, które z każdą chwilą stawały się głośniejszemi. Wreszcie ktoś zatrzymał się za żelaznemi drzwiami, wsunął klucz w zamek i począł ze zgrzytem nim obracać i odsuwać ciężkie zasuwę. I było słyhać tylko zgrzyt i pisk tych zasuw zardzewiałych i bicie serca oniemiałych z przerażenia peregrynantów. Wszyscy oni pozrywali się na nogi i stali z oczami wlepionemi w drzwi żelazne, jeden tylko Maciek zachował dawną swą postawę i najspokojniej, jakby go to

nie nie obchodziło, gryzł chleb suchy i mlaskał przytem zawzięcie językiem.

Aż nakoniec wrzeciędzie zostały odsunięte, drzwi skrzypiąc rozwarły się i żywy promień światła



padł do piwnicy. We drzwiach stał Szwed ogromny w łośowym kaftanie, kapeluszu szerokim ze skrzydłami, butach palonych, z rapirem przy boku. W jednym ręku trzymał latarkę, a w drugim niósł konew wody i bochenek chleba czarnego pod pachą. Wszedł, podniósł latarkę do góry i ujrzawszy trzech nieruchomych i niespodziewanych gości, przez chwilę stał oniemiały i zdziwiony.

Ale niedługo tak patrzył, bo nagle Maciek zerwał się z desek, na których siedział i chwytając leżącą obok szpadę, którą już rano zakłuł Szweда, a którą Kacper zostawił na deskach, jednym skokiem swych bocianich nóg znalazł się przy rajtarze szwedzkim.

— A tuś mi, hyclu!—krzyknął strasznym głosem i pehnął Szweda szpada w samo serce.

Ten jęknął, upuścił latarkę i dzban z wodą, strzepnął rękami i runął jak długi na ziemię.

ROZDZIAŁ XIX

***W którym jest nieco o panu Żórawskim,
o płaszczu białym Maćka i o generale Wit-
tenbergu.***

Straszna scena zabicia Szweda zrobiła na wszystkich, prócz oczywiście jej sprawcy, Maćka, i pana Żórawskiego, bardzo silne i bardzo przykre wrażenie. Stali nieruchomi i przerażeni, a Maciek, wyciągnąwszy ze zwłok Szweda szpadę, którą go przebił, obeierał z niej spokojnie krew i mruczał:

— To za moją matusię!

Nikt się na to nie odezwał i w tej piwnicy głuchej i na pół ciemnej panowało ponure milczenie, gdy nagle z kąta, gdzie dotąd siedział ukryty i skulony, wypadł imćpan Żórawski i skacząc i potrzęsając łańcuchami, które trzymał w ręku, z brodą i z włosom rozwianym, z okiem iskrzącym się, przypadł do drgającego jeszcze Szweda i począł mu odpinać od pasa długi rapir. Uczyniwszy to, broń starannie obejrzał najprzód

z wierzchu, potem dobył brzeszczot z pochwy i potrząsając nim, wołał:

— Mam miecz! teraz się tych hultajów Szwedów nie boje!

Nagle umilkł, wtulił głowę w ramiona, obejrzał się trwożliwie do koła i syknął:

— Tss! ja zawsze jestem wierny sługa króla jegomości Karola Gustawa.

— Nie plótlbyś waćpan głupstw ze swym królem Karolem Gustawem—oburzył się pan Rafałowicz — pięknieby ci twoją wierność wynagrodził, obaczywszy tego oto trupa.

Pan Żórawski oparł się oburącz na rapirze i nachyliwszy się nad zwłokami Szweda, prawił:

— Widzisz Frytjof, na co ci to przyszło! a byleś dumny i hardy, jakbyś wszystkie królestwa pojadał. Hm! gadałeś, zatracona duszo szwedzka, że Polacy to lichy naród, a oto uśmiercił cię nie mąż polski i nie szlachcic, jeno wyrostek i łyczek. Na taki ci koniec przyszło, mój Frytjofie, coś psie miał nazwisko i po psiemu żyłeś. Ja bym ci...

Ale w tem miejscu przerwał mu tę przemowę Maciek, który zbliżył się i trącając Żórawskiego w ramię, rzekł:

— Nie bańdurzyłbyś jegomość po próżnicy, jeno lepiej powiedz, gdzie jest moja matuś?

Pan Żórawski wyprostował się i spojrział na Macka takim wzrokiem, jakby go pierwszy raz widział i przypatrując się mu się dobrze, rzekł:

— A! toś ty, coś Frytjofa uśmiercił?

— A ja. O, laboga, żeby tak o co, jak o tych hyclów Szwedów! I czegoż jegomość na mnie patrzysz, jakbyś mię zjeść chciał? Gadajno jegomość, gdzie jest moja matuś?

— Twoja matuś? ano... prawda. Kat tam wie, czy to wszystko nie jest omamienie. Bo czy to może być, żeby Frytjof nie żył i żeby te drzwi były otwarte?

— Mój mości Żórawski — wtrącił zniecierpliwiony tem wszystkim pan Rafałowicz — drzwi otwarte w rzeczy samej i czas już wielki, żebyś nas stąd wyprowadził. Bo jak tam na górze obaczę, że ten twój Frytjof nie wraca, to gotowi tu przyjść kupą i nas wszystkich pobrać jak baranów i w łańcuszki okuć.

— Ty, rajco miejski, dobrze rajeujesz, ani słowa, choć ty mnie nie przekonasz, że to jest omamienie. Może to dyabeł przybrał na się posturę rajcy miejskiego, pana Rafałowicza?

— Tfu! — splunął pan Rafałowicz — ten człowiek jest szalony.

— Jegomość — zawołał Maciek, trącając Żórawskiego — zaprowadźno mię do matusi.

— Do twojej matysi? kłicho! do kramarki Maciejowej?

— Tak!

— A jakże ja cię do niej zaprowadzę, kiedy ona siedzi w loszku za żelaznemi drzwiami.

— O, laboga, laboga! za żelaznemi drzwiami, powiadasz jegomość?

— A tak powiadam.

— O, rety! rety! ludzie rety!

— Cichaj, cebulo!—syknął Kazik i wracając się do Żórawskiego, rzekł:

— Wszelako prowadź nas jegomość. My te drzwi wywalimy.

— Ale!—wtrącił Maciek.

— Hm! mocni wy jesteście,—ani słowa i dla tego ja to gadam, bo może zły przybrał waszą posturę. Ale powiadam ci, smyku, żebyś ty był tak mocny jak całe piekło, to onych drzwi nie wywalisz.

— A dla czego?—spytał Maciek.

— Dla tego, że one są niedawno ukute z rozkazu samego jaśnie wielmożnego gubernatora, generała Wittenberga i osadzone w odrzwiach kamiennych. Strasznie mocne. Ale czekajcie... ja wam coś powiem, bo chociaż widzi mi się, że to jest omamienie, wszelako nie mam łańcuszków na nogach i rękach i też ten hycel Frytjof leży tu krwawy, więc może wy nie jesteście żadne mary, jeno ludzie katolicy? co?

— O, laboga, laboga, jak też jegomość plecie trzy po trzy!—zawołał Maciek.—Czy jegomość nie widzi, że my jesteśmy katolicy? Niech no jegomość nie bańdurzy, jeno gada, jak te drzwi żelazne, za którymi matuś!..

Tu przerwał i nuż jęczyć strasznym głosem:

— O, laboga, laboga, matuś moja, matuś! o reta, ludzie, reta!

Plakał rzewnemi łzami, ręce łamał i nosem głośno pociągał.

— Cichaj, cebulo!—krzyczał Kazik.

— Ucisze się do paralusza!—zawołał pan Rafałowicz—jeszcze nam tu swemi krzykami Szwedów na kark sprowadzisz! Stulże mi gębę, do stu par katów!

Maciek przerażony groźną miną pana Rafałowicza, a więcej jeszcze kulakami Kazika, uciekł, jeno obeierał oczy z łez i głośno szlochał, mrużąc do Kazika:

— Nie bij, com ci winien?

— Teraz—rzekł pan Rafałowicz, zwracając się do Żórawskiego—powiedz waćpan, coś miał powiedzieć o tych tam drzwiach żelaznych.

— Hm! mądryś ty rajca na ratuszu, ale ja mądrzejszy tu w lochach pod Zamkiem. Otóż ja tobie powiem, że tych drzwi inaczej otworzyć nie można, jeno kluczem.

— Owa, jaka mi mądra rada!—zawołał pan Rafałowicz, który był gniewny i zniecierpliwiony tem wszystkim—to i dziecko wie, że najłatwiej otwierać drzwi kluczem. Ale skądże waćpan weźmiesz tego klucza?

— A wezmę!—zawołał pan Żórawski i po chwili dodał:—niech tam co chce będzie, bo chciałem ja wierny sługa króla Imci Karola Gustawa...

— Tfu! oszalał z tym swoim heretyckim królem!—mruknął pan Rafałowicz.

— Wszelako—ciągnął dalej Żórawski—wysście mi swojaki i tę też Maciejową kramarkę znałem, pyskata baba, bo pyskata, ale poczciwości rzetelnej...

— A niech jegomość nie wydziwiał na moją matusię—porwał się Maciek—bo jak Pana Jezusa kocham nie zdzierzę, jeno prac będę, aż wióry polecą...

— Cichaj, cebulo!—syknął Kazik i potężny kułak padł na plecy Maćka.

— Nie bij! com ci winien?

— Otoż tedy—mówił dalej pan Żórawski zamysłony mocno i stąd zapewne nie zważający na pogroźki Maćka—powiem wam, że ten klucz i inne klucze od bram, komnat i więzień zamkowych, zawždy na noc pod poduszkę chowa imćpan Manderstórna, który jest przy jaśnie oświeconym gubernatorze Wittenbergu, niby jego *adlatus*. Otoż tam są te klucze.

— I cóż nam z tego przyjdzie—zawołał pan Rafałowicz—żeś nam waćpan o tem powiedział? Przeto tych kluczy mieć nie będziemy i starej Maciejowej nie uwolnimy.

— O, laboga, laboga!—jęczał Maciek.

— Hm! aepanu się widzi — ozwał się na to Żórawski — że skoro cię łyczkowie warszawsey wybrali na rajcę do ratusza, toś już wszystkich mądrości się obłykał. A, widzisz, ja tobie powiem szlacheckim rozumem, który zawsze jest lepszy od mieszczańskiego, że te klucze mieć można.

— A jak?

— Wykraść je!

— Ej—pan Rafałowicz machnął ręką i odwrócił się, dając tem poznać wyraźnie, że z panem Żórawskim niema o czem gadać.

— A nie żadne ej, jeno tak!—zawołał pan Żórawski i chwytając Maćka za rękę, spytał:

— Tyś syn kramarki Maciejowej?

— A ja.

— To słuchajże mię pilnie.

To rzekłszy, pociągnął Maćka naprzód, przeskoczył rozciągniętego we drzwiach trupa Frytjofa i wyciągając rękę, szepnął:

— Widzisz te schody?

Wszyscy zaciekawieni, znużeni wreszcie tak długim pobytym w tym lochu i strasznym widokiem trupa szwedzkiego, poszli za nimi, patrzyli

i słuchali pilnie tego, co pan Żórawski mówił. Gdy więc Maciek powiedział, że widzi schody, które, istotnie z kamienia wykute, wiodły gdzieś na górę, Żórawski rzekł:

— Temi schodami, co je jeszcze za książąt mazowieckich tu zbudowano i tędy chadzały różne czarownice do ostatnich Piastów: Janusza i Stanisława, — można się dostać do komnat jaśniewielmożnego gubernatora Wittenberga. Tam są drzwi, ukryte w ścianie i jak naciśniesz guzik, zaraz się otworzą. Otoż w antykamerze na obozowem łóżku składanem, sypia imćpan Manderstörna i pod poduszkę skórzaną kładzie sobie klucze. Zrozumiałeś? a wy zrozumieliście?

— Juźcić — odpowiedział za wszystkich pan Rafałowicz — to co waćpan mówisz łaeno zrozumieć. Ale coż nam z tego, że wiemy gdzie są te klucze, kiedy ich przecie z pod poduszki pana Manderstörny nikt nie wyciągnie.

— Hm! to już wasza rzecz. Ale ja wam coś powiem. Po tych lochach różne mary chodzą, dusze pokutujące a może i sam Antychryst. To też ja myślę, że i wy jesteście takimi marami, które posturę ludzką przybrały. Bywa to, bywa.

— Ale co też jegomość plecie. Co my za mary! — zawołał Maciek.

— Ano... ja nie wiem, ale to bywa i Szwedy... to jest rzecz chciałem, jaśnie wielmożny gubernar-

tor Wittenberg wie o tych marach i sam slyszałem, jak gadał, że go czasem nawiedzają i dręczą. A przytem oni tam śpią mocno, bo rano wstają teraz, bo się boją wojska Rzeczypospolitej, powiadam wam.

— To prawda. Ale cóż owe klucze? — pytał pan Rafałowicz.

— A cóż? slyszałem jak ten wyrostek (tu wskazał na Maćka) co ma gębę tak z przeproszeniem głupią jak dynia, powiadał, że się przebierze w ten oto biały płaszcz i pójdzie straszyc jaśnie wielmoż...

— Już wiemy, Wittenberga — przerwał zniecierpliwiony pan Rafałowicz.

— To właśnie, jaśnie oświeconego generała Wittenberga — ciągnął niezbity z tropu Żórawski — niech więc idzie i klucze zabiera.

— A pójdę! — zawołał Maciek — co nie mam iść! Wielga rzecz! O, laboga, laboga, raz kozie śmierć.

I począł pośpiesznie nadziewać na siebie płaszcz, ale Żórawski go powstrzymał.

— Powoli, powoli, nie teraz. Jak północ wybije na półzegarzu zamkowym, to wtedy pójdiesz. I to niebawem nastąpi, bo noc już jest oddawna, skoro Frytjof przyszedł... Uśmierciłeś go, uśmierciłeś, szkoda tylko jego duszy heretyckiej, że pójdzie na wieczne męki.

Umilkł i rzekł:

— Teraz zaś chodźcie za mną, tu Szwedy niedługo zejdą, szukając Frytjofa. Zaprowadzę was w takie miejsce, gdzie nas nikt, choćby nie wiem jak szukał, nie wykryje! I powiem wam, że mi wszystko jedno, czy wy mary jesteście, czy też prawowierni katolicy. Ja was się nie boję i koniec!

ROZDZIAŁ XX

Jako Maciek został białą marą i co z tego wynikło.

Pan Żórawski jednak przed wyruszeniem, wziął zwłoki biednego Frytjofa i wciągnął do piwnicy, poczem drzwi żelazne zamknął starannie na klucz, który tkwił w zamku i klucz ten zabrał ze sobą.

— Będą myśleli te inne Szwedy, jak tu przyjdą, że Frytjof zostawiwszy mi żywność, poszedł sobie gdzie i tym sposobem kilka godzin będziemy mieli czasu. A co, panie rajco mieszczański, czy głowa szlachecka nie lepsza od waścinej?

Pan Rafałowicz nic na to nie odrzekł, jeno ramionami ruszył, choć w głębi duszy musiał przyznać, że imć pan Żórawski mądrze to wykal-kulował.

Nakoniec ruszono naprzód z panem Żórawskim na czele, który drogę pokazywał. Szli lochem wązkim, po dnie którego woda nieczysta i cu-

chnąca płynęła, tak że Maciek co chwila nos zatykał i wołał:

— O, rety! rety... nos mi odpadnie!

Ale, że wszystko na świecie ma swój koniec, więc i ta peregrynacja po niepachnącym lochu skończyła się. Pan Żórawski skręcił po paru schodkach do jakiejś niewielkiej piwniczki, tu odnalazł małe drzwi żelazne, na zasuwę jeno zamknięte, otworzył je ze strasznym zgrzytem, bo były zardzewiałe i zatrzymując się, rzekł:

— Ten loch i te drzwi budował jeszcze król Zygmunt August i tędy, kiedy chorzał na podagrę i chiragrę, wprowadzano doń skrycie babę czarownicę, wielkiego ożoga, która uroki zeń odczyniała. Tędy też chadzał do króla mistrz Twardowski, co wywołał ducha królowej Barbary. Potem zapomniano o tym lochu i kanał węń wpuszczono, a o tych drzwiach, to jeno ja jeden wiem, bo mi je pokazał mój ojciec nieboszczyk, który też, jako wiadomo wszystkim, był burgrabią tego zamku, tak jako ja. No, chodźcież dalej.

Chyłkiem musiano się przeciskać przez niskie i wąskie drzwiczki, co zwłaszcza dla korpulencyi pana Rafałowicza było dość trudnem i spociał się jak mysz, przy tej operacyi. Zaraz za drzwiami były schody, któremi idąc, dostali się wreszcie do izby niewielkiej, naokoło mającej okienka, przez które zaglądało światło księżyca i noc było wi-

dać i gwiazdy na niebie, a na ziemi w oddali, poza drzewami wirydarza królewskiego, srebrną wstęgę Wisły. Z drugiej strony okna wychodziły na jeden z dziedzińców zamkowych, na którym włościło się mnóstwo żołnierstwa szwedzkiego i armaty stały.

Widok świata Bożego, którego od tak dawna nie oglądali czterej peregrynanci i pan Żórawski, ucieszył wszystkich niezmiernie. Każdy cisnął się do okien, żeby się napatrzeć na szerokie poza-wiślańskie rozłogi, na Pragę, poza którą błyszczało mnóstwo ogni, jasną lunę dokoła rzucając.

— Co to może być?—spytał Kacper.

— Hm!—odrzekł pan Rafałowicz, przypatrując się pilnie—ani chybi, to jakiś obóz wojskowy.

— Pewno, że to obóz!—zauważył Kacper.

— A może to król Jan Kazimierz, przyciągnął już pod Warszawę!—mówił pan Rafałowicz—i pewnikiem to tak jest, bo przecie nie słyszeliśmy, żeby jakie wojska przysły pod Pragę. No, chłopcy, trzeba nam się śpieszyć, bo może już jutro król szturm przypuści do murów miasta. Pan Żórawski powinien nas zaraz stąd wyprowadzić.

— A wyprowadzę, jeno się te hycle Szwedy pośpia, choć jeżeli to tam jest obóz króla Jana Kazimierza, to im nie do snu teraz. A ja, lubo w karceresie byłem wierny sługa króla Karola Gustawa, to teraz kiedy jestem wolny i kiedy mi

się jeno żywnie spodoba stąd wyjść moge, pluję na zamorskich królów!

— Przecie waszmość rzekłeś mądre słowo — odezwał się na to pan Rafałowicz—i ja rozumiem, że trzeba nam stąd jak najprędzej uciekać.

Stał i rozglądał się po izdebce, która była wązka, nizką i pustą, jeno w kącie sterczała prosta ława, na której zaraz, zmęczony mocno, usiadł. Zapanowało milczenie, bo wszyscy powtykali głowy w okna, przypatrując się owym ogniom za Pragę gorejącym, gdy nagle rozległo się szlochanie i głośne pociąganie nosem Maćka.

— A ty czego beczysz?—spytał pan Rafałowicz.

— A bo... a bo—szlochał Maciek — jegomość chce uciekać i zapomina o mojej matusi. A ja, niech co chce będzie, niech mię Szwedy uśmiercą, a bez matusi stąd nie wyjdę, nie wyjdę i koniec! O, laboga, laboga!

— Dobry z ciebie syn, Maćku — odrzekł pan Rafałowicz—i Bóg ci to wynagrodzi. Juźcić, do przeby było, żebyśmy twoją matkę oswobodzili, ale nie wiem, ażali czasu nam na to starczy. My jeszcze tej nocy musimy popłynąć na Pragę, żeby królowi Jegomości donieść o owych lochach, któreśmy z takim trudem przebyli, a przecie to są ważniejsze sprawy, jak oswobodzenie twej matki, która i tak wolną będzie, jak nasi Szweda wypędzą. Teraz noce są krótkie...

— O, laboga, laboga—jęczał Maciek—co też to jegomość gada. Wolną będzie, kiedy ją jutro na męki brać mają. Co będzie, to będzie, ja się stąd bez matysi nie ruszę!

— Proszę jegomości—wtrącił się Kazik—czy to my wszyscy potrzebni na Pradze? wszak ci dość będzie, jak jeden tam popłynie i królowi o wszystkim powie.

— Hm... jużeć twoja prawda, i nawet łacniej będzie jednemu przemknąć się przez Wisłę, ile że Szwedzi pewnikiem strzegą przewozów...

— To fracha! pływam jak ryba i przepłynę bez łodzi!—zawołał Kazik—więc ja się puszcze, a jegomość z Kaeprem, Maćkiem i panem Żórawskim przez ten czas uwolnią starą Maciejową.

— O, rety, rety!—wołał Maciek—jegomość gada, że naszych temi lochami przeprowadzi. Figę malowaną! a niezawaliły się to lochy, kiedy Szwedy do nas strzelały? Jakże jegomość tamtędy naszych przeprowadzi?

— To prawda i ja już o tem myślałem, ale zawsze naszych będzie można lochami doprowadzić do furty bocznej i wylazłszy tamtędy, będą już w mieście. Ale co to o tem gadać! co ja myślę, to myślę. Teraz jeno rzeknę, że Kazik musi popłynąć na Pragę, a my...

W tejże chwili na wieży zamkowej zegar począł bić godzinę. Chrapał, jęczał biedaczysko, ale

wśród ciszy, która od niejakiego czasu zapano-
wała na dziedzińcu zamkowym, każde jego ude-
rzenie brzmiało rozgłośnie. Wszyscy poczęli liczyć
i naliczyli dwanaście.

— Północ!—szepnął Kacper.

Pan Żórawski, który przez cały czas powyż-
szej rozmowy stał przy oknie od strony dziedziń-
ca i zgoła się do niej nie mieszał, nagle teraz się
odwrócił i rzekł:

— No... Szwedy się pospały, jeno strażę cha-
dzają. Możemy iść do pana Manderstórny.

— Więc idź, Maćku—rzekł pan Rafałowicz—
a my tu poczekamy na was.

— Chwała panu Jezusowi niech będzie!—za-
wołał Maciek i pośpiesznie począł na siebie na-
dziewać białą opończę. Chociaż Maciek był chło-
pak wysoki, jednakże opończa, skrajana widocznie
na ogromnego rajtara, bo gwardya króla Jana
Kazimierza z samych olbrzymów się składała, za-
kryła go całkiem i z tyłu niby ogon się wlokła.
Skoro jeszcze Maciek nadział kaptur na głowę,
to wyglądał przy blasku miesiąca jak prawdziwe
widmo.

Pan Żórawski chodził koło niego i opatrywał
go na wszystkie strony, wreszcie rzekł:

— Dobrze jest, ani słowa. Dopiero to strachu
narobisz tym hycłom Szwedom. Oni tu ciągle jeno
gadają o białej marze, co chodzi po zamku. Cho-

dzieć ona, chodzi, bo to ja i mój ojciec nieboszczyk i król Zygmunt widział raz, ale to ma być niewiasta, a ty jesteś chłop i nie żadna mara. Ale czekajno, ja cię jeszcze lepiej ubiorę. Dobrze, żem sobie przypomniał.

To rzekłszy, żwawo schylił się pod ławę, na której ciągle, odpoczywając, siedział pan Rafałowicz i wydobył stamtąd garść węgla. Te potłukł na ławie na miał i tym miałem tak uczernił fizys Maćka, że wyglądał jak dyabeł, a łyskając białkami oczów i czerwone usta wykrzywiając, miał minę tak straszną i zabawną zarazem, że się Kacper i Kazik pokładali ze śmiechu.

— Wezmę ja ten rozenek, com nim dzisiaj dwóch Szwedów naszpikował — gadał Maciek — i jak się on generał zamorski jeno ruszy, zaraz i jego zadżgam.

— Maćku—odrzekł na to poważnie pan Rafałowicz—dobrze czynisz, mociumpanie, że bierzesz ze sobą broń, bo nie wiadomo co tam za termin przypaść na ciebie może, ale ja ci powiadam, nie używaj tej broni chyba w ostateczności. Nie po to idziesz, żebyś Szwedów rzezał, jeno żebyś matkę oswobodził, a lepiej będzie dla niej, dla ciebie i dla nas, jeżeli tego dokonasz cicho i spokojnie. Czy mię rozumiesz, Maćku?

— O, laboga, co nie mam rozumieć? kiej jegomość nie chce bym dźgał Szwedów, to ich dźgać nie będę.

Mówił tak, ale widocznie o tem nie myślał, jeno zwracał się ciągle do Kacpra i Kazika i oczami strasznie przewracał, język pokazywał i ponure ryki ze siebie wydawał. Ale to zgniewało pana Rafałowicza, bo wstał z ławy, podszedł do Maćka, trącił go przez łapę i rzekł surowo:

— Nie wykrzywiałyś gęby, gamoniu jakiś, a jeno słuchał, co ja ci mówię. Zabraniam ci zabijać śpiących, rozumiesz?

Maciek przestraszony trochę surowym głosem pana Rafałowicza, przestał bladeńskich min czynić i rzekł:

— Słucham jegomości. O, laboga, laboga, skoro jegomość zakazują, to dobrze. Albo ja to rzeźnik, czy Tatarzyn, żebym śpiących rzezał? Nie zadżgam tego generała co ma klucze, jeno mu je zabiorę i tyle...

— Pamiętaj, żebyś tak uczynił, bo inaczej ty i twoja matka zginie.

— O, rety! rety, moja matuś!—ryknie Maciek tak głośno, że aż stojący przy oknie pan Żórawski, ciągle zapatrzony na dziedziniec, drgnął cały i skoczył i zawołał:

— Czego to bydle tak się drze?

— Cichaj, cebulo!—syknął Kazik i potężnym kułakiem uderzył Maćka w bok.

— Nie bij! com ci winien?

— Zaprawdę, zaprawdę — zawołał pan Rafałowicz — trzeba być ostatnim baranem, żeby tak wrzeszczyć. Czyż nie widzisz, że możesz pobudzić Szwedów i nas wszystkich zgubić?

— A prawda! — zawołał oglupiały Maciek — już nie będę, mój jegomościuniu, już nie będę.

— Z tego osła to nigdy nie będzie! — rzekł Kacper — jeszcze nas wszystkich na zatracenie zawiedzie.

— Słuchajno — odezwał się groźnie pan Żórawski — jak mi jeno piśniesz, to cię wsadzę do takiego lochu, z którego już nigdy świata Bożego nie ujrzysz. A teraz zbliż się i chodź za mną. Wasanowie tu czekajcie, rychło wróciemy, jeno zachowujcie się cicho, światła nie palcie i z okien nie wyglądajcie, bo by was mogła straż dojrzeć, a wtedy wszystko przepadło. No, chodźmy!

Ruszył przodem na schody, a za nim Maciek płacząc się w długiej oponczy, nieco skonfundowany, ale jednak nie na tyle, żeby aż zapomniał o swych figlach. Już stojąc na schodach, odwrócił się nagle i tak strasznie łysnął białkami i wykrzywił się na Kazika i Kacpra, że ci nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Jeden tylko pan Rafałowicz kwaśno to przyjął i rzekł:

— Błazen to oczywiście i lękam się, czy jakiego głupstwa nie zrobi.

To rzekłszy, gdy kroki pana Żórawskiego i Maćka cichnąc powoli, zupełnie uciechły, owinał się w oponczę i legł na ławie dla spoczynku, po tyłu przejściach i tarapatach. Za jego przykładem poszli obaj chłopcy, pokładli się z tobołkami pod głową na podłodze i wkrótce słyhać było ich oddech równy i głęboki. Obaj zasnęli.

ROZDZIAŁ XXI

Jako Maciek zdobywszy klucze, obudził pana Manderstörna.

Maciek, gdy z panem Żórawskim, idącym przodem, zapuścił się znowu w lochy, odrazu stracił humor, milczał i szedł zamyślony mocno. Pan Żórawski także nie był gadatywus, posuwał się naprzód, mrużąc coś pod nosem, co robiło w tych ponurych ciemnościach dość przykre wrażenie. Ale Maciek krzepił się tem, że czyni to wszystko i naraża się na tyle niebezpieczeństw dla swej matki, którą kochał gorąco i dla tego szedł śmiało i za nic nie byłby się cofnął. Ciężko mu było nieco w owej długiej białej oponicy przemykać się po ciasnych przejściach podziemnych, zwłaszcza, że pan Żórawski nie szedł ale biegł przodem, więc jak mógł podkasywał poły i wyciągał swoje długie nogi.

Tak przebyli poraz wtóry piwnice i dostali się na miejsce, gdzie za zamkniętymi drzwiami leżał

trup Frytjofa z jednej strony, a z drugiej prowadziły schody kamienne do komnat gubernatora generała Wittenberga. Tu pan Żórawski się zatrzymał, żeby nabrać tehu i zwracając się do Macieka, szepnął:

— Odpocznij sobie nieco i idź temi schodami. Na górze napotkasz drzwi, w których na samym środku jest guzik złocisty. Uważasz, co ja gadam?

— O laboga, laboga, co nie mam uważać! We środku jest guzik złocisty, czy nie tak?

— Tak. Otóż zważ, co ci powiem. Gdy ów guzik błyszczący jako złoto naciśniesz, drzwi się cichutecznie otworzą i znajdziesz się w antykameryce jaśnie wielmożnego generała Wittenberga, w której na żelaznem, obozowem łóżku śpi jego adlatus, pan Manderstörna. Szwedzisko to głupie, że tak powiem, i lubi na noc gorzałką się upijać, a potem śpi jako zabity. Tedy z łatwością mu wyciągniesz klucze z pod poduszki. Gdyby się jednak obudził, co może się przytrafić, tedy udaj mare, jęcz i stękaj straszliwie i ziejąc z gęby ogień, nastaw ten oto rożen, który dzierzysz w rękę, jakbyś nim chciał pana Manderstörna przebić. Tedy on się przestraszy i ucieknie, a ty klucze zabrawszy nie zwłócz, jeno co prędzej dawaj drapak.

— A jak ten Szwed nie ucieknie? — spytał Maciek.

Tedy pan Żórawski zrobił straszną minę, zgrzytnął zębami, kulak podniósł i taki ruch nim wykonał, jakby kogo przebijał i syknął:

— Tak mu zrobisz!

Poczem rzekł:

— Zrozumiałeś mię?

— Zrozumiałem, co nie miałem zrozumieć!

— No, więc idź z Bogiem, a spraw się dobrze. Ja tu na ciebie czekać będę.

To rzekłszy, usiadł sobie na schodach i wsparłszy głowę na dłoniach, a łokcie na kolanach, pograżył się w tak głęboką zadumę, jak gdyby znajdował się we własnej izbie, a nie w ponurych podziemiach warszawskiego zamku.

Tymczasem Maciek ruszył na owe schody, a serce mu bić poczęło jak młotem, bo choć on tam nie bardzo był mądry, wszelako rozumiał to doskonale, że impreza, jaką przedsięwziął dokonać, jest bardzo niebezpieczną i łatwo ją można życiem przypłacić. Szedł więc wolno, drapiąc się na owe oślizgłe od wilgoci schody, i rzecz dziwna, czuł się tak zmęczonym, że co chwila musiał przystawać, by tchu nieco złapać. Z tem wszystkiem za nic w świecie nie byłby się teraz cofnął; raz że miał już taki charakter, że jak sobie raz co postanowił, to musiał wykonać, a potem, że tu szło o jego matkę, którą bardzo kochał. Szedł więc ciągle, zatrzymywał się, nadstuchiwał, ale szedł

i tak przyszedł do owych drzwi żelaznych, o których pan Żórawski opowiadał. Pod temi drzwiami usiadł sobie, bo nogi pod nim dygotały, i począł bacznie się przyglądać wszystkiemu. Drzwi były żelazne, mocne, kute i staroświeckie, nieco tu i owdzie przez rdzę zjedzone, a w ich środku błyszczał ów guzik, który nacisnąwszy, można było drzwi owe otworzyć.

Jednakże Maciek nim się do tego zabrał, wprzódy począł słuchać, ażali tam za drzwiami jakiego głosu nie usłyszy, z którego mógłby poznać, czy pan Manderstörna śpi, czy też czuwa. Ale czy drzwi były zbyt grube i nie przepuszczały żadnego głosu, czy też w rzeczy samej w antykamerze nikogo nie było i pan Manderstörna spał, dość, że w około leżała niczem niezakłócona, senna cisza.

Maciek postął jeszcze chwilę, jakby się namyślał, wreszcie zawołał z determinacją:

— Raz kozie śmierć!

I guzik nacisnął mocno.

Drzwi natychmiast cicho, z lekkim, zaledwie dosłyszczanym zgrzytem otworzyły się i blask lampki, gorejącej na stole na chwilę oślepił oczy Maćka, przywykłe do ciemności. Ale, gdy nakoniec mógł się rozejrzeć, zobaczył, że się znajduje w antykamerze generała Wittenberga, o której mu opowiadał pan Żórawski. Wprost tajemniczych drzwi, w których stał teraz Maciek nieruchomie, widać

było duży stół, nakryty białymi ręcznikami, a na nim gorzała lampka, sterczały fiasze, dzbany i kubki, na pół wypróżnione, przewracane, i po całej izbie unosił się mocny zapach gorzałki i wina. Widocznie pan Manderstörna oddawał się zwykłym swoim libacyom przed pójściem na spoczynek. Widok ten dodał Maćkowi otuchy. Naciągnął kaptur na głowę i wydobywszy szwedzką szpadę z pod oponczy, tak ją dzierzył, jakby kogo chciał przebić, i wszedł śmiało do izby.

Była ona duża i od gorejącego kaganka na stole słabo oświetlona. Kaganek, od chwili otwarcia przez Maćka tajemniczych drzwi, chwiał się wskutek przeciągu powietrza, i wszystko w tej izbie, na pół ukrytej w cieniach, zdawało się drgać i chwiać na wszystkie strony. W kącie, niedaleko drzwi, prowadzących do komnat dalszych, na pustym łóżku składanem, zaslanem skórą łosiową, leżał na poduszce skórzanej imię pan Manderstörna, adyutant generała Wittenberga i spał jak zabity. Był to mężczyzna ogromnego wzrostu, otyły mocno, łysy, z niewielkimi wąsikami i takąż kozią bródką. Leżał na łóżku na znak ubrany zupełnie, zrzucił tylko ze siebie kaftan łosiowy, który obok wisiął na stołku i buty z ostrogami, które wały się po kamiennej posadzce. Na stoliku tuż przy łóżku, leżał cienki jego miecz i dwa pistolety.

Spał mocno, chrapał i sapał donośnie, co w ciszy panującej w izbie robiło wrażenie, jakby ktoś miechem dmuchał. Mimo to, nikt nie mógł zapewnić, czy pan Manderstörna nie obudzi się nagle, to też Maciek, rozejrzawszy się po całej izbie, przybrał straszną minę i ze szpadą przygotowaną do pchnięcia, ruszył jak mógł najciszej naprzód. Nie lada to była sprawa sięgnąć pod poduszkę, na której głowa tego olbrzyma spoczywała, ale Maciek, raz już zdecydowawszy się na ten krok, nie myślał wcale się cofać.

Już był tuż przy łóżku i ściągnął rękę, by ją wsunąć pod poduszkę, gdy nagle w ciszy nocnej rozległ się śpiżowy dźwięk zegaru, umieszczonego na wieży, co ją Król Zygmunt III wybudował i która też zwała się „Zygmuntowska.“ Zegar był stary, bo pamiętał panowanie pierwszego Wazy, skrzypiał i jęczał posepnie, napełniając milezenie nocy poważnym i smutnym dźwiękiem śpiżu. Maciek na ten dźwięk przystanął i począł się wsłuchiwać i liczyć uderzenia zegaru. Naliczył pięć, to jest cztery kwadranse i pierwszą godzinę.

Było więc po północy... chwila, w której, według bajek ludowych, pojawiają się duchy i włóczą się mary i upiory po świecie. Na kogoś, wierzącego w takie podania, pojawienie się Maćka o północnej godzinie w długiej białej oponczy, z twarzą czarną i wywróconymi białkami oczów, mogło bar-

dzo silne wyrzec wrażenie. Gdyby się więc pan Manderstörna obudził i zobaczył takie widmo przed sobą, zwłaszcza wobec opowiadań, krążących po zamku o zjawianiu się białej mary, z pewnością byłby stchórzył. Ale nie obudził się wcale. Zegar wyjęczał nocną godzinę i dźwięk jego drżał jeszcze w sennem powietrzu izby, gdy Maciek sięgnął ręką pod poduszkę. Starał się ją wsunąć jak najostrożniej i niebawem namacał pęk cały kluczy, nawiązanych na kółko żelazne. Wyciągając je, nie mógł się ustrzedz od lekkich szarpnięć, tym więcej, że duża i ciężka głowa pana Manderstörny spoczywała na nich. To też śpiący Szwed przestał nagle chrapać, poruszył się powoli i głowę obrócił na bok. Maciek zatrzymał się, ciągle z ręką pod poduszką i stał tak przez chwilę, gotów ostrze cienkiej szpady wpakować w serec Szweda, gdyby się obudził. Życie tego ostatniego wisiało na włosku. Ale na szczęście dla niego i dla Maćka nie obudził się. Odwróciwszy głowę, począł na nowo chrapać i sapać głośno i Maciek, pociągnawszy jeszcze raz klucze, wydobyl je zupełnie.

Serce biło mu jak młotem i przez chwilę stał z kluczami w ręku, jakby skamieniały i zdziwiony, że tak trudne i niebezpieczne zadanie, udało mu się szczęśliwie spełnić. Ale dźwięk kluczy, dzwoniących w jego drżącej od wzruszenia ręce, przy-

wrócił mu przytomność. Cicho i zręcznie począł się cofać od łóżka, ku drzwiom otwartym, prowadzącym do lochów, przez które prąd zatechłego powietrza dostawał się do izby i chwiały nieustannie skwierczącym niemiłosiernie kagankiem. W tym blasku wszystko w izbie zdawało się drgać, żyć, ruszać się; po twarzy śpiącego Manderstörny przemykały się cienie i blaski, oczy zdawały się otwierać i zamykać znowu, wąsy i broda podnosić się i opadać. Z kątów wielkie, ruchome ciemności, niby mary jakieś mętne unosiły się, ogarniały sobą pół izby, dygotały na sklepieniu, na ścianach nagich i czarnych, i znikały znowu.

Wszystko to na Maćku zrobiło wielkie, zabobonne wrażenie. Gdy tu wszedł, zajęty jednym tylko, by zbliżyć się do śpiącego Manderstörny i zabrać mu z pod poduszki klucze, nie patrzył na nic i nie widział; ale teraz, dokonawszy swego stał, oglądał się dokoła trwożliwie i czuł, jak mu strach podnosi włosy na głowie. Zdawało mu się, że z ciemnych kątów izby wychylają się ku niemu jakieś olbrzymie, niebывale potwory, wyciągają długie ręce, chwytają go za włosy. Przeżegnał się raz i drugi:

— *Mie* Ojca i Syna—szeptał—tfu! czy mię co urzekło?

Powoli jednak odzyskiwał przytomność i cofał się wolno i jak najeiszej ku drzwiom. Po drodze

schwycił szpadę i pistolety Manderstörny, leżące na stole i tak uzbrojony stanął nakoniec przy drzwiach. Ale tutaj, na nieszczęście nie uważał, że stoi krzesło ciężkie, z wysokimi poręczami. Cofając się tyłem, z oczami wlepionymi w śpia-



cego Szweda, w owe wielkie cienie włóczące się po izbie, zawadził nogą o to krzesło i przewrócił je ze straszliwym trzaskiem i łoskotem.

Na ten huk upadającego ciężkiego sprzętu, huk rozlegający się wśród ciszy nocnej z grzmia-

cym rozgłosem i powtórzony przez echa staroświeckich sklepień, Manderstörna zerwał się na równe nogi, usiadł na łóżku i krzyknął chrapliwym głosem:

— *Wer da!*

Jego wielkie, rozszerzone przez trwogę oczy, błędząc po izbie, spoczęły nakoniec na białej postaci Maćka, który w samych drzwiach się zatrzymał i stał tak nieruchomy, gotów każdej chwili do ucieczki, lub do dzielnej obrony. Ale wszystko to było niepotrzebne. Szwed, zobaczywszy przy migotliwym świetle kaganka białą postać, ze straszonym, nieludzkim krzykiem rzucił się ku drzwiom, prowadzącym w głąb zamku, otworzył je i ciągle wrzeszcząc, wymawiając jakieś słowa, uciekł.

Maciek roześmiał się i szepnął:

— A tom mu pietra napędził! hi! hi! hi!

Ale nie było tu czego czekać. Wysunął się cicho, drzwi za sobą zamknął i pędem zbiegł po schodach do pana Żórawskiego, którego zastał siedzącego w tej samej pozycji, w jakiej go zostawił.

ROZDZIAŁ XXII

W którym Maciek twierdzi, że Kazik Ginter jest głupim chłopakiem.

Pan Żórawski tak był zamyślony, a może też drzemał, że nie słyszał biegnącego szybko po schodach Maćka i ocknął się dopiero, gdy go uradowany chłopiec uderzył mocno po ramieniu. Zerwał się, wyprostował, cofnął parę kroków, patrząc wystraszonymi oczami na Maćka i przeżegnawszy się, rzekł:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! Wszelki duch Pana Boga chwali.

— I ja go także chwale! — zawołał Maciek.

Ale pan Żórawski cofał się ciągle i wyciągnawszy chudą i obrośniętą mocno rękę, mówił:

— Giń, przepadnij, maro!

— O laboga! laboga! co też to jegomość gadają. Ja przecie nie żadna mara, jeno Maciek Dratewka jestem.

— Różne postacie na siebie mary przybierają—mówił grobowym głosem pan Żórawski—kto wie, ażali postury Maćka, Dratewką zwanego, także jaki duch nie przybrał na się.

— O rety! rety! jaki też to jegomość jest śmieszny! Gdzieby zaś duchy moją posturę przybierać mogły. Jam jest Maciek, com chodził tam na górę po klucze od lochów i oto te klucze mam. O, laboga, laboga!

To mówiąc, począł dzwonić kluczami i pokazywać je panu Żórawskiemu. Widok ten opamiętał starego burgrabiego, bo zbliżył się i oglądając bacznie Maćka od stóp do głów, spytał:

— Żali w rzeczy samej jesteś Maćkiem, nie marą, wiodącą ludzi na pokuszenie?

— O, rety! rety! a też to jegomość wydziwiał! Jużćie że jestem Maciek i nikogo na pokuszenie nie wiodę.

— I masz klucze?

— A mam!

— Pokaż!

Tedy Maciek wręczył mu klucze, które on bacznie oglądał i gadał raczej do siebie, niż do Maćka:

— Ten jest od lochu pod wieżą, gdzie są tortury; ten od loszku małego, gdzie siedzi dwóch lyczków warszawskich; ten, gdzie wsadzono Maciejową, kramarkę!..

— Matus moja, matus!—ryknął Maciek—o laboga, laboga! jegomość, czego stoimy? chodźmy uwolnić moją matus! chodźmyż a żywo, bo umrę z żalości. O, laboga, laboga!

I począł zawodzić i nosem głośno pociągać i jęczeć tak krzykliwe, że pan Żórawski rzekł surowo:

— Cichaj, chłopcze, cichaj! tam na górze rejwach jest niemały i nie trzeba, żeby nas usłyszeli. Cóżes ty, do stu katów, baba czy co? Słyszal to kto, żeby taki chłop, któremu się już wasy pod nosem puszczejają, beczał jak dziecko. Milecże mi do stu par paraluszów, bo wszystko twymi wrzaskami popsowasz i nie uwolnimy nikogo.

— Już będę cicho, mój jegomość, już cicho będę, jeno chodźmy do matusi. Mój jegomość, mój jegomościuniu złoty!...

I chwytając pana Żórawskiego za nogi, począł go całować i ścisnąć i błagać gorąco. Te próby rozczuliły starego szlachcica, począł sam słochoać, nosem pociągać i prawić:

— Ano, dobre z ciebie chłopię, rzetelnie mówię, że dobre, i chcesz łyk i szewkie dziecko, masz jednak szlachecką duszę w mieszczańskim ciele. Szkoda wielka, żeś ty łyk, bo byś mógł daleko zajechać, a może i królem ostać, bo to nie nowina w naszej Rzeczypospolitej. Ale cóż...

Cheiał coś jeszcze mówić, ale mu Maciek przewał, wnosząc nowe prośby, by szli uwalniać z lochu jego matkę. Machnął tedy ręką i rzekł:

— Ano chodźmy!

Ruszył przodem, zgoła w innym kierunku, niż dotąd szli, a przez drogę gadał, mrując pod nosem:

— Żebym go się nie dotykał, sam mu gęby węglem nie mazał i tych oto kluczy nie miał w rękę, tobym rozumiał, że to nie człowiek, jeno mara jakaś, która jeno posturę szewkiego chłopaka na się przybrała. Słychaneż to rzeczy, żeby na tym zepsutym świecie, byli ludzie z takim dobrem sercem? Żyję ośmdziesiąt lat, a może i więcej i zawżdy jeno widział, że człek człekowi wilkiem... A tymczasem teraz w tych lochach, gdzie jeno cierpienia i jęki się rozlegają, spotykam takie złote chłopię! Ha! Pan Bóg czyni niekiedy takie cuda!

Tak sobie mrucał pod nosem pan Żórawski i szedł przodem ciasnym, wązkim korytarzem, pełnym cuchnącej wody. Maciek za nim śpieszył. Nie szli jednak długo, bo nagle pan Żórawski skrecił w bok i postąpiwszy parę kroków, zatrzymał się przed żelaznymi drzwiami, i wskazując na nie, rzekł:

— To tu!

Maciek zatrzymał dech w sobie i patrzył niecierpliwie, jak pan Żórawski dygoczącemi ze starości rękami, począł szukać w pęku właściwego klucza. Znalazłszy go nakoniec, z trudnością wsunął w otwór, zakręcił i drzwi ze zgrzytem i łaskotem odsunął.

Z ciemnego, niczem nie rozświetconego lochu, wionęło zatechłe piwniczne powietrze i z głębi rozległo się stłumione, jakby z grobu lub trumien wybiegające pytanie:

— A kto tam? żali i po nocy spać mi nie dacie?

Maciek odgadł sercem, że to głos matki i z rozpaczliwym krzykiem, wołając:

— Matusz moja! matusz! to ja... twój syn... o laboga, laboga, to ja!

— Kto? co?... — rozległ się ów ponury głos z głębi i przy słabym blasku latarki, który pan Żórawski trzymał, podniosła się gdzieś z ciemności jakaś postać.

Ale już Maciek wpadł do piwnicy i rzucił się jak długi do nóg matki, szlochając głośno, zanosząc się od płaczu i wołając:

— To ja, Maciek! wasz syn! przyszedłem was, matusz moja złota, uwolnić.

Przez chwilę panowało milczenie, aż wreszcie Maciejowa surowym głosem zapytała:

— A ty skądś się tu wziął?

— A przyszedłem, żeby was uwolnić!

— Jak? jakim sposobem? Szwedy cię puściły?

— Ej, gdzie tam Szwedy! sam przyszedłem przez lochy z panem Rafałowiczem.

— Z panem Rafałowiczem? co ty mi tu pleciesz? a gdzie pan Rafałowicz?

I spostrzegając pana Żórawskiego, spytała:

— A to co za jegomość?

— Moja jejmość — uznał za stosowne wtrącić się pan Żórawski — teraz nie czas pytać się kto zacz i jakim sposobem ten chłopak się tu dostał. Dość, gdy się asani dowiesz, żeśmy przyszli cię uwolnić. Zabieraj tedy swe manatki i ruszaj za nami, bo czas jest drogi.

— Jakie manatki? ja żadnych manatków nie mam!

— Moja matuś — nalegał Maciek — uciekajmy, bo nas Szwedy mogą zdybać.

Rada ta wydała się Maciejowej dobrą, bo rzekła:

— Ano eholdźmy, kiedy tak.

Ruszono więc z piwnicy, a pan Żórawski zaraz drzwi na klucz zamknął. Maciejowa ciężko szła, głową kiwała niedowierzająco i mówiła:

— Cud czy sen? Może mi się to śni wszystko?

— Bywa i to czasem — ozwał się na to pan Żórawski — ile, że po tych lochach różne mary

chadzają, ale teraz możesz jejmość być pewna, że to nie sen, ale najrzeczywistsza jawa.

Tak mówiąc, szedł przodem krokiem posuwistym, wysuwając swe długie, cienkie nogi, tak że otyła Maciejowa ledwie mogła za nim nadążyć.

I gdyby nie Maciek, który jej dopomagał i w ślizkich miejscach podtrzymywał, byłaby wkrótce ustała. Maciek był teraz w wybornym humorze, opowiadał, jako się przebrał za widmo, jako mu pan Żórawski twarz węglem uczernił, jako wykradł klucze panu Manderstörna i śmiał się głośno:

— Hi! hi! hi!—pedam matusi, Szwedzisko tak się przestraszyło, że choć jest gruby i tłusty, skakał jak fryga. O laboga, laboga, to ci dopiero była uciecha patrzeć na tego Angielezyka Niemca, jak zmykał! Hi! hi! hi!

Tak sobie gwarząc, doszli nakoniec do wieży, w której pan Rafałowicz z Kacprem i Kazikiem słodkim snem zasypiali. Czas już był wielki, bo Maciejowa zadyszana i spocona, ledwie szła i wniesiona prawie przez syna na schody, padła raczej na ławę niż siadła i rozglądając się dookoła, oddychała głośno. Dopiero odpocząwszy sobie nieco, gdy rozbudzono pana Rafałowicza i dwóch jego młodych towarzyszy, gdy ich zobaczyła, rzekła:

— Teraz to wierzę, że to nie sen, jeno jawa. Ano, niech będą dzięki cudownemu Panu Jezusowi od Fary. Te heretyki mieli mię brać jutro na męki, bo gadali, że ja rokosz uczyniła. A psu-braty, to że bronila swej krwawicy, to za to mię mieli na męki brać, jak jaką czarownicę? A bodajże ich pokarało!

Byłaby jeszcze długo gadała, ale pan Rafałowicz poszeptawszy w kącie z Żórawskim, rzekł głośno:

— Moja jejmość, teraz nie czas na gadanie. Musimy stąd się, mociumdzieju, wynosić. Chłopcy, zbierajcie się. Imć pan Żórawski wyprowadzi nas kanałem nad Wisłę i pójdziemy jej brzegiem ku ulicy Mostowej. Kazik, jeżeli znajdziemy jaką łódź, popłynie na Pragę do króla Jegomości...

— Jak nie będzie łodzi, to wpływ przeplynie Wisłę—ozwał się Kazik—jak trzeba, to trzeba! Nie nowina mi to.

— Zobaczymy jak to będzie. Słuchajże teraz chłopcze, pilnie, żebyś wiedział, co masz powiedzieć królowi Jegomości, jeżeli do niego się dostaniesz...

— Co nie mam się dostać!

— O, laboga, laboga, jaki to głupi chłop z tego Kazika—ozwał się Maciek—on myśli, że król to taki sam jak ja, albo pan Rafałowicz. O, reta, reta, jaki on głupi ten Kazik!

— Cichaj, cebulo!

— Owóż tedy—ciągnął dalej pan Rafałowicz— jeżeli dostaniesz się do króla Jegomości, a staraj się koniecznie dostać, to powiesz mu, że z mego domku, za bramą Nowomiejską, kole Gdańskiej piwnicy, jest podziemne przejście...

— A kiedy zawalone!—zawołał Maciek.

Kazik nie wytrzymał, ale syknąwszy swe „cichaj cebulo,“ dał potężnego kułaka Maćkowi.

— Nie bij!—ten zawołał—com ci winien?

— Niestety!—mówił dalej pan Rafałowicz— podziemiem tem nie można się już dostać do zamku, ale powiesz królowi Jegomości, że zawsze dotrzeć będzie można pod basztę przy ulicy Dunaju, a i to coś znaczy! My wszyscy czekać będziemy na naszych w moim domku.

— A jakże się jegomość tam dostanie?

— Pójdziemy nad Wisłą i przez Mostową ulicę, jeszcze przed świtaniem będziemy u siebie. A zatem, mociumdzieju, w drogę, bo teraz noc krótka i na wschodzie jeno patrzeć świtu. Prowadź ze nas, mości Żórawski!

Pan Żórawski w milezeniu otworzył drzwi i ruszył na schody, nie oglądając się na nikogo. Maciejowa, wzdychając ciężko i narzekając, że ją nogi i krzyż boli, przy pomocy syna, który troskliwie jej pilnował, poszła za innymi.

Niebawem znaleźli się w wązkim, ślizkim, cuchnącym mocno kanale i w niektórych miejscach tak niskim, że zgięci do połowy posuwać się mogli. Wszyscy szli jednak rażno, nie zważając na to, ale z Maciejową był wielki kłopot i gdyby nie Maciek ze swą wielką siłą, byłaby z pewnością ustała. Szczęściem droga była niedługa i wkrótce znaleźli się u wylotu kanału, nad samą Wisłą, która z głuchym pluskiem toczyła swe mętne fale.

ROZDZIAŁ XXIII

W którym Kazik Ginter puszcza się na wątleń czólnie do obozu polskiego.

Trudno opisać uczucie radości i ulgi, jakiego doznali nasi peregrynanci, gdy po całodziennem nieomal błądzeniu po podziemiach, znaleźli się nakoniec na wolnem powietrzu, pod gwiaździstym sklepieniem niebios. Każdy z nich lżej odetchnął i cieszył się swobodą. Jak słusznie zauważył pan Rafałowicz, na wschodzie niebo już białeło i świt się robił. Wiatr, jak zwykle nad ranem, zerwał się i mile chłodził rozpalone niewywezasem, zmęczeniem i febrą twarze, a Wisła pluskała wesoło. Cisza była zupełna.

— No—mówił pan Rafałowicz—śpieszmy się, nie mamy ani chwili czasu do stracenia.

A pan Żórawski na to:

— Tu się kończy moje przewodnictwo. Dalej sobie apanowie radźcie sami...

— Jakto, waćpan nas opuszczasz?—spytał pan Rafałowicz.

— Nie... jeno przewodniczyć asanom nie będę. Jako człek rycerski, który się niegdyś żołnierskiem rzemiosłem parał, wiem, że Szwedzi w obliczu nieprzyjaciela musieli gęste ponad Wisłą popostawiać strażę.

— Więc cóż?

— A to, że nie wiem jak wy się tam dostaniecie do Mostowej ulicy. Tedy ja sobie będę szedł w straży tylnej, jako ciura obozowy i patrzyć, jako to asan hetmanisz. Bo i to też rzec należy, że niesłychanem to jest, by łyczek i rajca miejski hetmaństwa się podejmował.

Ale pan Rafałowicz nie słyszał już tej końcowej uwagi starego burgrabiego, gdyż doskonale pojmując, że jeżeli uda im się przemknąć ponad Wisłą, to tylko pod zasłoną nocy, ruszył żwawo naprzód, nie tracąc ani chwili czasu. Na szczęście strażę tu były nieliczne i nad świtaniem przed chłodem i znużeniem gdzieś pokryły się po kątach a przytem po uliczkach nadbrzeżnych już ruch się zaczynał i tym sposobem niepostrzeżeni i niezaczepiani wydostali się na ulicę Mostową. Strachu i kłopotu przytem było nie mało, zwłaszcza z Maciejową, która otyła i niemłoda poprostu iść nie mogła i zadyszana moeno, na połowie drogi ustała.

— O, laboga, laboga!—jęczał Maciek — jakie też to matuś mają kiepskie nożyska!

A matuś na to podparła się pod boki i nuż gadać:

— Stulisz mi ty gębę zaraz, smarkaczu! Czy chcesz, żebym ci łba porządnie nadarła za nieuszanowanie dla nóg twojej rodzicielki! Widzisz go, jak mi się zwydrzył. Jeno przyjdziemy do domu, to ci takie lanie za to sprawię, że popamiętasz ruski miesiąc.



— Za co?—pytał naprawdę przestraszony Maciek.

Szczerem wdał się w tę sprawę pan Rafałowicz, mówiąc:

— Cicho byś jejmość była, jeszcze straży uwagę zwrócisz! I za cóż to masz bić twego syna? czy za to, że cię z karceresu szwedzkiego uwolnił? Dalej Maciek, weź pod rękę twoją matkę i ruszajmy.

Maciek, który był, mimo swej cienkości, chłopcem niezwykle silnym, widząc że matka naprawdę ustaje, nie namyślając się wiele, wziął ją na plecy i tak niósł, stękając od czasu do czasu:

— O, laboga, laboga, jaka też to matuś ciężka! Ledwo uradzić mogę.

Narzekał ale szedł za innymi. Najbardziej to się martwił Kazik, bo nigdzie najmniejszej nawet łodzi dostrzedz nie mógł, a dzień się robił coraz większy. Dopiero przy końcu Rybaków spostrzegł niewielkie czółno i na niem starego rybaka Andrzeja, który zwijając sieć, zabierał się widocznie do połowu ryb. Poszedł do niego z panem Rafałowiczem i już razem poczęli go namawiać i prosić, by Kazika przewiózł na Pragę. Stary Andrzej spojrział surowemi i spłowiałemi oczami na pana Rafałowicza, a potem na Kazika i spytał:

— A po co on na Pragę ma jechać?

— Potrzeba mu.

— Furda! niby to ja taki głupi! Naszych tam już nie znajdziecie, bo tej nocy, jako wiem dokumentnie, przeprawili się przez Wisłę pod Ujazdowem, a pan Czarniecki stoi kole Pulkowa ze swą dywizją. Niby to ja nie wiem. Ale cóż to jegomość masz taką powalaną opończę?

Pytał, dotykając się istotnie strasznie zawalnego żupana pana Rafałowicza, ale ten odpowiedział:

— Co tam moja opończa! Wiesz-że napewno, że pan Czarniecki stoi pod Pulkowem?

— A wiem, bom go sam wczoraj widział.

— A gdzież jest Król Jegomość?

Andrzej zmrużył jedno oko i patrząc z ukosa spytał:

— Niby, jaki Król?

— A jużćie nasz, Jan Kazimierz.

— Aa!... czy ja wiem? powiadają, że w Ujazdowie, ale ja nie wiem i niech mi jegomość czasu po próżnicy nie zabiera.

Odwrócił się z niechęcią, mruczając coś pod nosem, obejrzał się dokoła niespokojnie i zabrał się do swoich sieci. Ale pan Rafałowicz nie ustąpił i począł nalegać, by Andrzej powiózł Kazika do Pulkowa.

— Skoro niepodobna dostać się do Króla, — mówił pan Rafałowicz do Kazika — to trzeba żebyś dostał się do pana Czarnieckiego. Z tego co opowiada Andrzej, widać, że Król będzie następował od Ujazdowa na zamek, a pan Czarniecki na bramę Nowomiejską. Jego tedy trzeba ostrzedz.

Racya była słuszna i dla tego to pan Rafałowicz chciał, żeby Andrzej powiózł Kazika do Pulkowa, czyli, jak już wtedy nazywać począł, do Bielan. Ale Andrzej nie bardzo był rad tej propozycyi. Drapał się po głowie, ruszał wąsami, oglądał się dokoła i mruczał:

— Tak, to tak, ale jak nas Szwedy obaczą to pewnikiem uśmiercą, a jak złapia — to powieszą. A zresztą ja nie czasowy i ryby muszę łowić. Za czas stracony kto mi zapłaci?

Słowa te rozniewały pana Rafałowicza najprzód, a potem pana Żórawskiego. Pierwszemu szło o to, by Kazik jak najprędzej popłynął, dopóki jeszcze szary mrok panuje i mgły białe unoszą się nad Wisłą, więc zbliżywszy się do rybaka, spytał:

— Czy wiesz, kto ja jestem?

— A cóż nie mam wiedzieć? pan rajca Rafałowicz?

— No więc... możesz być pewny, że będziesz zapłacony.

— Ej!...—machnął ręką Andrzej—gruszki na wierzbie. Żali w takich czasach jak dzisiejsze, mogą ja u jegomości i za taki czyn domagać się zapłaty? Wszak Szwedy... *Wszak Szwedy*

Ale przerwał mu pan Żórawski. Zbliżył się do Andrzeja, stanął przed nim z wąsami nastroszonymi i mruknął: *mruknął*

— Masz tu, łyeczku jakiś, dukata i płyn mi zaraz, bo inaczej i dukata nie dam i tym oto mieczem łeb ci zetnę. Rozumiesz? *Rozumiesz*

Słowa te poskutkowały odrazu i Andrzej zląkłszy się groźnej figury pana Żórawskiego, rzekł:

— Dobrze, dobrze, mój jegomość, zaraz płynę. Co nie mam płynąć? Ja tak tylko gadałem, ale skoro panowie dają dukata, zaraz jedziemy. Któryż to z waszmość panów ma ze mną płynąć?

Kazik wysunął się naprzód i rzekł:

— Ja. *Ja*

— A! pan Ginter? znam waćpana — mówił Andrzej—trzeba mi było odrazu powiedzieć, że to waćpan jedziesz i już byśmy płynęli.

A pan Żórawski mówił do Kazika:

— Weź od Maćka szwedzką szpadę i jeżeli ten łycezek (tu wskazał palcem na Andrzeja) będzie chciał zdradzić, to pchaj mu ten rozeń w samo serce!

Andrzej, wysłuchawszy tego i widząc szpadę w rękach Kazika, zawołał:

— Ale tu nikt o zdradzie nie myśli i co tu może być za zdrada. Co też wielmożny pan gadają.

— No! no!—groził pan Żórawski—już kiedyś ty, łyku jakiś zatracony, w tak ważnej sprawie—myślał jeno o pieniądzech, to ja ciebie mam za ostatniego łyka i za hetkę pętelkę. I czegoż stoisz i ślepie wybałuszasz na mnie? Mgły się oto rozchodzą...

Spojrzał na białe mgły, które się kłębiły, rozplywały, skupiały w fantastycznych kształtach ponad Wisłą i całkiem zakrywały brzeg przeciwny i Pragę na nim, umilkł i mówił do siebie:

— Hm! otóż wszystkie mury zamkowe wypełzły teraz na świat Boży, by harce przed wejściem słońca, wśród mroków świtu, wyprawiać. Osobliwości! osobliwości! I któż mi teraz zaręczy, że i ten człowiek (tu wskazał palcem na An-

drzeja) nie jest mara? Oczywiście jest to mara, cień tylko persony, który przybrał na się posturę rybaka Andrzeja, boć przecie żaden człowiek, który ma choćby krzynekę rozumu, nie byłby tak gadał, jako on gadał. Tak, tak, to musi być mara i my wszyscy tu jesteśmy wśród tych białych mgieł świtu, marami.

Ale już nikt nie słuchał pana Żórawskiego, który z gołą głową, z rzadkim siwym włosem rozwianym przez wiatr świtu, z brodą białą i rozczochraną, z twarzą suchą, jastrzębia, powleczoną bladeścią od chłodu porannego, i wzrokiem wlepionym w kłębiące się nad Wisłą mgły, wyglądał sam na jakieś widmo, na jakiegoś starego umarłego, który wstał z grobów i tu prawi niestworzone rzeczy o tem, co widział i słyszał.

Pan Rafałowicz zajął się zaraz wyprawieniem Kazika i wzięwszy go na bok, szeptem gadał mu, co ma powiedzieć panu hetmanowi Czarnieckiemu.

— Mój chłopcze—mówił—niech cię Bóg prowadzi i ezuwa nad tobą i sam to dobrze wiesz, że ta wyprawa może cię na śmierć narazić, ale pamiętaj, że to co czynisz, czynisz dla dobra Rzeczypospolitej. Bądź ostrożny i miej oko na Andrzeja, który nie jest pewny. A przybywszy do obozu pana Czarnieckiego, staraj się z nim obaczyć i powiedz mu wszystko. My teraz udamy się do mojej kamieniczki, tam się zamkniemy

i czekać będziemy wieści od ciebie, nie wyściubiając głowy. Ruszajże, bo jeno patrzeć jak słońce wejdzie i mgły rozproszy. Niech cię Bóg i Najświętsza Panienka Częstochowska ma w swej opiece!

To rzekłszy, rozrzewnił się mocno i poezął ścisnąć i całować Kazika, a lzy mu jak groch padały na pomarszczoną przez lata twarz. Kazik zato z wesołą miną prawił:

— Niech się jegomość nie boi, wszystko będzie dobrze. Już ja sobie dam radę. Gdyby nawet czóno Szwedzi dostrzegli, to wpływ pójdę. Pływam przecie jak ryba.

Roześmiał się i wskoczywszy do czółna, zdjął czapkę i klaniał się wszystkim i wołał:

— Do widzenia! Kaeper, bądź zdrów! Maciek, pamiętaj o mnie! No, panie Andrzeju, jazda!

A Maciek, widząc odpływającego Kazika, rozrzewnił się także i nuż lamentować:

— O, laboga, laboga, mój Kaziku, już ja ciebie nie obaczę! O, rety, rety, Szwedzi cię uśmiercą pewnikiem! O mój Kaziku, Kaziku, moje oczko...

Ale te narzekania, wygłaszane grubym i donośnym głosem, przerwał szorstko Kaeperek:

— Cichaj, cebulo! Drzesz się, jakbyś tu sam był i jakby Szwedzkich straży nie było. Pani Maciejowa, przykażcież mu milczeć, bo nam jeszcze biedy napyta.

Tedy pani Maciejową szturgnęła Maćka i groźnie zawołała:

— Stulisz mi ty gębę, zatraczeniecze jakiś? Cheesz, żebyś ci łba nadarła. Zaraz mi bądź cicho, bo chociem stara i zmęczona, takie ci sprawię rznięcie, że mię popamiętasz!

Umilkł tedy Maciek przed obawą mateczynego rznięcia, a tymczasem Kazik, kłaniając się, odbił z Andrzejem od brzegu. Czółno pełnięte dwoma silnemi wiosłami, odpłynęło od brzegu, wsunęło się na prąd wody i powoli poczęło niknąć w szarej mgłę. Zrazu widać go było jak cień jakiś, potem zupełnie zakryte zostało przez mgłę.

Zebrani nad brzegiem patrzyli na to, aż wreszcie pan Rafałowicz zrobił w powietrzu znak krzyża świętego, westchnął, obtarł łzy z twarzy i rzekł:

— Zacności chłopiec! Szcześliwa matka, która takiego syna się dochowała. No, a teraz ruszajmy dalej!

Szcześliwie dostano się na Mostową ulicę, gdzie już ludzie chodzili i dla tego licznie rozstawione straże szwedzkie na murach na przemykającą się gromadkę nie zwróciły uwagi. Nie upłynęło i dwa pacierze, gdy wszyscy cali i zdrowi znaleźli się w kamieniczce pana Rafałowicza, i znużeni nieprzespaną nocą i tylu wrażeniami, jak mogli się pomieścili i zasnęli snem kamiennym.

ROZDZIAŁ XXIV

Jako Maciek został nazwany przez oberst- lejtanta Gizę gburem.

Jak długo spali, sami nie wiedzieli. Pomieścili się w dwóch izbach. W pierwszej, w której znajdował się otwór, prowadzący do podziemi i zakryty wizerunkiem Matki Boskiej, na ławie i na stole położył się pan Rafałowicz i Żórawski, a pod ścianą, na podłodze, Kacperek. W drugiej, mniejszej, na starej ławie legła Maciejowa, a obok niej na ziemi, owiniąwszy się w swą białą oponczę, Maciek.

Wszyscy zmęczeni tylu przygodami spali jak zabici, i tylko w ciszy tych izb rozlegały się ich miarowe i głębokie oddechy, oraz chrapanie Maćka, gdy nagle zbudziła ich straszliwa wrzawa i huk, powtarzający się raz poraz i tak silny, że cały dom się trząsał, a ze ścian i sufitu tynk odpadać zaczął. Małeńkie szybki w oknach dzwierać poczęły, a kilka z nich wyleciało i z brzę-

kiem się rozbiło. Obraz Matki Boskiej, zawieszony na ścianie, spadł z łoskotem.

Na ten trzask i huk wszyscy się zerwali na równe nogi, przerażeni mocno, prócz jednego Maćka, który nakrywszy się na głowę oponczą, spał po dawnemu.

Pan Rafałowicz, zerwawszy się ze stołu, na którym leżał, posłuchał przez chwilę strasznego huku i zawołał:

— To pan Czarniecki szturmuje do bram Nowomiejskich. Co tu czynić? Kazika jakoś nie widać.

Kacperek, który obudziwszy się, siedział pod ścianą i przecierał oczy, otrzepując się z tynku, który go całkiem zasypał, podniósł się i chciał coś rzec, gdy nagle ze strasznym łoskotem ogromna kula żelazna wpadła na dziedziniec kamieniczki i odbijając się o bruk, uwięzła w ścianie naprzeciwko. Cały dom się zatrzęsł, wszystkie szybki z okien wyleciały, a zaraz też rozległ się krzyk Maćka:

— O, laboga, laboga! zabijają! matuś, wstawajcie! Rety, rety, o ludzie rety!

A pan Żórawski już stał na środku izby i przypasując miecz, co go był zabrał zabitemu Frytjofowi, mruzczał:

— Niby to tak, że strzelają, ale żali człowiek może być pewnym, że to wszystko nie jest oma-

mienie? Wiadomo, że dyabły gdy chcą, to takie harce wyprawiają, że aż człek może ogłuchnąć. Ale na szatana najlepszym lekarstwem jest znak krzyża świętego.

To rzekłszy, podniósł wolno rękę i żegnając się, mówił:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, zgiń, przepadnij maro!

Kacperek tymczasem otrząsł się z tynku, przeżegnał się także i zbliżywszy się do pana Rafałowicza, rzekł:

— Pójdę ja obaczyć, co się tam dzieje.

— Jakto pójdiesz? dokąd pójdiesz?

— Wyrzę na ulicę, a może naszych zobaczę, to im powiem...

— Gdzie ty tam naszych zobaczysz! z armat biją, to są jeszcze daleko.

— Nie widzi mi się, bo przecież słyhać głosy ludzkie.

Pan Rafałowicz nadstawił uszów i w rzeczy samej, wrzawa tysiąca głosów ludzkich wyraźnie słyszeć się dawała. Pomyślał tedy chwilkę i rzekł:

— Ano, idź obacz. Tylko strzeż się, by cię nie zabili.

— Ha, cóż!—odrzekł Kacperek, nadziewając czapkę—jak zabija, trudno. Raz kozie śmierć!

To powiedziawszy, przeżegnał się i wybiegł z izby. Po jego wyjściu pan Rafałowicz zajął

się przedewszystkiem uciszeniem Maćka, który nie przestawał krzyżeć, w czem wtórowała mu jego matka, głośno odmawiająca „Kto się w opiekę.“ Tymczasem huk się wzmagał z każdą chwilą i przemienił się w jeden nieustanny grom, od którego cała kamieniczka trzęsła się jak galareta, a po dachu kule tak dudniły, jakby kto groch siał. Pan Żórawski z mieczem u pasa, z rękoma na tył założonemi, przechadzał się po izbie i mruzczał ciągle:

— Ani chybi, to omamienie. Ktoż to słyszał, żeby taki huk był? Jać przecie stary jestem żołnierz i z panem Chodkiewiczem byłem pod Chocimem i wiem, co to jest bitwa. A przecież jakem Żórawski, herbu Ostoja, takiej wrzawy nigdy nie słyszałem. Oczywiście rzecz, że to jest omamienie.

Ale zaraz miał się przekonać, że nie jest to żadne omamienie, bo w tejże chwili jakaś zabłąkana kula wpadła przez okno, ze świstem przeleciała koło uszów Żórawskiego i z głuchym trzaskiem utkwiała w ścianie. Burgrabia spokojnie odwrócił się i patrząc na ową kulę, mówił:

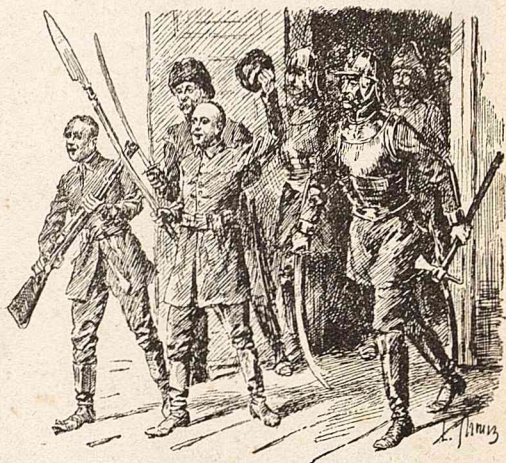
— Nie byłaś przeznaczona, by mię zabić. Widno Panu Bogu potrzeba, bym jeszcze żył na świecie. Ale teraz zdaje mi się, że to wszystko jest rzeczywistość. Mości panie rajco warszawski, to się naprawdę biją?

— Dopiero się waćpan o tem dowiadujesz?

— A dopiero.

— Wielka nowina! Królowa Bona umarła.
Cóżes to waćpan spał dotąd?

Pan Żórawski chciał coś odrzec, gdy nagle
w sieni zadudniały czyjeś szybkie kroki, drzwi



się z trzaskiem rozwarły i do izby wpadł naj-
przód Kazik, potem Kacperek, a za nimi tłoczyć
się poczęła gromada zbrojnych ludzi, z panem
oberstlejtantem Gizą na czele, którego pan Rafa-

łowicz znał dobrze, a nawet podobno był tam jakimś jego krewniakiem.

Kazik był zziąjany, mokry cały, czarny od dymu prochowego, a w rękę dzierżył ogromny samopał. Kaeperek też trzymał jakąś kopię i topór miał za pas zasadzony. Obaj byli rozpromienieni, gorejący zapalem, a oczy im się świeciły jakimś ogniem niezwykłym. Pan Rafałowicz skoczył do Kazika:

— Kazik—wołał—jak się masz? Niechże Panu Bogu będą dzięki, że cię zdrowym i całym widzę.

Kazik nie nie odrzekł, bo pan oberstlejtnant Giza wysunął się naprzód i obejrzawszy się dookoła z wielką powagą, rzekł:

— Widzi mi się, że pan Rafałowicz?

— Tak, panie Konstanty, Rafałowicz.

— Bardzo się cieszę, że waćpana oglądam. Ale proszę ja kogo... ten oto chłopiec powiedział, że tu z tego domu... to jest waćpana kamieniczka?

— Moja.

— Proszę ja kogo, to tu ma być wejście do jakiegoś podziemia, którem się można dostać do środka miasta?

— A oto jest—odrzekł pan Rafałowicz, wskazując na otwór w murze — niestety! do środka miasta dostać się nie można, bo w czasie, gdyśmy zwiedzali, moicumpanie, te podziemia, one się w jednym miejscu zawaliły.

— A tak, proszę ja kogo... opowiadał nam o tem ten chłopiec, wszelako podobno wyjść temi lochami można pod basztę, zwaną furką boczną na ulicy Dunaju?

— Można!

— Tedy, proszę ja kogo, prowadź nas waćpan! Z rozkazu tu jestem królewskiego...

— Owszem, poprowadzę waćpana. Chłopcy, idziecie ze mną?

— Rozumie się, że idziemy!—odrzekł jednocześnie Kazik i Kaeperek, a Maciek, który stojąc we drzwiach drugiej izby, przysłuchiwał się w milezeniu tej rozmowie, zawołał:

— O, laboga, laboga, jakżebyśmy mogli jego mością samego ostawić z temi srogimi żołnierzami. Ja bym też poszedł, ale jakże matuś sama ostawie?

— Ja tu zostanę, mój chłopcze!—rzekł poważnie pan Żórawski—i nie bój się niczego. Idźcie! w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

Przeżegnał uroczyście chłopców, pana oberstlejtnanta Gize i żołnierzy i mruknął:

— A strzeżcie się w podziemiach omamień—strzeżcie się omamień! Tam różne mary chadzają i tumania poeziowych szlachciców i katolików. Ale i to prawda, żeście wy nie szlachta, to może mary was się nie chwycą.

Tak prawił, a tymczasem pan Giza wydawał rozkazy żołnierzom:

— Pójdziecie za mną, a pilnować się dobrze, broń mieć w pogotowiu!

Poczem obróciwszy się do pana Rafałowicza, rzekł:

— Proszę ja kogo... podobno tam do otworu w baszcie Furty bocznej jest wysoko?

— A wysoko! prawda!—zawołał zakłopotany pan Rafałowicz—bez drabiny się nie dostaniemy. Skąd tu wziąć drabiny?

Pan Giza uśmiechnął się pobłaźliwie i rzekł:

— Nie lękaj się waćpan, drabina jest. Cobym ja, proszę ja kogo, był za żołnierz, gdybym wszystkiego nie przewidział? No, a teraz ruszaj waćpan przodem i pokazuj nam drogę. Dopiero to zadamy Szwedom dajfeldreku!

Zacierał ręce i uśmiechał się i ruszał wyszfarcowanemi wąsami i potrząsał cienką szpadą, którą trzymał w ręku. Mąż to był już niemiłody, wysoki, chudy, zawiedły, wygolońy starannie, jeno miał wąsy, które wysmarowane jakąś maścią, sterczały niby dwa rogi do góry. Na sobie miał kaftan łosiowy, na nim pancierz lśniący, wielkie karwasze na rękach i buty wysokie jałowiczne na nogach. Wyglądał trochę z niemiecka, ale po ryckersku.

Ruszono tedy do loszku, zapaliwszy wprzód liczne latarki i kagańce, które żołnierze ze sobą niesli. Żołnierzy tych było pięćdziesięciu, ale w razie potrzeby, jeżeliby loch okazał się dobrym, miano sprowadzić więcej.

Z trudnością spuszczone się po oślizgłych i wązkich schodkach do podziemia, zwłaszcza pan oberstlejtant Giza, który w swych wysokich butach z ostrogami i w ciężkim pancerzu posuwał się powoli, kilka razy się poślizgnął i gdyby go Maciek nie podtrzymał, byłby z pewnością spadł.

— Proszę ja kogo—gadał—a to psie z przeproszeniem miejsce; ki dyabeł, żeby takie wązkie schody robić!

— O, laboga, laboga, panie jenerale — odpowiadał Maciek—żeby oni wiedzieli, że pan jenerał będzie tedy chodził, toby pewnikiem szersze zrobili schody. O, rety, rety, jakże też to pan jenerał niezgrabny!

Pan „jenerał“ spojrział się groźnie na Maćka i widocznie dbając o jego pomoc, która w rzeczy samej była bardzo skuteczna, nie nie odrzekł, tylko coś mruknął pod nosem i groźnie ruszył ostremi jak szpilki wąsami. Ale gdy nakoniec zeszedli na dół i pan oberstlejtant uczuł pod nogami moeny grunt, zwrócił się do pana Rafałowicza i wskazując na Maćka, zapytał:

— Proszę ja kogo, co to za gbur?

— To Maciek, syn kramarki Maciejowej z rynku.

— Hm! proszę ja kogo... znać, że to syn przekupki... gdyby nie to, że czasu niema i tam na górze krew chrześcijańska się leje, tobym tego gbura obłożyć kazał bizunami. No, ruszajmy dalej!

Maciek wysłuchał tej groźby i strasznie marnotko mu się zrobiło, ale umilkł i odtąd trzymał się zdaleka od „pana jenerała,” jak nazywał oberstlejtanta Konstantego Gizę.

Tymczasem żołnierze powoli schodzili i niebawem cała piwnica sklepią niemi się zapełniła. Tutaj obok chłodnego, przesiąkniętego wilgocią powietrza, panowała wielka cisza, bardzo miła i słodka po tej okropnej wrzawie i huku, który grzmiał na górze. Wprawdzie i tutaj dawało się słyszeć głuche jakieś dudnienie, jakby gdzieś daleko szły ciężkie wozy. Ziemia wprawdzie drżała pod nogami, od czasu do czasu od sklepienia ode rwał się jaki kawałek wapna i rozbił się z trzaskiem na kamiennej posadzce, ale zresztą było cicho.

Pan Giza tymczasem rozkazywał, by ruszono dalej, bo powtarzał ciągle, tam na górze krew chrześcijańska się leje. Sam wzięwszy pana Rafałowicza pod rękę, szedł z nim przodem i wy pytywał się o te podziemia i dziwił im się bardzo.

Potem opowiadał o Kaziku, jako zjawił się w ich obozie pod Bielanami, jako szczęśliwie trafił na niego, pana oberstlejtnanta Gize, jako wysłuchawszy chłopca, poszedł z nim do pana wojewody Czarnieckiego i jako ten obiecał Kazikowi, że jeżeli to wszystko prawda, to postara się u króla i sejmu, by młodemu Ginterowi nadano szlachectwo.

Tak gwarząc, przyszli do owej piwnicy, gdzie szczury opadły były Maćka, czasu ich pierwszej peregrynacyi. Ale teraz na widok światła i trzasku drzwi, szczury poczęły uciekać, a żołnierze przez żarty poczęły wstrętne te stworzenia kłuć pałaszami i dzidami.

Wreszcie znaleźli się w lochu pod basztą, zwaną „Boczną furką.“

ROZDZIAŁ XXV

Jako trzech kompanowie legli w bitwie ze Szwedami i co potem się stało.

W piwnicy pod basztą „Furty bocznej“ wrzawa i huk był większy, jak w przebytych dotąd lochach. Drzwi drewniane, umieszczone w sklepieniu, przepuszczały lepiej i wyraźniej odgłosy boju, jak w innych podziemiach. Dochodziły tu nawet rozkazy oficerów w krótkich przerwach między jednym a drugim wystrzałem z dział. A działa te grzmiąły ciągle, stara baszta aż do fundamentów się trzęsła i tynk i kawałki cegiel sypały się na ziemię.

— Chciałem pana oberstlejtanta prosić — mówił pan Rafałowicz — ażeby tutaj nakazał żołnierzom, by nie rozmawiali i zachowywali się cicho, ale widzę, że taki tutaj hałas panuje, iż można nawet strzelać, a oni tam na górze nie usłyszą.

W rzeczy samej wrzawa była ogromna, a po drewnianych drzwiach w sklepieniu słychać było

nieustanne tupanie nóg przebiegających po nich ludzi.

Pan oberstlejtnant Giza obejrzał się po całej piwnicy i rzekł:

— Proszę ja kogo, więc to temi drzwiami mamy się dostać do środka baszty?

— Temi.

— Hm! proszę ja kogo... ciężka to będzie sprawa, gdyż drzwi są niewielkie i zaledwie dwóch ludzi się w nich zmieści. Ale spróbować nie zawadzi.

To rzekłszy, obrócił się do swych żołnierzy, skupionych w piwnicy i w milczeniu przypatrujących się lochowi, i zawołał:

— Rozwora, biegnij do pana wojewody, żeby mi całą moją chorągiew przysłał. Tu, proszę ja kogo, gorąca będzie przeprawa i kąpa trzeba iść.

Rozwora, stary żołnierz-wyga, zawrócił i pobiegł, a pan oberstlejtnant jeszcze raz spojrzął na drzwi i rzekł:

— Przystawić drabiny.

Gdy to uczyniono, pan Giza zawołał:

— Kto na ochotnika pójdzie, proszę ja kogo, wyrąbać te drzwi?

Wśród żołnierzy zapanowało milczenie, źle świadczące o udaniu się tego ryzykownego przedsięwzięcia. A pan Rafałowicz, zbliżywszy się do oberstlejtanta, odezwał się:

— Jam nie żołnierz i nie znam się na rzemiośle wojskowem, ale widzi mi się, że wyrąbywanie tych drzwi zle mieć będzie skutki.

— A to czemu, proszę ja kogo?

— Dla tego, że rąbiąc, będzie wielki hałas, co zwróci uwagę Szwedów i dość będzie, by tam postawili dwóch ludzi, którzy nam przeszkodzą dostania się do wnętrza baszty.

— Proszę ja kogo... jać to wiem, że jest zle, ale cóż innego czynić?

— Gdyby to można jednym silnem pehnięciem wywalić te drzwi odrazu!

— Silnem pehnięciem, a któż tego dokaże? proszę ja kogo! Czy to możliwe, ażeby drzwi, jako widzę, dębowe i okute żelazem, można było wysadzić? Któż jest tak silny?

Nagle Maciek, który przysłuchiwał się tej rozmowie, rzekł:

— O, laboga, laboga, wielka mi rzecz takie stare próchno wysadzić! O, rety! rety! jest też nad czem bańdurzyć. Niech no mi pan jenerał da do pomocy jednego silnego żołnierza, a jak we dwóch podważymy plecami to próchno, tak odrazu wyleci.

Pan oberstlejtant spojrział na Maćka i spytał:

— Proszę ja kogo, zrobisz to?

— A zrobię. Sam bym to zrobił, ale we dwóch

zawždy lepiej i gdyby mię Szwedzi opadły, to ten żołnierz niech mię broni.

Tedy pan oberstlejtnant rozkazał jednemu dragonowi wleźć na drabinę razem z Mackiem i mieć się w pogotowiu do obrony. Innym też żołnierzom polecono, ażeby gdy tylko drzwi wysadzone zostaną, rzucili się na drabinę i parli do środka baszty.

Gdy wydano te rozkazy, Maciek za przykładem towarzyszącego mu dragona, wziął gołą szablę w rękę i wlażł na drabinę. Przyszedszy pod samo sklepienie, razem z dragonem obrócili się do niego plecami i jednocześnie silnie podparli drzwi. Zatrzeszczały ale wytrzymały.

— O, laboga, laboga — syknął Maciek — silne są, ani słowa! ale damy im radę. Poczekajno, panie dragon, niech se krzynkę odpoczne i dech złapie. O, rety, rety, jakie też to krzepkie dawniej robiono drzwi! a wydają się jako próchno i zgniłe też są, ale zawždy mocne.

Siedział na wierzchu drabiny, oddychał głośno i język wywieszał na przypatrujących mu się z dołu żołnierzach. Był rad z siebie i śmiał się, a gdy sobie odpoczął, rzekł:

— No, panie dragon, zabierzmy się do roboty, jeno razem, teraz pewnikiem wylecą.

Podparli znowu oba plecami drzwi, raz i drugi, drzwi jednak wytrzymały, jeno zawiasy i za-

suwy rdzą zjedzone puściły nagle i drzwi z trzaskiem wyskoczyły do góry. To tak wstrząsnęło Maćkiem, że zachwiał się na drabinie i jak długi runął z drabiny na ziemię, a raczej na jednego z żołnierzy, który się obalił i potłukł haniebnie, Maćkowi zaś nie było, bo zaraz wstał i śmiejąc się, wziął się pod boki i patrzył, jak żołnierze niby koty wdrapywali się na drabinę.

Tak bowiem się stało: dragon, który z Maćkiem wysadzał drzwi, utrzymał się na drabinie i wyściubwszy głowę przez otwór, począł drapać się do góry, ale zaraz tam Szwedzi go opadli z okrutnym krzykiem i mężnie broniącego się zasiaekali. Spadł i on, cały krwią zlany, niepodobny do człowieka.

Ale już pan oberstlejtant, dobywszy swego miecza, z pugiuałem w zębach, rzucił się na drabinę, krzycząc donośnym głosem:

— Bij, zabij, kto w Boga wierzy! Za mną dzieci!

I drapał się po drabinie w swych ciężkich butach, choć niezręcznie, ale nadzwyczaj szybko, a za nim żołnierze parli gromadą, a między nimi Kazik i Kaeper, obaj czerwoni, krzycząc:

— Naprzód! naprzód!

Tam u góry już walka wrzała. Pan oberstlejtant z drugim jakimś żołnierzem wręcz się ścinali ze Szwedami, aż obaj jednym rzutem wsoko-

czyli do środka. Za nimi poszło zaraz dwóch żołnierzy, potem jeszcze dwóch, potem Kazik z Kacperkiem, potem inni.

Na szczęście dla polskich wojowników, drzwi z pod ziemi prowadziły do wąskiego kurytarza w baszcie, tak że Szwedzi nie mogli się rozwinąć i zaledwie po dwóch po trzech mogli stawić czoło, a przytem tem nagłym zjawieniem się nieprzyjaciół byli tak mocno przerażeni, że słabo się bronili i ustępowali przed rąbiącym strasznie panem Gizą. Mimo to trup szedł gęsto. Pana Gizę i walczącego obok niego dragona parli z tyłu inni, którzy kolejno dostawali się do kurytarza, a niebawem dragon od wystrzału z pistoletu padł, a pan Giza został pchnięty zdradzieckim sztychem w bok, zachwiał się i oparł się o mur. Ale zaraz zasłonili go dwaj inni i Kacperk, który przecisnął się gwałtownie naprzód i dzierżąc w rękę topór, rum sobie czynił. Kazik za nim z tyłu strzelił parokrotnie z samopału i posuwając się ciągle naprzód, deptano już po trupach szwedzkich. Nakoniec wydostano się z kurytarza do sieni, która prowadziła do bramy w baszcie; miejsca tu było więcej, ale też więcej i Szwedów. Gdy pierwsi czterej, między którymi był Kacperk i Kazik wyskoczyli do sieni, opadli ich zaraz Szwedzi jak osy, tak że przyparci do ściany, bronić się musieli z trudnością

i wtedy to Kacperek cięty w głowę mieczem padł, co Kazik pomścił zaraz, roztrzaskując Szwedowi kolbę od samopału głowę.

Byliby jednak ulegli przemocy, gdyby naszych coraz więcej nie przybywało. Rozpoczęła się stra-



zna siekanina, ale w mig Szwedów wycięto, a za resztą uciekających rzuceno się w pogoń na ulicę Dunaj. Tutaj to, obok Kazika, który chwyciwszy jakiś porzucony miecz szwedzki, rąbał zawzięcie uciekających, zjawił się nagle Maciek z mieczem zabranym w nocy panu Manderstörna.

Biegł z gołą głową, w swej białej oponicy, w której udawał ducha, z twarzą jeszcze nieobmytą od węgla, któremi się poczerzył, ze szzeccinowatym i najeżonym włosiem, krzycząc w niebogłosy:

— O, laboga, laboga, zmykajcie Angielezyki, bo was zjem!

Dzięki swym długim nogom wysforował się na samo czoło i rąbiąc na prawo i lewo, wołał:

— Kazik, sam tu do mnie, zadamy bobu Miemcom i innym też Angielezykom!

Ale niestety! nie długo zadawał bobu, bo jakaś zbląkana kula uderzyła go i padł jęcząc:

— O, laboga, laboga, zabili mnie! Kazik, reta!

Lecz Kazik nie miał czasu, bo właśnie z innymi dopadł do rynku i tutaj uderzyła na nich wielka gromada Szwedów, tak że bronić się musieli ciężko, a choć pomoc im co chwila przybywała, nie mogli przecież wydostać się na rynek. Do Kazika dopadł jakiś olbrzymi Szwed, zwarli się raz i drugi, ale młode chłopię nie zdzierżyło cięcia, szabla padła mu na rękę, uwięzła w niej, Kazikowi zamroczyło się w oczach, zachwiał się i runął jak długi na ziemię.

.
Kiedy Kazik odzyskał przytomność, a raczej jak mu się zdawało, obudził się z długiego i ciężkiego snu, najprzód poruszył się i uczył tak dot-

kliwy ból w lewym ramieniu, że aż syknął. Zaraz też usłyszał głos, w którym poznał Maćka:

— O, laboga, laboga, Kazik czegoś syka. Matuś, idźcie no obaczyć, co mu tam takiego.

Kazik otworzył oczy, ale nie wiele widział, gdyż łóżko jego osłonięte było ciemnymi frankami, ale co go najbardziej zdziwiło, to wielka cisza jaka go otaczała po niedawnej, jak mu się zdawało, wrzawie boju, brzęku mieczów, krzyku ludzi i huku armat. Zaraz też uchyliły się firanki, padł promień światła i ukazała się pocziwa głowa pani Maciejowej, która z troskliwością zapytała:

— Co ci to, mój chłopcze?

A gdy Kazik nie odpowiadał, jeno patrzył, rzekła:

— Jeszcze jest nieprzytomny.

— Ale gdzie ja tam nieprzytomny! — zawołał Kazik—jeno dziwno mi, że bitwa ustała.

— Jaka bitwa?

— A ze Szwedami.

— Ej, mój chłopcze—ozwie się na to Maciejowa—już dwie niedziele minęło, jak to tałajstwo nasi wymietli z Warszawy.

— Więc wypędzili Szwedów?

— Do nogi.

— Chwała Bogu, a mnie się zdawało, że bitwa była jeszcze przed chwilą. Przecie pamiętam jak mię ten Szwed ciął.

— O, laboga, laboga!—zawołał na to Maciek—
już Szwedów niema i co ty tam bańdurzysz, mój
Kaziku.

— Maciek, to ty tu jesteś?

— A jestem.

— Czemuż do mnie nie przychodzisz?

— Bo nie mogę. Te Angielezyki mię szpet-
nie postrzelili i pan Żórawski, który jest wielki
fyzyk, dryjakwią mię leczy i nie każe mi się ruszać.
O, laboga, laboga, pedam ci, Kaziku, strasznie mi
się ckni, alem rad, żeś ty oprzytomniał, bośmy
myśleli, że ty zamrzesz.

— A gdzie ja jestem?

— A gdzieżby? u pana Rafałowicza, który nas
wszystkich trzech pozbiarał na ulicy i zaniósł do
swej kamienicy, a pan Żórawski z moją matusią
i panią Hipolitową, która strasznie marudzi, leczą
nas wszystkich. O, rety, rety, jakże mi się ckni.

— A Kacperek, gdzie on jest?

— W innej izbie, na piętrze, bo tu było ciasno.
Szwed ci mu rozplątał głowiznę, nikię stary gar-
nek, ale już jest dobrze i pan Żórawski, który
jest wielki fizyk, jeno lubi dryjakwią paść, co się
psu na budę nie zdało...

— Nie wydziwiałbyś! — rzekła na to Maciejo-
wa—taki smyk jak ty, nie może rozumieć takie-
go mędrca jak pan Żórawski. On ma więcej w pię-
cie rozumu, jak ty w głowie.

— Ale cóż z Kacperkiem?—pytał Kazik.

— A cóż, będzie zdrów. O, laboga, laboga, miałby zaraz pomrzeć, że go tam Miemiec liźnął trochę przez głowę. Pan Żórawski, który jest wielki fizyk, jeno dryjakwią lubi paść, peda, że polskie czaszki są twarde nikiej żelazo i to musi być prawda. O rety! rety, jakże mi się ekni okrutecznie. Jak wyzdrowieję, dopiero to będę prał Angielezyków. Prawda matuś?

— Cicho byś był i nie plół głupstw, bo oto idzie pan Rafałowicz.

Pan Rafałowicz wielec się ucieszył, obaczywszy że Kazik odzyskał przytomność i opowiadał, jak gdy Szwedzi nakoniec zostali wyparci z miasta, jeno w zainku się jeszcze Wittenberg bronił, on, Rafałowicz, pozbierał chłopców i zanieść kazał do swej kamieniczki i jako ich tu leczył pan Żórawski i wyleczył, za co niech mu Bóg da zdrowie.

— Wyleczył, bo wyleczył—mruknął Maciek—ale dryjakwią pasie.

Potem pan Rafałowicz opowiadał, jako pan wojewoda Kijowski, Stefan Czarniecki przyrzekł, iż wstawi się do Króla Jegomości, by nagrodę udzielił wszystkim czterem.

— Mnie to tam nie trzeba żadnej nagrody—kończył pan Rafałowicz—stary już jestem i nie dla nagrody uczyniłem to, jeno przez miłość ku

memu miastu i całej Rzeczypospolitej. Ale wy młodzi, to co innego.

— I my nie dla nagrody to czyniliśmy—ozwie się Kazik—i co nam po nagrodzie. Król Jego-mość ma inne potrzeby i Rzeczypospolita jest jako pustynia, gdzież może o nas mizerakach myśleć.

I tak się też stało, jak mówił Kazik. Wśród klęsk i nieszczęść, jakie spadały długo jeszcze potem na Rzeczypospolita, poszły w zapomnienie czyny i poświęcenia czterech peregrynantów. Jeno już później miasto im się wywdzięczyło. Złożyli się co przedniejsi obywatele i porządny kram zakupili Maciejowej, która żyła długo jeszcze potem i patrzała na Maćka, który ożeniwszy się, założył warsztat szewcki na Dunaju Szerokim i dorobił się ładnego grosza. Młody Kazik z czasem został rajcą miejskim, a Kacperek był nawet przez kilka lat prezydentem miasta.

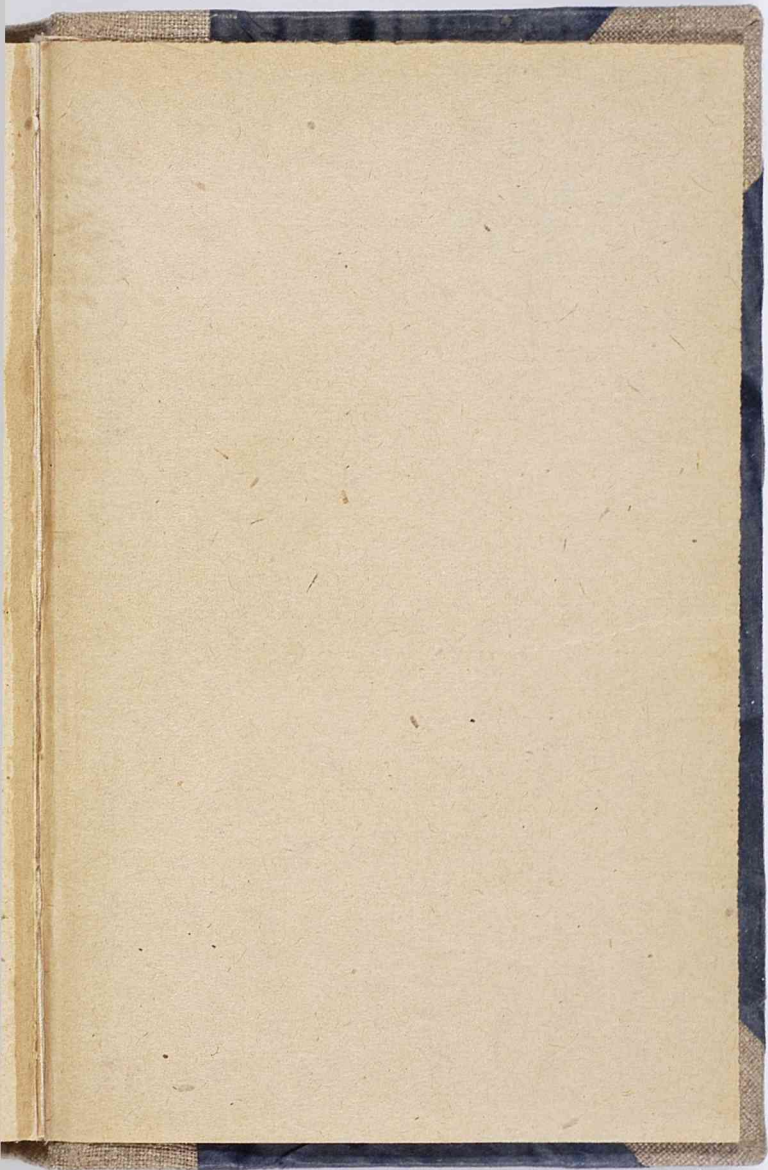
*Styczeń—Luty, 1901 r.
Styczeń—Luty, 1901 r.*

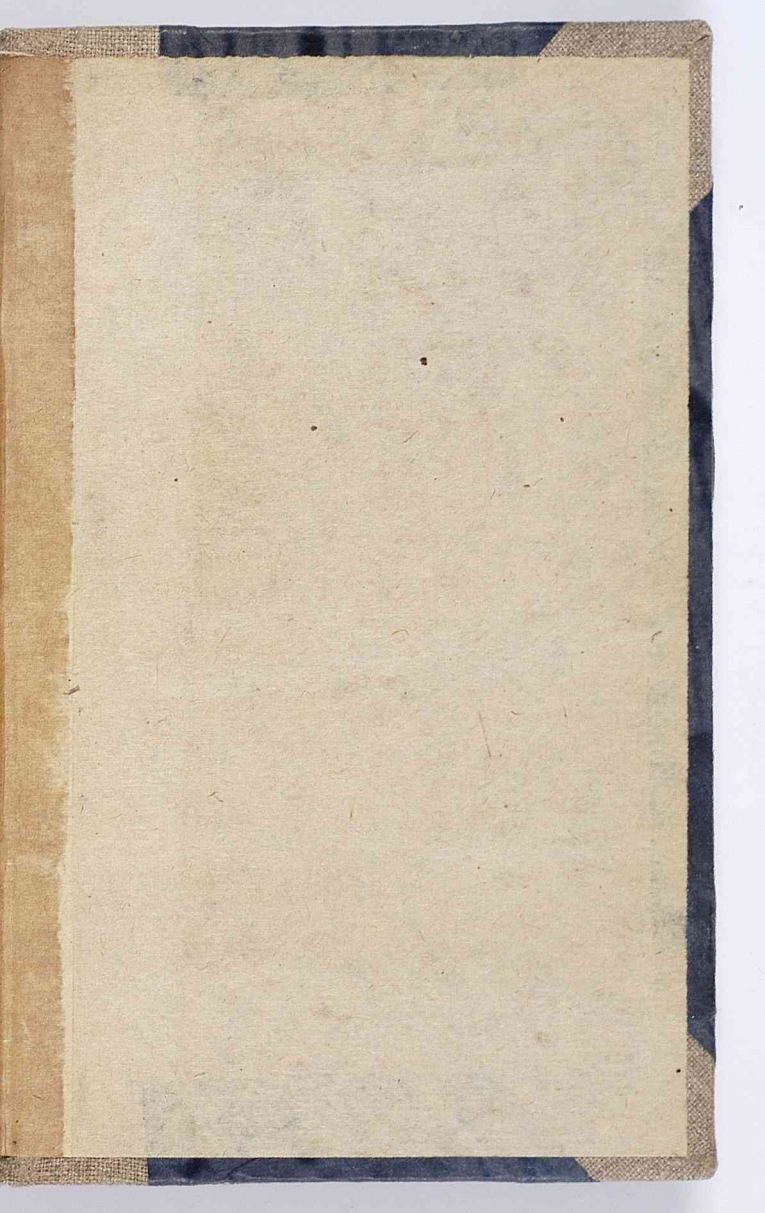
KONIEC.

13

*Specjalna Księgarnia
Książki i Piśmiennictwo
Warszawa*









49703

Lim.
206 74184

